

DUCHY  
NA  
BACHU



**Duchy na dachu**

**Groteski**

*Wyboru dokonali:*

*Ryszard Marek Groński*

*Antoni Marianowicz*

# Spis treści

Zamiast wstępu

Jerzy Afanasjew KAŻDY CZŁOWIEK MA SWÓJ CIEŃ

Roman Bratny ODJAZD W NIEZBADANE

Wiesław Brudziński SALON ILUZJI

Jan Brzechwa USZY

Andrzej Bursa SMOK

Michał Choromański KRZYŻÓWKA

Feliks Derecki W LEŚNICZÓWCE

Stanisław Dygat KRÓL

Zygmunt Fijas ZATKANY KOMIN

Konstanty Ildefons Gałczyński NOE II

Ludwik Górski NA MOJEJ ULICY

Jerzy Górzeński NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA

Stefania Grodzieńska PRZYGODA W SAMOLOCIE

Jarosław Iwaszkiewicz OPOWIADANIE Z KOTEM

Światopełk Karpiński BAJKA O ŻELAZNYM WILKU

Adam Kreczmar PRZYDZIAŁ

Stanisław Lem KONGRES FUTUROLOGÓW

Sławomir Mrozek INTERWAŁ

Janusz Odrowąż-Pieniążek PANI ZOFIA ALBO HISTORIE NIESTWORZONE

Janusz Osęka SKRZYDŁA

Jeremi Przybora UPIORNY SYLWESTER

Bruno Schulz EMERYT

Anatol Stern WYWIAD

Artur Marya Swinarski STRACHY NA STRYCHU

Jerzy Szaniawski LUNAPARK

Julian Tuwim CUD Z KOMORNIKIEM

Zbigniew Uniłowski BURLESKA

Andrzej Warchał WODA

Maciej Zembaty LADY MACZEK

Stanisław Zieliński LUIZJANA

# Zamiast wstępu

Wszystko było od początku bardzo dziwne.

O północy na biurku Jednego z Nas zadzwonił telefon.

- Co w tym dziwnego - zapytacie.

Właściwie nic, tyle tylko, że Jeden z Nas nie posiada biurka, ani tym bardziej telefonu i że telefon rozdzwonił się właśnie na jego biurku.

Niezrażony, Jeden z Nas podniósł słuchawkę i usłyszał melodyjny głos Przedstawicielki Wydawnictwa:

- Dobry wieczór. Pragniemy wydać tom zdumiewających wybryków autorskiej fantazji. Chodzi o to, ażeby czytelnik tych opowiadań czuł się ubawiony, a zarazem przeniesiony w inny wymiar, w świat, gdzie nie obowiązuje buchalteryjna rzeczowość, ani rutyniarska logika. Ten cel można osiągnąć. Mamy tylu znakomitych mniej lub bardziej współczesnych autorów...

- To prawda - odpowiedział Jeden z Nas. W pełni solidaryzujemy się z ideą wydania takiego wyboru. Życzymy Wydawnictwu dobrego snu.

To rzekłszy, Jeden z Nas odłożył słuchawkę, ale telefon zadzwonił po raz drugi.

- To jeszcze raz ja - powiedziała Redaktorka. - Pragnęlibyśmy, ażeby panowie zajęli się opracowaniem wyboru.

- Dlaczego właśnie my? - zapytał Jeden z Nas, nieco już poirytowany. - Przecież nigdy w życiu nie napisaliśmy humorystyczno-fantastycznego opowiadania. Zajmujemy się czymś zupełnie innym i...

- Właśnie dlatego do Panów się zwracamy - ciągnęła niespieszona Redaktorka. Nie będziecie przynajmniej zainteresowani w nasycaniu książki własną twórczością. Potraktujecie zamówienie z daleko posuniętym obiektywizmem.

- Nic podobnego - odparł Jeden z Nas. - Jeśli się tego podejmiemy, to w imię skrajnego subiektywizmu. Możemy się pomylić, ale będzie to nasz błąd. A jeśli ktoś poczuje się okropnie urażony, że go w książce nie ma, a kto inny jest, albo że jest, a kogo innego nie ma, albo że jest i kto inny jest - to trudno. Przepraszamy z góry. Co złego, to my...

Nazajutrz udaliśmy się obaj do Wydawnictwa. Strażnik wskazał nam halabardą drogę do Redaktorki. Ale pokój był pusty.

- Trzeba będzie jej wyjaśnić - rzekł Jeden z Nas - że zadanie jest praktycznie niewykonalne. Jak bowiem dokonać wyboru tekstów z innego wymiaru? Wszystkie niemal opowiadania, to żenująco realistyczne powiastki z życia. Cóż bowiem ma zaszokować Czytelnika? To, że gdzieś tam założono Salon Iluzji? Że główny księgowy nie chciał zatwierdzić rachunku za wyżywienie smoka? Albo że w meblach tkwią najrozmaitsze tajemnice?

- A kuku! - rzekła Redaktorka, wychodząc nagle z szafy. (Jak się okazało, był to normalny tryb pracy Redaktorów Wydawnictwa, które przeprowadza rozmowy z autorami w warunkach, adekwatnych do treści zamawianych książek. Z publicystami rozprawia się tam przy stołach konferencyjnych, z twórcami science-fiction w niewielkich modelach sputników, z autorami wierszy miłosnych dyskutują na tapczanach Redaktorki w kostiumach topless, zaś sprawy groteskowych opowiadań załatwia się przy użyciu efektów nagłego pojawiania się Personelu w miejscach najbardziej nieoczekiwanych).

- Zdarzają się przecież opowiadania, w sposób groteskowy deformujące rzeczywistość - dowodziła Redaktorka, parując argumenty Jednego z Nas. - O, weźmy na przykład nowelkę, której bohater oderwał się od ziemi i poszybował w niebo...

- Zimny realizm! - odparł pogardliwie Jeden z Nas. - Zimny, mały, obrzydliwy realizm!

Z szelestem maszynopisów wylecieliśmy przez okno. Z góry ujrzeliśmy jeszcze wydłużającą się w nieskończoność czarną linię.

Był to cykl produkcyjny niniejszej książki.



# Jerzy Afanasjew

## KAŻDY CZŁOWIEK MA SWÓJ CIEŃ

Franciszek Potwora był biednym człowiekiem - nie posiadał nic z rzeczy, które pozwalają przeciętnemu śmiertelnikowi wyróżnić się od reszty ludzi. Nie miał więc: ani nowoczesnego ubrania, ani dostatnio urządzonego domu, ani bogatej rodziny (która byłaby z pana Franciszka dumna), ani wykwintnego psa, ani... po prostu nic. Wręcz przeciwnie: ubranie nosił stare, prawie że obłachane, bez przerwy je nicował, a gdy niszczyło się - kazał je odwracać na mniej zniszczoną stronę, a gdy i ta po kilku latach przypominała siedzenie kanapy, znów nicował ją i zachwycał się nabytą dla oka świeżością materiału.

Czy pan Franciszek miał przyjaciół? Nie. Z całą stanowczością - nie! Przyjaciół nie posiadał żadnych. Wprawdzie kiedyś ktoś tam przychodził do Franciszka w gości, ale gdy ten i ów spostrzegł, że Franciszek nic częstuje ani wódką, ani figlarnie zdobionymi kanapeczkami, co najwyżej poda spodeczek z wodą - wówczas i ci ostatni znajomi go opuścili.

Franciszek Potwora był więc sam.. Być może dlatego właśnie zdziwaczał i opętała go niewesoła myśl: że jedynym jego przyjacielem jest... własny jego cień. Na skutek tego pan Franciszek, poruszając się przez życie, zawsze ustawiał się w ten sposób, by oglądać swój własny cień, rano dłuższy, w południe krótszy. Po wschodzie słońca, gdy wychodził na przechadzkę (nie po to - rzecz jasna - by odetchnąć świeżym powietrzem, jak to czynią wszyscy ludzie, lecz aby przywitać się z własnym cieniem), przystawał w czeluści bramy, a potem szybko z niej wyskakiwał, wprost na nasłonecznioną ulicę, przy której zamieszkiwał; stawał na środku jezdni, uchylał kapelusza i uprzejmie kłaniał się swojemu cieniowi. Cień równie uprzejmie odpowiadał na pozdrowienie i kłaniał się panu Franciszkowi, a następnie, razem, ramię w ramię, bliscy przyjaciele - pan Franciszek radosny, cień jego milczący, lecz także wesoły - wyruszali na miasto. Pan Franciszek okiem gospodarza oglądał nowe budynki i robotników pracujących na rusztowaniach. Ci już z daleka, znając poranne przyzwyczajenie pana Franciszka, krzykali: - Witaj, Franciszku, jak tam twój cień?!

Franciszek, wzruszony zainteresowaniem okazywanym mu przez ludzi prostych, zdejmował kapelusz (cień czynił to samo) i uśmiechał się uszczęśliwiony do ludzi. Jakże piękna była ich przyjaźń! Franciszek zatrzymywał się przy kiosku z wodą sodową - na nic innego nie było go stać - płacił, brał szklanekę i wolno, delektując się, pił musujący płyn, co chwila zerkając na swojego „cienistego” przyjaciela. O! Pan Franciszek nie pił wody po to, aby zaspokoić własne nieczne pragnienie - skądże! Herbata, którą wypijał w domu, wypełniała mu żołądek na cały dzień; pan Franciszek czynił usługę swojemu cieniowi, bo przecież któż by zadbał o jego cień? Któż by cień jego napoił? Pomimo iż Czytelnikowi, patrzącemu na ruchy pana Franciszka, wydać by się mogło, że to pan Franciszek pije - myliłby się jednak; to pił sobowtór Franciszka, tragiczne odbicie jego postaci. Tak sobie przynajmniej to wyobrażał właściciel cienia. A gdy wydało mu się, że cień ma dosyć, że napił się do syta, że szczęśliwy potrząsa głową i ramionami, pan Franciszek wyjmował z kieszeni zawiniętą w papier kanapkę, rozwijał ją i znów - sam jedząc - karmił swego towarzysza. O, Boże! Jakże to tragicznie śmiesznie wyglądało! Jakże ten człowiek był tym uszczęśliwiony! Nareszcie przecież nie był sam. Miał towarzysza!

Przyjaźń ich, przyjaźń człowieka i cienia, trwałaby nie wiem jak długo, chyba do końca świata, dopóki świeci słońce, wokół którego krążymy i które każdemu z nas daje takiego przyjaciela, gdyby... gdyby nie drobny fakt: pan Franciszek się ożenił! Przyszło to na niego nagle, niespodziewanie, jak na Czytelnika spada ta oto wiadomość. Nie minęły trzy dni i pan Franciszek był w posiadaniu żony, małej, korpulentnej osoby.

Od tej pory jego spacerowały się inne, obfitowały w wesołe rozmowy, kupował żonie lody, kwiaty, a cień pana Franciszka także uzyskał stałą towarzyszkę życia w postaci cienia żony.

Wszystko to byłoby nawet do zniesienia, gdyby nie dzieci. Minęło kilka lat, a samotne spacerowanie pana Franciszka wzbogaciło się nie tylko o żonę, ale i o czeredkę rozbrykanych, małych Franciszków. Gdy szli na spacer, jako pierwszy kroczył pan Franciszek, potem żona, a za nimi mali Franciszkowie; obok nich zaś cień Franciszka z całą swoją nową rodziną. Wszyscy, prowadzeni przez ojca, szli do parku, tam wyciągali swoje śniadania i na stojąco, zajadali. Ludzie mówili: - Cóż to za dziwna rodzina, pewnie to głodomory? - i wskazywali na nich palcami, a tamci - jedyna chyba rodzina tego typu na świecie - za przykładem pana Franciszka karmili swoje cienie.

A pan Franciszek pomiędzy jednym kęsem a drugim opowiadał swoim dzieciom o wielkiej samotności, która czeka ich w życiu, gdy tylko podrosną. Cienie dzieci z apetytem zajadały i wolno rosły, bo właśnie zachodziło słońce.

# Roman Bratny

## ODJAZD W NIEZBADANE

Gdzie jestem? Pomieszczenie, choć dziwaczne, przypomina mi czas, skąd przybyłem. Mieszkam w kurnej chacie, chyba pochodzącej z bieszczadzkiego skansenu, z krainy Łemków czy Bojków, w sypialni czy może damskiej gotowalni, zastawionej meblami Biedermeier lub może Księstwo Warszawskie. Na miły Bóg, nie jestem historykiem sztuki! Jestem Eksponatem wieku XX, a naprawdę mało uzdolnionym technikiem dentystycznym, który miał nieszczęście, poniesiony ambicją, pod wpływem zawodu miłosnego, ofiarować się w charakterze żywej torpedy wymierzonej w przyszłość, żywej, zamrożonej na wiele stuleci przez awansującą gwałtownie wiedzę medyczną XX wieku. I oto odzyskałem po stuleciach wolność w roli Eksponatu. Nie mam nazwiska ani imienia. Mam numer katalogowy i imię „Eksponat”. Pierwsza nazwała mnie tak Milicja, a jej głos znaczy w Muzeum XX Wieku bardzo dużo.

I znów muszę wszystko tłumaczyć. To jej imię własne. Milicja to imię własne. Tak kustosz Muzeum nazwał swoją córkę. Urodziła się w dniu, gdy grzebiąc w polskich ocalałych dwudziestowiecznych szpargałach trafił na opis uroczystości jakiegoś jubileuszu i znalazł tam słowa pełne tak tkliwego ciepła, że uznał, iż chodzić musiało o istotę dobroci i delikatności nadludzkiej, i tak postanowił nazwać swoje dziecko. Jest delikatna i wrażliwa, okazuje mi więcej zrozumienia niż wszyscy pozostali razem wzięci. Jest ładna. Ba, jeśli można tak o kimś z nich powiedzieć, nawet zgrabna. Ma względnie długie nogi. Prawie do kolan. I znów muszę tłumaczyć. Oni mają już inną strukturę fizyczną niż my - dwudziestowieczni. Nogi są organem szczątkowym... Teraz dopiero, przy próbie tego zapisu widzę, jak śmieszne są moje do nich pretensje o dezorientację i prymitywne wyobrażenia o naszej historii: dla nich to jakaś prehistoria. Wciąż nie umiem sobie zdać sprawy, w jakim wieku się znalazłem, ich kalendarz wiąże się z przemówieniem kogoś, inaugurującego erę zwycięstwa Północy...

I oto znów musiałbym tłumaczyć. Ale wracam do spraw ich dezorientacji w naszych problemach. Jest wybaczalna. Spać na „ludwiku” ustawionym na środku łemkowskiej chaty, jako wzorcowy obywatel na wzorcowym łóżku we wzorcowym M-2, muszę się oswoić i z tym, że jeden z przywódców mego dawnego żywota, chciało mi się napisać „ziemskiego”, widnieje na ścianie z ogromnymi nożycami w dłoni, z podpisem: „Krawiec dwudziestowieczny, twórca strojów ludowych”... Pamiętam to zdjęcie: z przecięcia wstęgi mojej Alma Mater - ileż wzruszeń! Albo to, że ksiązę Józef skaczący w nurty ma podpis objaśniający: „W. ksiązę Konstanty przy próbie forsowania Wisły”. Jest to z tej perspektywy stuleci równie do wybaczenia, jak mozolne tłumaczenie, co to był koń. Mój Boże, czy ja wiem o jakimś tam dinozaurze! Byłem świadkiem sporu dwóch historyków, czy to możliwe, by koń żył w tym samym czasie, co samochód, i czy to właśnie Polska była krainą takiej symbiozy. Nosiciela tej teorii uznano za bezideowego eklektyka, w którego świadomości trwają „przeżytki Południa”.

Moje życie Eksponata rozgrywa się w V lub VI wieku po tragicznym konflikcie Południa z Północą.

Zwycięska Północ zbudowała monolityczną cywilizację, w której nic nie przypomina niczego, co znaliśmy, obywatele XX wieku. Aczkolwiek społeczeństwo współczesne oparte jest na uznaniu norm egalitaryzmu, to nie sposób zaprzeczyć, że chociaż wszyscy są równi, bywają i równiejsi. Nie ma różnicowania klasowego w dawnym tego słowa znaczeniu, ale przyznać trzeba, że żyją w tej społeczności ludzie, których wedle naszych norm nazwalibyśmy bogaczami. Z tym, że naprawdę „bogactwo” stanowi akurat antytezę tego, co dawniej zwykło to pojęcie określać. Bogacze tego społeczeństwa, ludzie uprzywilejowani, to ci, którzy nie mają rzeczy, nie posiadają. Bo przekleństwem jest tutaj nadmiar. Każdy z obywateli ma przydzieloną ogromną masę rzeczy, które musi obsługiwać. Wolni są najbogatsi. Ich skala możliwości sięga nawet zezwolenia na nieposiadanie czegoś, co w naszych czasach uchodziłoby za skrzyżowanie samochodu z helikopterem, dziś, tutaj stanowi przedmiot codziennego użytku. Obsesją tego społeczeństwa jest zniesienie przestrzeni jako kategorii różnicującej i



stąd szczególna piecza nad powszechnymi środkami przenoszenia. Jeden szczęśliwy świat musi być „niepodzielny w czasie i przestrzeni” - mówi ich konstytucja.

Nawet ja, zaadoptowany przecież jakoś przez ich współczesność, do dziś się jeszcze nie przystosowałem. W kategoriach „moich czasów” wszystko, co widzę, zupełnie się nie mieści. Nic, dosłownie nic. Ani praca, ani wypoczynek, ani miłość, ani szczęście. Oto w tych dniach moja Milicja była niespokojna i smutna: po pierwsze majster wypoczynku naszej dzielnicy wykrył, że pracuje ona dłużej niż dopuszczalne dwie godziny dziennie. Przyłapał ją, jak umieszczała w moim skansenie dwudziestowiecznej Polski, obok opisanego już księcia Józefa, portret Bismarcka. Nawet nie usiłowałem jej tłumaczyć, dla nich granice państw i wieków są zupełnie płynne. Ale dopadł ją potem majster wypoczynku naszej dzielnicy... Znowu tłumaczenie: „dzielnica”, oznacza stodwudzieste piętro. Bo całość życia naszej społeczności koncentruje się na piętrach. Cała ludzkość mieszka już w sporej odległości od ziemi i to, co ongi oznaczało granice w przestrzeni na poziomie ziemi, dziś jest ważne w przekroju pionowym.

Znowu się gubię. Miałem zanotować, że Milicja była niespokojna i smutna... A być smutnym jest wręcz zabronione, nie mogła więc być smutna. „Niespokojna” - czy ja sam orientuję się w jej nastrojach? Po prostu trafiła na kłopotliwą sytuację. Na „godzinę miłości”, którą zwą tutaj „higienicznym kwadransem”, przybyli do niej równocześnie dwaj wyznaczeni przez komputer partnerzy. Profesor i młody Docent. Czemu właśnie oni? Głównym zadaniem społecznym jest oszczędzanie przestrzeni. Wszelkie zaś poruszanie się jednostek przestrzeni niszczy, ograniczając ją w skali społecznej: komputer, wyszukujący partnerów, sprawy lokalizacji uwzględnia w pierwszym rzędzie. Wynik zaś losowy, że dwóch partnerów wyznaczył naraz, w moim rozumowaniu jest rezultatem tak wielkiej unifikacji cech osobniczych, że nawet najprecyzyjniejszy sztuczny mózg nie odróżni od siebie osobowości naszych naukowców.

Ta błaża z pozoru kolizja wokół „higienicznego kwadransa” stała się w moim rozumieniu przyczyną nader osobliwego wydarzenia. Oto od paru dni zaczynam obserwować zjawisko niewiarygodne: różnice w poglądach obu uczonych. Profesor, jako niekwestionowany autorytet w dziedzinie historii Polski XX wieku, był obowiązującego zdania, że Polacy owego stulecia byli nadzwyczaj szczęśliwi. Wszak byli świadkami narodzin nowej epoki! I oto wczoraj byłem jako Ekspонат świadkiem dziwnej sceny. W chwili gdy Profesor, prowadząc dla grupy magistranckiej wykład na temat dwudziestowiecznej odzieży, dotknął krawata pod Bismarckowym Vaternorderem i podyktował „kradzież”, Docent zaprotestował. Stwierdził, że na podstawie konsultacji filologicznej ma pewność, iż słowo „kradzież” oznacza co innego.

- Co takiego? - zapytał groźnie Profesor.
- Przywłaszczenie cudzego dobra! - oznajmił twardo Docent.
- Kradzież to część garderoby męskiej, którą zawiązywano pod szyją - zaproponował Wielki Naukowiec.
- Co to jest „przywłaszczenie dobra”? - pytał ktoś z grupy młodzieżowej.
- Skoro „kradzież” to część garderoby męskiej zawiązywana pod szyję, to co oznacza słowo „stryczek”? Stryczek to jest właśnie część garderoby męskiej zawiązywana pod szyją, często nawet w następstwie kradzieży - zaproponował Docent. - Bo życie w owym czasie wcale nie było...

I tu nastąpił skandal. Profesor odebrał głos Docentowi.

I znowu konieczność glossy informacyjnej. „Odebrał głos” - oznacza co innego niż w czasie naszych archaicznych zebrań. Oto organiczna struktura człowieka przyszłości jest nieco inna. Tylko jedna półkula mózgowa ma powiązanie z mową, druga półkula, traktowana jako nosicielka wrogich, południowych tendencji, jest tej łączności ze środkami masowego przekazu pozbawiona. Tam w formie tzw. „świadomości biernej” zmasowane są wszystkie poglądy niezgodne z obowiązującymi. Odebranie głosu to właśnie przesunięcie pewnej strefy świadomości z jednej półkuli do drugiej. Sprawa świadomości

biernej osiągniętej pracą wielu wieków ortodoksyjnych genetyków jest dla nich oczywista, jak dla nas, powiedzmy, funkcje trawienne żołądka. Wszakże bardzo rzadkie bywa oficjalne stosowanie cenzury naukowej w ten sposób, publicznie, jawnie i ostentacyjnie. A więc i Profesor musiał być szczególnie tego dnia podrażniony. Ja, człowiek z czasów, widziałem w tym wpływ feralnie niespełnionego „kwadransa higienicznego”. Zakwestionowanie w ten sposób autorytetu Docenta, wychowanka Profesora, myśliciela zasłużonego, wsławionego tym, że dał pierwszy uznane za prawidłowe definicje słowa „wojna”, „bombardowanie” itp. z nomenklatury naszego czasu, wzbudziło naukową sensację. Pojawiła się nawet Milicja na swych fascynująco długich, bo sięgających kolan, nogach. Wykład został przerwany i zapewne wszyscy oni uważali, że z chwilą przesunięcia poglądów Docenta w sferę świadomości biernej problem przestał istnieć...

Ale już w czasie posiłku zauważyłem, że jednak coś się stało. Normalnie ktoś z personelu Muzeum utrwał w zapisie wizualnym każdy mój posiłek. Niekiedy bywały nawet wycieczki. Dania sprowadzano z ziemi. Brzmi to paradoksalnie, ale podróż na ziemię - w dół - z tych setek pięt, była trudniejsza niż pod koniec XX wieku jazda na księżyc. Działy tam regularne połączenia, sprawa komunikacji wzwyż nie była ograniczona, w dół istniały granice. Mieszkańcy parteru stanowili arystokrację, naszej społeczności. Życie niższych sfer bywało przedmiotem adoracji. Dość powiedzieć, że pomidor, który jadałem codziennie, oglądany bywał przez wycieczki. Uparcie też naukowcy traktowali go jako środek dopingujący, równy w swym działaniu ogórkom. Co oni jedzą? Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że w toku upartej walki z cywilizacją, która grozi zagładą organizmowi ludzkiemu, sam organizm uległ ogromnym przeobrażeniom. Stało się to w drodze naturalnej, częściowo stymulowanej przez ingerencję wiedzy, zwłaszcza genetyki. Oni, niszczeni, truci i ograniczani, przyjęli jedyną właściwą linię obrony. Już nie oczyszczanie wód czy powietrza, ale przeobrażenie organizmu człowieka w sposób, który go przed działaniami trucizny uodporni. Zwłaszcza sprawa powietrza decydować musiała o przyszłości gatunku. Cywilizacja doprowadziła to społeczeństwo na takie wyzyny, że dobywa się teraz gaz ziemny z głębi ziemi po to, aby przez skomplikowane działania oczyścić go z wszystkiego, co nie jest tlenem, i spożytkować dla płuc. Płuca zresztą zredukowane są do rozmiarów dziecinnej piąstki. Zwalczanie skutków cywilizacji środkami cywilizacji - to utopia współczesnego społeczeństwa.

Ale wracam do wątku. Otóż po sporze Docenta z Profesorem obiad mój obserwowała sama Milicja i wciąż miałem wrażenie, iż chciała mnie o coś zapytać. Niestety ja sam zostałem przez nich przesunięty do sfery świadomości biernej, po prostu nie mogłem mówić. Stąd zresztą moja spontaniczna potrzeba pisania. Kończyłem właśnie zupę jarzynową - dar szeregu prowincji parterowych (na pokrytych asfaltem pustynnych powierzchniach nic nie rośnie, plantacje w szczelinach betonu obejmują np. jedną marchew, rzodkiewkę - jarzyny są ściśle reglamentowane, wartość jednego ogórka jest na naszą dwudziestowieczną skalę równa wartości maszyny liczącej najnowszej generacji) - więc kończyłem zupę, gdy pojawił się Docent.

- Milicjo - oznajmił - zacząłem pisać pracę. Nową. Zupełnie rewelacyjną. Jesteś tu Kustoszem, więc posłuchaj: Tytuł: Czy ludzie w XX wieku się śmiali.

Milicja patrzyła nań pytająco.

- Otóż nie, nie śmiali się. To był czas, w którym żyli groźni dyktatorzy... - mówiąc to zwrócił się do mnie, jakby oczekiwał potwierdzenia.

- A z nich? - zapytała Milicja.

- Co z nich?

- Z nich się ludzie nie śmiali?

- Gdybyś spróbowała z nimi żyć, tobyś się też nie śmiała. Śmiech jako objaw, manifestujący stany wówczas szczątkowe, jak humor, radość, szczęście, zaginął. Począł w XX wieku zanikać...

- No dobrze. Żył tam jakiś Hitler. Ale umarł.

- Więc co z tego?

- Wówczas się ludzie cieszyli, byli szczęśliwi, mieli dobry humor.

- Niestety, analiza filologiczna demaskuje reakcyjność takich poglądów. Jest takie ówczesne potoczne zdanie: „wyskoczyć z radości ze skóry”. Cóż ono oznacza, jak nie organiczną nieprzystosowalność człowieka XX wieku do szczęścia.

- Ech, jedno polskie słowo.

- Proszę: po niemiecku ausser sich sein - być poza sobą - z radości...

- I dlatego, opierając się na igraszkach słownych, chcesz zapomnieć, że w XX wieku narodziła się...

Piersi Milicji falowała ze wzruszenia czy wzburzenia. Dla celów estetycznych zostawiono kobiece piersi w spokoju. Były piękne. Nie potrzebowały biustonosza. Lokalne odblokowanie prawa grawitacji sprawiało ten cud skarłalej natury. Omal nie udławiłem się kolacją z rzodkiewki, darem Instytutu Historii Naturalnej.

Skończyło się dramatycznie: Docent został wypędzony z Muzeum. Milicja, wyraźnie zdenerwowana, przechadzała się po różnych salach. Sposób poruszania się mieszkańców niewiadomego wieku przypominał baletowe drobienie - krótkość odnóży była tego powodem. Potem usiadła w kącie nad jakimś sepecikiem, którego zawartość właśnie inwentaryzowała. Wyraźnie zdenerwowana, już po chwili zaczęła krzyczeć, że w tym hałasie pracować nie może. Panowała zupełna cisza, ale domyślałem się, o co jej chodzi. Otóż oni są uczuleni na fale o tej częstotliwości dźwięku, które w ogóle do naszego dwudziestowiecznego człowieczego ucha nie docierają. Poszedłem w kąt mego pokoju i obudziłem ulokowaną na obrazie księcia Józefa muchę. To jej chrapanie przeszkadzało mojej Milicji. Ona (mucha) jest na takich prawach jak ja. Jest eksponatem. Oni (mieszkańcy niewiadomego wieku) od stuleci już much nie znają, sławny parazytolog przerobił wszystkie muchy i komary na boże krówki. Jak każda ludzka ingerencja w przyrodę i to przyniosło nieprzewidziane skutki. Jaskółki wyglądają jak odmiana dziobatych jaszczurek - zmiana karmy i pełzanie po ziemi w poszukiwaniu bożych krówek przepoczwarzyło je w ten sposób.

Ale ja znowu dywaguję. Więc uspokoiłem niesłyszalne dźwięki, lecz bynajmniej nie uspokoiłem Milicji. Tkwiła tam przy tych nie zinwentaryzowanych papierach bez ruchu, z głową na rękach. Chciałem do niej zagadać, zbagatelizować ten niesamowity na ich miary umysłowy konflikt - bo oto po raz pierwszy napotkała na różnicę poglądów! - ale przecież nie mogłem, byłem pozbawiony możliwości mówienia, cały mózg miałem zablokowany w świadomości biernej. Ona, jakby wyczuwała moją mękę, wstała nagle i nie odwracając twarzy w moją stronę, wybiegła z Muzeum.

Spojrzałem ze zdumieniem na otwarty sepecik, na rozsypane bezładnie papiery. Dotychczas pilnie strzeżono, bym nie miał żadnej okazji do styczności z historycznymi dokumentami. Toteż ciągnęło mnie straszliwie. Ruszyłem w tamtą stronę. Ale nie starczyło mi energii. Świadomość, że w takiej chwili mogę być widziany... Stałem u okna. Była już noc. Widać to było wyraźnie. Światło nocy jest znacznie jaskrawsze. Wypada tu nadmienić, że ciemności naturalne są już nieznane. Ziemia otoczona jest setkami satelitów - księżyców odbijających światło słoneczne o wiele ostrzej niż zużyty, zakurzony przez ludzi księżyc naturalny zwany praksiężycem. Owe księżyce stanowią po prostu wysypiska śmieci całkowane i wysyłane na orbitę. Bez tego dawno już cywilizację zjadłyby jej własne odchody. I tak oto ziemia jest ostatnią ciemną plamą krążącą wśród własnych świecących śmieci. Zmęczenie ciągłym światłem jest jednym z podstawowych problemów obecnej cywilizacji. Uczony, który zlikwiduje blask pierwszego z setek księżyców, obwołany będzie dobroczyńcą ludzkości.

Więc stałem i patrzyłem w noc bezgwiazdną i jaskrawą, a wszystko ciągnęło mój wzrok ku tym bezładnie porzrzuconym kartkom papieru zapisanym przed wiekami. Czym? Co to było? Czy wypowiedzenie ostatniej w historii ludzkiego gatunku wojny? Ale wojen się za mojego życia nie wypowiadało, więc chyba tym bardziej wojny ostatniej. Czy może leży jakaś „odezwa” lub „dyrektywa”, która ongiś przesądzała o warunkach mojego żywota? A czy dokument dotyczy mojego kraju? Przecież ich wyobrażenia o naszej historii są humorystyczne? Spojrzałem na portret Bismarcka wiszący nad

rozłożonym w gablocie Pocztom królów polskich Matejki i nagle już miałem w ręku te listy. Bo okazało się, że były to listy. Zupełnie prywatne. W języku zupełnie „obcym” z perspektywy naszej dwudziestowiecznej Polski. Pisała je niewątpliwie kobieta. Na tyle znałem ów język. Ta kobieta pisała listy do swego męża czy kochanka, marynarza. Przy drugim czy trzecim liście usłyszałem nagle głośniejsze uderzenie mojego serca: przestraszyłem się. Było to tak, jakby nagle z praczasu zawołał do mnie, do mnie jedyne go wówczas na ziemi, głos tak mi drogi, jedyny. Bo ona pisała, jakby żegnała człowieka, który odszedł tak jak ja. Zachowując życie odszedł spomiędzy żywych. Został żywym zamrożonym przekazem naszej epoki w nieznaną przyszłość, do której ja dotarłem jako bezcelowa przecież sonda futurologizmu. Ale on, ten marynarz? Po co? Kto go wysłał?

Rzuciłem okiem na datę. W spory czas po mnie, w spory czas. Gorączkowo rzuciłem się do czytania. Kolejny list dosłownie mną wstrząsnął. Była w nim mowa o „załodze odpływającej w przyszłość”. Potem o dnie oceanu. Potem, że stają się ci zanurzeni na stulecia ludzie gwarantami bezpieczeństwa swoich współczesnych. „Twojego dziecka” - napisała ta niepoprawna wieczna kobiecość...

Te listy nagle i bezceremonialnie przeniosły mnie w moje czasy. Atomowe łodzie podwodne jako ostatni odwód nuklearnego rewanzu!...

Boże! - chciałem krzyknąć wracając do świata codziennych wyobrażeń moich zmarłych przed wiekami współczesnych. Więc na nic potworne pod względem kosztów, nie oglądane na szczęście przeze mnie - cudem nauki ocalonego - zwycięstwo Południa nad Północą czy też odwrotnie Północy nad Południem. Oto przegrani zdeponowali na dnie oceanu złudnego, jak się okazało, gwaranta swego bezpieczeństwa. Łódź atomową z superładunkiem supernuklearnym grożącym zagładą potencjalnemu wrogowi-zwycięzcy. Po latach czy wiekach! Jak to się stało, że zwycięzca zlekceważył to ostrzeżenie? A może... Nagle opadła mnie myśl obłądana, że może ja sam, Eksponat, jestem członkiem tej wydobytej kiedyś z dna przez zwycięzców uspiętej załogi. Lecz nie, przecież mam absolutnie jednoznaczne poczucie swej tożsamości. Jestem żywą torpedą ofiarowaną polskiej futurologii w ostatnich latach stulecia, które pamiętam swoją normalnie wraz z całym organizmem funkcjonującą pamięcią.

Raz jeszcze rzuciłem się do czytania. Tym razem znalazłem zdanie: „kiedy w pół tysiąclecia od daty, gdy odpływałeś w przyszłość, obudzisz się znowu” - pisała ona. Data, data listu. Znalazłem. W dziesięć lat po moim uspieniu. Lecz który rok jest dzisiaj? Opanowała mnie raptem panika, że oni właśnie w tej chwili budzą się w tej swojej łodzi, obmacują ten swój przeklęty sprzęt zagłady...

Musiałem ustalić datę. Ale w jaki sposób? Przecież oni nie są w stanie przyjąć do swej świadomości czynnej niczego, co by się nie zgadzało z zaprogramowanym poglądem na świat. A świat ma być bezpieczny. Nagle pomyślałem o wygnanym Docencie. Przecież przed chwilą przemawiała niewątpliwie jego świadomość bierna. Było to wynaturzenie, ale w pewnych sytuacjach tylko ono może się okazać zbawienne w skutkach. Ale jak mógłbym się z nim porozumieć? Męczyłem się okropnie, ale każda próba wypowiedzenia jakiegokolwiek z moich myśli zawodziła. Byłem pozbawiony możliwości przekazu, cała moja świadomość zamknięta była w owej świadomości biernej, gwarantującej stabilność oficjalnie obowiązujących poglądów.

Teraz był koło mnie Docent. Nie wiem, jak się pojawił, skąd się wziął, może szukał Milicji? Stał koło mnie i łapczywie czytał mi przez ramię. Nie mogłem wiedzieć, czy on, pozbawiony moich doświadczeń, skojarzy prawidłowo sentymentalne słowa pożegnania, skierowane do dwudziestowiecznego marynarza, z zagrożeniem współczesności przez środek nuklearnego odwetu adresowany z praczasów.

Ale oni mają przecież straszliwą sprawność kojarzenia oczywiście ograniczoną praktycznie przez odsiew części przemyśleń do świadomości biernej. Chwycił! Widziałem radość, potem niepokój, grozę... W pewnej chwili, tak jak ja zresztą, wiedziony tym samym lękiem, wrócił wzrokiem do daty listu sprzed prawieku, wtenczas poblądł.

Widziałem, jak uruchamiał numery wideotelefonu. W ciągu minuty miał zgromadzone na ścianie najwybitniejsze postacie świata nauki.

Zapomniałem napisać, że oni rzadko spotykają się tak jak my ongiś - twarzą w twarz. To znaczy twarzą w twarz - tak, z reguły, ale nie fizycznie. Ciasnota pomieszczeń jest tak wielka, tłok w przestrzeni nie zamieszkałej tak nieustanny, że robią wszystko, by poruszanie w sensie fizycznym ograniczyć do minimum. W okresie bohaterskim tego społeczeństwa tzw. „likwidacja przestrzeni” była czymś w rodzaju naszej likwidacji analfabetyzmu. Przez rozwiązanie problemu bezpłatnej i błyskawicznej komunikacji ich świat skurczył się - w naszych relacjach czasoprzestrzeni - do rozmiarów jednej gminy. Pierwotnie co drugi obywatel miał samolot. Środki lokomocji były otwarte dla wszystkich jak morze. Potem mnożące się na skutek załoczenia w powietrzu katastrofy, straszliwy nieustający huk silników, okropne skutki gromadzących się spalin powodowały coraz to nowe ograniczenia. Najpierw zlikwidowano powietrzny transport w rolnictwie. Chłopskie furmanki powietrzne, wlokące się nie szybciej niż 2000 km na godzinę, zostały wycofane z ruchu. Ponoć w pierwszych dyskusjach, które poprzedzały referendum w sprawie reglamentacji przestrzeni, jak nazwano ustawę o ograniczeniu prawa poruszania się, padały głosy, że ustawa jest kapitulancją. Ktoś z historyków mojej doby wołał, że przecież nie było w XX wieku ustawy ograniczającej prawo noszenia butów, a społeczność ongiś bosa mogła nie być z początku w stanie znieść hałasu, jaki powstał z chwilą, gdy każdy obywatel otrzymał buty...

Dość, że obecnie przestrzeń, która była przedmiotem pierwszej potrzeby, stała się przedmiotem luksusu. Prawo poruszania się pieszo ma tylko bardzo wąski krąg spośród kierowniczych sfer społeczeństwa.

Ale odszedłem znów od tematu. Wracam do sesji zwołanej przez wideotelefon. Projekcja zapełniła jedną ścianę zgromadzonymi wezwaniem Docenta. I oto on sam, drżąc z podniecenia, ogłosił rewelację.

Zdeponowana na dnie oceanu łódź z zamrożoną na okres 500 lat załogą dziś lub w dniach najbliższych kończy kadencję w ograniczonym historycznie niebycie. Społeczeństwo Północy stoi w obliczu niespodziewanej próby.

Reakcja była zdumiewająca: wszyscy zniknęli ze ściany. Było jasne, co teraz robią. Każdy wywoływał kogoś wyższego, to jest niższego w hierarchii. Wolno im było przekazać informację, lecz wszystko, co stanowiło już ich myśl, ginęło w świadomości biernej. Ale na wprost, ściana stała teraz realna i obecna Milicja. Swoim dramatycznym głosem, którego górne rejony były ponoć niedostępne mojemu prymitywnemu dwudziestowiecznemu słuchowi, powiedziała cicho:

- Zarządzam Sąd Świadków.

Docent szarpnął się, jakby go ktoś uderzył.

- Jak to? Za co?

- Proszę otworzyć posiedzenie właściwą formułą, Docencie.

Docent chwilę milczał, jakby się namyślał, czy nie powinien uciec. Wreszcie zaczął mówić:

- Wobec faktu, iż obywatele tego kraju osiągnęli szczybel świadomości pozwalający im bez wyjątku zasiadać w sądach przysięgłych, jak również z uwagi, że nie ma potrzeby utrzymywania podziału na strony i świadków, zarządza się, że wszelkie sprawy zagrażające społeczeństwu sądzić mają prawo i obowiązek obywatele, którzy pierwsi zetknęli się z faktami wymagającymi wymiaru kary...

- Otwieram przewód - powiedziała cicho Milicja.

- Gdzież są ci świadkowie? - zachnął się Docent. - Przecież nie ten dwudziestowieczny Eksponat.

- Cała rada naukowa Muzeum, którą zwołałeś przecież... - odwróciła się w stronę ściany.

Spostrzegła, że jest teraz pusta, podeszła do tablicy kontaktowej i zagrała na klawiaturze guzików. Ale na ścianie pojawiły się tylko ramy ekranów.

- Wszystkie zajęte? - zdziwiła się jakby z niepokojem.

- Wszyscy przekazują dalej informacje. Uzgadniają w dół, aż do parteru. Żeby nie było katastrofy na przeciążonych łączach - szydził zbuntowany Docent. - A może byś się ustosunkowała teraz do sprawy, nie do mnie.

- Wiesz, coś popełnił?

- Ujawniłem prawdę o grożącej nam zagładzie.

- Taka prawda nie była zaprogramowana, więc nie może być prawdziwa. Mogłeś spowodować panikę... Mogłeś spowodować masowe zgony przez przeciążenie świadomości biernej naszego społeczeństwa, mogłeś...

- Jestem za karą zsyłki w niezbadane - padł nagle głos od strony ściany. W ekranie pierwszym z lewej strony od góry pojawił się Profesor. I nagle ściana zaroiała się od uprzednich gości Docenta.

- W niezbadane!

- Nie... niezbadane... dane - rozgwar jednomyślniej formuły na chwilę zawibrował głosami.

Wiedziałem, jako Eksponat, że karę tę stosuje się wobec najcięższych przestępstw. Oni chętni się, że od półwiecza nikt nie był na nią skazany. Oskarżony umieszczony w pocisku kosmicznym zostaje wysłany do ostatniej nie zbadanej strefy gwiazdnej, skąd nigdy jeszcze człowiekowi nie udało się powrócić. Zawsze tylko te nadawane zapisy „jadę po mlecznej drodze”, minąłem „Orion”, „ląduję obok Kasjopei” i już nic. Cały ich czułościowy humanitaryzm wygląda z przepisów porządkowych dotyczących wykonania wyroku. Oto Dyrektor Centrali Zbytu Opadów ma wyścielić skazanemu drogę najlepszymi chmurami, bariera z promieni złotych księżycy stanowi szlak oparcia balistycznego, wiatry z Lazurowego Wybrzeża mają mu dmuchać w wentylatory... A wszystko to po prostu, aby się pozbyć osobnika, który łamie ich poglądy na historię i dzień dzisiejszy.

Milczałem, bo mówienie było mi wzbronione, cała moja świadomość miała pozostać utajona. Milczałem, i tu wśród nich, pewnych i zadufanych, tak mądrych, pomyślałem sobie, że wolałbym milczeć na ziemi, gdyby mi do ust włożono kamień, boby mi ten kamień naszą ziemię, inną, choć straszną, lecz wolniejszą, przypominał. Na razie byłem z nimi. I to w sytuacji dość koszarnej. Muzeum Wieku XX było, jak się okazuje, pomieszczeniem tradycyjnie, zwyczajowo traktowanym jako kryminal. Wobec sterowania myślą społeczną nie było potrzeby budowania więzień, bo przestępstw typu kryminalnego, odkąd posiadanie było obowiązkiem, a nie przywilejem, po prostu nie było.

Milicja i Docent milczeli. Oboje przyglądali mi się w dużym skupieniu. Aż poczułem się dziwnie, jakbym to ja miał opuścić ziemię. Zauważyłem, że w pewnej chwili Docent spostrzegł wzrok Milicji, wbity we mnie, i uśmiechnął się triumfalnie.

- A jednak - powiedział.

- Co za „jednak”?

- A jednak mi wierzysz. Popatrzysz, jacy oni są.

- Co za oni? - broniła się obłudnie.

- Ci, co się wyłonią z dna oceanu, żeby nas...

- Milcz! - krzyknęła spazmatycznie.

Docent roześmiał się triumfalnie.

- A będę jednak miał tę satysfakcję, jaką ma naukowiec, gdy potwierdza się jego hipoteza, gdy widzi rezultaty swojej pracy.

... Nawiązywał do ich systemu bodźców. Wynagrodzeniem ich jest widok wysiłków pracy. Lekarz leczy i za to widzi wyleczonych. Kiedyś, gdy było jeszcze trochę miejsca, grał w futbol z inwalidami, dziś ściska ich odrośnięte ręce, słucha śpiewu ludzi, którym wstawił nowe płuca czy struny głosowe... System zrodził się zresztą w latach pionierskich społeczeństwa, gdy po straszliwej w skutkach zwycięskiej wojnie Północ odbudowywała świat, gdy rozkuła z lodów Arktykę (dziś jest tam wypalona przez sztuczne słońce pustynia), gdy zaczynała uprawiać dno oceanu (dziś marzą o wyrzuceniu oceanu na orbitę księżycową tak jest plugawie zanieczyszczony).

- Więc tego chciałbyś? - zapytała z nie ukrywaną złością Milicja.

- Widzieć rezultat! Widzieć, jak z dna morza podnosi się zagłada naszej cywilizacji, wynurza się z prehistorii niczym z tego okropnego Muzeum...

W tym momencie bez żadnych czyichkolwiek manipulacji przy pulpicie sterowniczym wideotelewizor

rozjarzył się.

Ktoś, wobec kogo Milicja natychmiast stanęła na baczność, a Docent wyjął rękę z kieszeni, głosem przerywanym ze wzruszenia oznajmił, że na powierzchnię Morza Centralnego wyłoniło się nie zidentyfikowane ciało, bryła materialna, która według nie sprawdzonych jeszcze pogłosek może być ostatnią zdeponowaną na stulecia na dnie morza odwetową siłą uderzeniową zniszczonego Południa. Wzywa się społeczeństwo... - i tu nastąpiły sformułowania tak dobrze znane z dwudziestego wieku.

Obraz na ścianie wygaśł pozostawiając nas troje.

- A jednak! - westchnął Docent. - Skoro się pojawia ciało materialne, to znaczy, że istnieje realnie to, co było skryte tylko w myśleniu utajonym! Jaki stąd wniosek? - zatrzymał na mnie płonące spojrzenie. Znieruchomiał.

- Milicjo - szepnął - Milicjo, jego trzeba natychmiast zabezpieczyć! Tylko on może być naszym parlamentariuszem w pertraktacjach ze swoimi - tu zawahał się szukając właściwego słowa... - ze swoimi rówieśnikami.

I wówczas rozpoczął się nieprzytomny galop wydarzeń. Przypuszczam, że wiek ich historii mniej ich w sumie, zawierał niż ta godzina. Ledwie Milicja skończyła wysyłany gdzieś meldunek, że jestem „zabezpieczony” jako parlamentariusz, gdy włączył się Docent zgłaszając uwagę, że tylko świadomość bierna Ekspozycja może gwarantować pełną jego (to jest moją) sprawność umysłową w pertraktacjach. Zaraz też odczułem jakiś łagodny wstrząs i zacząłem mówić: Słowa, zdania, okrzyki. Przygłuszył je komunikat, że powołana już Rada Ocalenia Publicznego mianuje mnie parlamentariuszem, wówczas Docent krzyknął, że ktoś z nich musi mi towarzyszyć w rozmowach. „Z licznych względów”, zakrzyczał, jakby może insynuował, że nie daję gwarancji lojalności.

- Jeśli kto ich zna - szepnęła Milicja, mając na myśli nas - mieszkańców XX wieku, którzy oto tak dramatycznie i groźnie wizytują przyszłość - to właśnie, on, Docent. Tylko on! - wołała.

Za sekundę Docent wyskoczył do góry niczym zawodnik po strzeleniu gola - w rękach trzymał własną głowę.

- O durnie! O ile zaraz nie odblokujecie świadomości biernej naszego społeczeństwa, obaj z nim - Samozwaniec wskazywał na mnie - wysadzimy ten skamieniały gnój w powietrze!

Dziki radosny gwar niósł się ze wszystkich setek pięter kamiennego świata. Formuły chemiczne wynalazców, strofy poetów, majestatyczne nawoływania proroków i bluźniercze okrzyki radosnych ateuszy krzyżowały się pod nami, gdy jakaś siła niosła nas w szalonym tempie.

- Co to jest?! - zawołałem do Docenta.

- Podróż w niezbadane; jedziemy w przeszłość - krzyczał ku mnie. Głowę swą trzymał oburącz, niczym triumfujący bramkarz piłkę.

Ale widocznie wiatry Lazurowego Wybrzeża, o których słyszałem, że stanowią wentylację pojazdu, wiały zbyt dynamicznie. Ogarnął mnie potężny strumień powietrza. Jakbym był korkiem od gigantycznej cysterny szampana - z taką energią wzleciałem gdzieś wśród kolorowych i burych mgieł, i czegoś, co było już niczym. Spojrzałem w dół: pode mną nie było nic.

Więc jednak... - zdołałem pomyśleć, czując już tylko kojący ból, kojący, bo zgodny z całą resztą świata, z tym, co jedynie pozostało.

# Wiesław Brudziński

## SALON ILUZJI

Do odejścia pociągu miałem blisko trzy godziny, na zwiedzanie miasta było już za ciemno, postanowiłem więc pójść do teatru. Najbliższy znajdował się w wielkim, zbudowanym w monumentalnym stylu gmachu. Kasę już najwyraźniej zamknięto, choć widzowie schodzili się jeszcze. Wsunąwszy bileterowi banknot w rękę, przedostałem się na widownię. Właśnie gaszono światła i kurtyna szła w górę; wkoło przycichł gwar zaciekawionej publiczności. Usiadłem na pierwszym z brzegu wolnym miejscu i spojrzałem na scenę.

Zjawił się na niej niemłody, szczerbaty komik, sądząc z burzy oklasków popularny wśród widzów, i w dość zabawny sposób począł wygłaszać monolog Hamleta. Nie była to parodia najwyższej klasy, niemniej sylwetka aktora miała nieodpartą siłę komiczną. Hamlet w jego wykonaniu jąkał się, seplenił, skrobał w głowę i miał minę tak nieszczęśliwą, że wkrótce wybuchnąłem szczerym śmiechem.

Urwałem jednak przerażony, gdyż wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę. Moi sąsiedzi patrzyli na mnie z oburzeniem i największą odrazą. Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, że publiczność mimo powitalnych oklasków zachowuje grobowe milczenie i tylko ja, wyrwawszy się nie w porę ze śmiechem, różnię się krańcowo w ocenie występu od opinii ogółu. Ponieważ nie jest to na ogół rzeczą bezpieczną, skwapliwie skorzystałem z przerwy w występach, aby opuścić teatr. Szybko zbiegłem po schodach ku wyjściu.

Musiałem jednak pomylić drzwi, gdyż nagle znalazłem się na sali sądowej. Przemawiał właśnie adwokat, usiłując nie wiadomo dlaczego ocalić od szubienicy ponurego draba o lombrozowskiej fizjonomii. Dawno już nie słyszałem równie kiepskiego przemówienia. Adwokat w zapale przeczył sam sobie i każdym zdaniem pogrążał tylko swego klienta, grzebiąc wszelkie szansę, na łagodny wyrok.

Toteż byłem bardzo zdumiony, gdy sąd po naradzie wydał wyrok niewinniający, a uszczęśliwiona rodzina oskarżonego długo gratulowała nieudolnemu obrońcy.

Wychodząc z sali dałem wyraz swej opinii o mowie adwokata. Jakiś starszy, szpakowaty pan spojrzał na mnie ostro i zapytał:

- Nic wam w kadrach nie mówili?
- W kadrach? - zdziwiłem się.
- A co, jesteście na zastępstwie?
- Nie rozumiem.
- No, skąd się pan tu znalazł? - krzyczał szpakowaty.
- Zupełnie przypadkowo - wyjaśniłem powstrzymując oburzenie. - Wyszedłem z teatru i musiałem pomylić drzwi.

- Ach, jest pan na etacie widza!

- Na jakim etacie? Miałem trochę czasu do odejścia pociągu, więc poszedłem do teatru. Czy to takie dziwne?!

Starszy pan rozchmurzył się nieco.

- Rozumiem - powiedział. - Tylko jak tu pana wpuścili bez legitymacji?

Zrobiłem wyjaśniający gest ręką. Szpakowaty pokiwał smętnie głową.

- Tak, tak, jesteśmy instytucją państwową, a więc nierentowną, nasz personel ma niskie uposażenia...

Miałem już dość tych zagadek.

- Czy może mi pan wyjaśnić, co to wszystko znaczy?!

Starszy pan skłonił się grzecznie.

- Jak najchętniej. Jestem dyrektorem Przedsiębiorstwa Państwowego p.n. SALON ILUZJI. Naszym zadaniem jest pomagać ludziom pracy za umiarkowaną opłatą w osiągnięciu sukcesów. Zatrudniamy



kilkuset pracowników, którzy stwarzają atmosferę powodzenia naszym klientom. Jedni pracują jako widzowie teatralni, inni są sędziami, oskarżonymi, redaktorami czasopism, pacjentami, czytelnikami, nieśmiałyimi interesantami lub rozentuzjasmowanym tłumem, zależnie od zamówienia. Klientelę mamy bardzo różnorodną: lekarze bez pacjentów, aktorzy bez ról, byli dygnitarze, których w życiu już nikt się nie boi...

- A więc ten adwokat był właśnie klientem, a sędziowie, oskarżony, prokurator i cała reszta to wasz personel?

- Oczywiście. Dlatego tak się zdenerwowałem, gdy pan wyraził się pogardliwie o mowie adwokata. Nasz personel nie jest jeszcze należycie wyszkolony, mieliśmy z nim sporo kłopotu. Początkowo gwizdali na występach, tłumacząc się potem, że nie mogli klaskać, bo im się nie podobało. Trzeba było dłuższego szkolenia, aby nauczyli się reagować prawidłowo. Teraz już biją brawo, gdy tylko im się coś nie podoba. Muszę na ich wytłumaczenie dodać, że był okres, kiedy przychodzili do nas tylko prawdziwi artyści, ponieważ miernoty miały powodzenie w życiu. Zdarzają się też wyjątkowo zarozumiali klienci, którzy uważają, że w życiu mają za wielkie powodzenie i zamawiają sobie u nas porcje gwizdów, aby nie zubożnąć na smak sukcesu.

- Zaraz, zaraz, ale dlaczego ten parodysta, którego występ oglądałem uprzednio, został przyjęty tak niezyczliwie? Nikt się nawet nie uśmiechnął.

- I słusznie. To wcale nie był parodysta. To był tragic.

Zamyśliłem się.

- Przepraszam pana bardzo, ale czy ja nie mógłbym na przykład być w pańskim przedsiębiorstwie parę godzin amantem filmowym albo mistrzem świata w boksie? To musiałyby być bardzo ciekawe?

- Pan zdaje się nie zrozumiał założeń naszej placówki. Jesteśmy przedsiębiorstwem z określoną funkcją społeczną, a nie jakimś wesołym miasteczkiem. Każdy człowiek, aby się nie załamać musi od czasu do czasu mieć w życiu jakiś sukces w pracy zawodowej. My oferujemy mu taki sukces po cenach sztywnych. Potem może znów czas pewien znosić niepowodzenia. To wszystko.

Podziękowałem memu informatorowi za ciekawe wyjaśnienia.

- Może tylko jeszcze jedno pytanie. Czy nie zdarza się, aby wpadł do was czasem któryś ze znanych pisarzy lub sławnych aktorów?

- Nie. Oni mają przeważnie swoje własne salony iluzji.

# Jan Brzechwa

## USZY

Czy przyglądaliście się kiedykolwiek uważnie ludzkiemu uchu? Ile staranności i wysiłku włożyła natura w ten szczytkowy i nieużyteczny ornament twarzy! Serce, które uchodzi za siedlisko romantycznych uczuć i wrażliwości, to po prostu mięsisty worek, miech ssąco-tłoczący, brzydki i niekształtny. Natomiast koncha uszna zadziwia misterną kompozycją szczegółów, proporcją zgięć i zakrętów, różową przejrzyistością, elastyczną budową chrząstki. Zarówno nazwa, jak i podobieństwo do muszli nadają uchu wartość niemal klejnotu, zwłaszcza na tle ogólnego układu anatomicznego człowieka.

Toteż nieobliczalny wybryk Joanny zdołałem sobie wytłumaczyć dopiero nazajutrz, gdy w samolocie oddałem się obserwacji ludzkich uszu. Przyglądałem się im w oderwaniu od reszty twarzy, przenosiłem wzrok z jednych uszu na drugie, starałem się eliminować twarz, a całą uwagę skupić na tym jednym szczególe. Po kilku minutach uporczywej koncentracji wzroku ludzie przestali dla mnie istnieć. Widziałem już tylko uszy, ich misterne zagięcia, rozróżniałem różnorodność kształtów. Uszy wypełniały całą kabinę samolotu. Jedne na pozór drobne i delikatne, inne odstające, mięsiste i owłosione, obwisłe albo skośne, a w gruncie rzeczy wszystkie obrzydliwe. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że uszy są właściwie odrażające. Mają w sobie coś zwierzęcego. Teraz, kiedy utraciły dyskretną niedostrzegalność, wynikającą z nawyku oczu, wydawały mi się nienaturalną naroślą, podobną do grzybów pasożytujących na pniu drzewa. Zrozumiałem, że uszy mogą budzić wstręt. Pamiętam dotychczas uczucie przerażenia, jakiego doznałem w latach młodości, gdy odgarniając kochance włosy stwierdziłem w miejscu konchy usznej drobny, zwyrodniały płatek skóry, przypominający ucho myszy albo nietoperza.

Wróćmy jednak do mojej Joanny, tej istoty kochającej, pełnej delikatności i słodyczy.

Działo się to we wrześniu. Parę dni naprzód kupiłem cztery bilety na doskonałą francuską komedię i zaprosiłem Joannę oraz mego kolegę z żoną, kobietą bardzo ładną, ale mającą, niesłusznie moim zdaniem, opinię zimnej kokietki. Joanna podzielała to zdanie i nawet na wiadomość o zaproszeniu przeze mnie tamtej pary usiłowała wykrecić się od pójścia do kina. W końcu jednak dała się namówić.

Wyszliśmy z kina wszyscy czworo około dwunastej w nocy i spacerkiem udaliśmy się na pobliski parking, gdzie zostawiłem samochód.

Pierwszy ja usiadłem za kierownicą i pootwierałem drzwi, następnie Joanna zajęła miejsce za mną na tylnym siedzeniu, ustępując swego stałego miejsca obok mnie żonie mego kolegi. Zanim jednak tamci dwoje zdążyli wsiąść do samochodu, Joanna zniecka chwyciła mnie z tyłu za lewe ucho i zakręciła nim z całej siły, jakby mi je chciała oberwać. Poczułem dotkliwy ból, ale na żadne wyjaśnienia nie było czasu, gdyż moi goście właśnie zajęli swoje miejsca. Na szczęście żadne z nich nie zauważyło tej przykrej sceny. Oszołomiony tym niespodziewanym wybrykiem, włączyłem silnik i ostro ruszyłem z miejsca. Joanna przez całą drogę prowadziła ożywioną rozmowę, krytykowała film, raz po raz wybuchła nerwowym śmiechem. Nie odzywałem się do niej. Zastanawiałem się nad jej postępkami. Czyżby to był wybuch tajonej nienawiści? Co nią powodowało? Nigdy nie zauważyłem w niej najmniejszych skłonności do okrucieństwa. Znałem ją jako istotę pełną delikatności i słodyczy.

Pożegnaliśmy się w milczeniu. Wróciłem do domu z osadem goryczy w sercu, a nazajutrz znalazłem się w kabinie samolotu. Tak, to właśnie wtedy. Musiałem wyjechać na kilka dni.

Czy przypominacie sobie „Les contes de minuit”, tę uroczą książkę Duhamela? Czy pamiętacie postać urzędnika, który wpatruje się w ucho swego szefa i nie jest w stanie opanować nedorzeczej chęci, aby tego ucha dotknąć? A więc może sam widok ucha budzi w człowieku ten irracjonalny, nieuzasadniony gest?

Nigdy nie doznawałem podobnych uczuć, ale dlaczego miałbym wykluczyć możliwość ich istnienia w kim innym? Chociażby w Joannie. Tak, to był chyba jedyny motyw, który nią kierował. Raczej nie motyw,

lecz odruch. Moje uszy obudziły w niej wstręt, wyzwołyły nienawiść odczuwaną nie do mnie, lecz do nich.

Przypomniałem sobie kilku moich znajomych, o których wiedziałem, że żywią wobec mnie wyraźną niechęć, chociaż nie dałem im do tego powodu.

Coraz bardziej nabierałem przekonania, że i w tym wypadku musiały odgrywać rolę moje uszy. Prawdopodobnie podrażniona wrażliwość estetyczna wywoływała podświadomą antypatię.

Nie chciałem być posądzony o zarozumiałstwo, ale muszę stwierdzić, że ani moja powierzchowność, ani cechy charakteru, ani sposób bycia nie powinny w nikim budzić niechęci. Przeciwnie, uchodzę za człowieka obdarzonego pewnym urokiem osobistym, towarzyskiego i łatwego w obcowaniu. Muszę jednak otwarcie wyznać, że uszy mam raczej nieładne. Powiedziałbym nawet - zdecydowanie brzydkie. I to one właśnie, jak sądzę, zrażają do mnie ludzi. One zdolne były także popchnąć Joannę do brutalności, która jest tak obca jej łagodnej i delikatnej naturze.

Rozważając przykry incydent owego wieczoru, stanąłem przed lustrem, ażeby raz jeszcze przyjrzeć się moim uszom. Istotnie, miały w sobie coś obrzydliwie skrzydlatego, wyrażały drapieżność i arogancję. Im dłużej wpatrywałem się w ich odbicie tym jaśniej zaczynałem rozumieć, że muszą one budzić nieprzychylne uczucia. Zapewne zdarzają się ludzie, którzy mają odmienny sposób patrzenia, którzy patrzą nie widząc. Ich wzrok nie zatrzymuje się na niczym. Jest to wzrok pozbawiony wyobraźni. Zresztą, większość ludzi cierpi na tego rodzaju aberrację. Joanna należy do typów pośrednich. Kocha mnie, a równocześnie ma obsesję na punkcie moich uszu.

Ta myśl nie dawała mi spokoju. Chodziłem po mieszkaniu czując, że nie zasnę. Ucho bolało mnie i piekło na samo wspomnienie przykrego incydentu. Joanna, ta istota pełna słodyczy, wydawała mi się teraz ognistym ptakiem, którego dziób wbija mi się w mózg.

Zrozumiałem, że muszę rozładować w niej kompleks uszu, gdyż w przeciwnym razie nasza miłość skazana będzie na zagładę.

Nagle wzrok mój zatrzymał się na reprodukcji autoportretu Van Gogha, która wisiała nad kominkiem. Ten wielki, nieszczęśliwy i antypatyczny szaleniec patrzył na mnie chytrze i porozumiewawczo spod bandaża, który zakrywał ranę po obciętym uchu.

A więc nie tylko ja! On także we własnych uszach widział przyczynę swoich klęsk i niepowodzeń. On także miał swoją Joannę, która popchnęła go do tego rozpaczliwego kroku. Teraz wiedziałem już, co mam zrobić.

W sobotnie popołudnia Joanna przychodziła do mnie na obiad, który przyrządzałem własnoręcznie, jako że mam szczególne zamiłowanie do spraw kulinarnych. Lubię na targowiskach wyszukiwać sezonowe przysmaki, znam się na kuchni i nie brak mi w tej dziedzinie pomysłowości, a nawet wyrafinowania.

Tej soboty czekałem na przyjście Joanny bardziej niecierpliwie niż kiedykolwiek. Nie widzieliśmy się od kilku dni, a ponieważ oboje mamy wstręt do niesnasek, spotkanie to musiało być dla niej upragnione w tym samym stopniu, co dla mnie.

Wcześniej niż zazwyczaj rozległ się dzwonek. Otworzyłem drzwi. Na widok mojej obandażowanej głowy Joanna zatrzymała się w progu. Spojrzała przerażona, a potem głosem pełnym niepokoju zapytała, co mi się stało.

- Ach, to drobiazg - odparłem tuląc ją do siebie. Zrzuciło mi wóz i wpadłem na słup. Głową rozbiłem szybę. Ale to nic poważnego. Lekkie zadrapania.

Joanna posmutniała, po chwili jednak uśmiechnęła się i podała mi usta do pocałunku. Nie miała żadnych podejrzeń.

Wrześniowe słońce rozsypywało złociste blaski po stole, który nakryłem ze zwykłą starannością.

Napełniłem kieliszki starką i przyniosłem z kuchni tacę zastawioną różnymi przysmakami. Joanna lubiła nasze sobotnie uczyty i cieszyła się każdą kulinarną niespodzianką.

- Rydz! - zawołała z radością, opróżniając łyżką patelnię. - Jaki ty jesteś miły! Szkoda, że muszę jeść je sama...

Joanna wiedziała, że odkąd w dzieciństwie zatrąłem się grzybami, nabrałem do nich nieprzezwyciężonego uprzedzenia.

Wypiliśmy wódkę, a potem, słuchając jej beztroskiej paplaniny, czekałem, aż Joanna zje przyrządzone przeze mnie rydze.

Nagle zerwałem się z krzesła i zawołałem jakimś obcym, histerycznym głosem:

- Smakowało ci? A wiesz, co zjadłaś? Zjadłaś moje uszy! Rozumiesz? Moje znenawidzone przez ciebie uszy! Na pewno zauważyłaś, że ich zawinięte brzegi były uderzająco podobne do rydzów. Obciąłem je brzytwą. Tak jak Van Gogh! Rozumiesz! Trochę nawet bolało, ale mniej, niż przypuszczałem... Oczywiście, zanim to zrobiłem, zadzwoniłem po pogotowie. Jestem, jak wiesz, przeczorny i systematyczny...

Joanna patrzyła na mnie ze zgrozą. Naprzód pobladła, a po chwili stała się zielona jak człowiek na statku w czasie sztormu.

- Naprawdę nie bolało - mówiłem wpatrując się w drobne kropelki potu, które wystąpiły na jej prześlicznym, nieco zadartym nosku. - To zresztą nieważne... Chcę ci opowiedzieć, jak je przyrządziłem... Naprzód gotowałem tak długo, aż stały się miękkie.. Potem rzuciłem na roztopione masło... Smakowały ci, prawda?

Chwyciłem butelkę, aby ponownie napełnić kieliszki, ale Joanna wykonała dziwaczny ruch dłonią i zsunęła się z krzesła na podłogę.

Wziąłem ją na rękę i przeniósłem na tapczan. Była piękna w tym swoim omdleniu. Twarz miała bladą, niemal przezroczystą, usta chłodne i skrzywione, być może jak wtedy, kiedy mnie szarpnęła za ucho.

Po chwili zaczęła wracać do przytomności. Gdy otworzyła powieki, zdarłem z głowy bandaż i powiedziałem z czułością:

- Głupiatko... To były zwyczajne rydze...

Joanna przyglądała mi się w milczeniu. Palcem pogłaskała moje lewe ucho, potem prawe. Wstała z tapczanu i uśmiechnęła się zawstydzonym, roztargnionym uśmiechem. Nie, to nie był uśmiech, ale raczej grymas dziecka, któremu zbiera się na płacz. Istotnie, po twarzy jej płynęły łzy.

Kiedy wróciliśmy do stołu, Joanna łapczywie wychyliła kieliszek wódki, ale jeść więcej nie chciała. Spojrzenie jej błądziło po mojej twarzy, nie wyrażając ani gniewu, ani czułości.

- Wiesz - powiedziała po chwili. - To dziwne... Nigdy dotąd nie zwróciłam uwagi na twoje uszy. Mam wrażenie, że dzisiaj widzę je po raz pierwszy...

Przyciągnąłem ją do siebie, całowałem, głaskałem po włosach, było mi wesoło i smutno zarazem.

Joanna siedziała zamyślona, a potem powiedziała, że źle się czuje, i poprosiła, żebym ją odwiózł do domu. Na pożegnanie pocałowała mnie w ucho.

Była naprawdę istotą pełną delikatności i słodyczy.

Nie widzieliśmy się więcej. Naprzód byliśmy oboje bardzo zajęci. Później ona przeniósła się do innego miasta, a ja wyjechałem służbowo na rok do Wietnamu.

Na ścianie zamiast autoportretu Van Gogha wisi teraz reprodukcja krajobrazu Utrilla. Widok ośnieżonej paryskiej ulicy nic mi nie przypomina.

# Andrzej Bursa

## SMOK

Do odjazdu autobusu pozostało mi jeszcze kilka godzin popołudnia i cały niemal wieczór. Gotowy do drogi, z teczką i trenczem przerzuconym przez ramię, usiadłem na skarpie porośniętej bujną trawą. Materiał do reportażu o trudnościach i problemach wytwórców stylowych uprząży we wsi Grząźle miałem zebrany solidnie, tak że nawet przeglądanie brulionu celem skontrolowania notatek nie miałyby sensu.

Pozostawało mi sześć godzin beczynnego oczekiwania w Grząźlach na autobus.

Na szczęście było ciepło i słonecznie, mogłem więc wyciągnąć się wygodnie na łące. Było stąd widać prawie całą wieś. Grząźle były wsią dużą, szeroko wybiegającą przysiółkami w okoliczne wzgórza i kotliny. W rynku obok zwyczajnych słomą krytych chałup stały dwie jednopiętrowe kamieniczki i murowana piekarnia mechaniczna. Niżej ciągnęły się pola i płynęła pośród wiklin wartka rzeczka. Wszystko to otaczały góry porośnięte na szczytach świerkowym lasem. Grząźle były typową wsią górską, mieszkańcy ich trudnili się przede wszystkim pasterstwem i wyrobem stylowych uprząży. Z racji swojego położenia geograficznego Grząźle odcięte były od większych ośrodków, ale mimo to grząźlacy byli stosunkowo dość kulturalni i chętnie garnęli się do szkół, nawet, jak mnie poinformowano, pewien niedawno zmarły profesor najstarszej wszechnicy kraju pochodził z Grząźli.

Tak więc leżąc na brzuchu wśród bujnej trawy, przyglądałem się grzązielskim zabudowaniom i przyrodzie. Leniwie paliłem papierosy i mrużyłem oczy pod słońce, co dawało mi jaką taką rozrywkę. W pewnej chwili zauważyłem, że niedaleko mnie przycupnął jakiś chudy staruszek. Po chwili staruszek zbliżył się do mnie niosąc w palcach krótki szerniały niedopałek i poprosił o ogień. Poczęstowałem go papierosem. Początkowo się wzbraniał, ale w końcu skwapliwie wziął dwa. Zapalił i rozsiadł się wygodnie koło mnie. Przyjąłem to z rezygnacją. Ostatecznie staruszek nie wydawał mi się bynajmniej bardziej nudny od grzązielskich gór i obłoków.

Zaczęliśmy pogawędkę. Staruszek był emerytowanym nauczycielem grzązielskiej szkoły. Skarżył się na bóle w stawach. Byłem nawet zadowolony z takiego obrotu rozmowy. Staruszek nie żądał, abym dzięki mojemu dziennikarskiemu stanowisku wystarał się mu o zapomogę i nie wtajemniczał mnie w sprawy mieszkańców Grząźli. Byłem mu za to wdzięczny i uprzejmie wysłuchiwałem jego skarg na bóle w stawach. Paliliśmy już drugiego papierosa, gdy zauważyłem, że na rynku zbierają się ludzie. Zbiorowisko to przypominało wieśniaków wychodzących z sumy. O ile mogłem z daleka rozpoznać, chłopci odziani byli odświętnie i czysto. Staruszek spojrzał w ich stronę i zakonkludował obojętnie:

- Oho, już się szykują...
- Do czego?
- Pan redaktor nie wie? - zdziwił się. - Dziś dwudziesty maja... Święto smoka.
- Jakiego smoka?
- Jak to, nie słyszał pan o grzązielskim smoku? Ludzie panu nie opowiadali?
- Nnnie... A może?...

Przypomniałem sobie, że gdy mówiłem w klubie o swoim wyjeździe do Grząźli, któryś z kolegów wspomniał o grzązielskim smoku. W tym momencie jednak kelner przyniósł wódkę i po wypitej kolejce rozmowa zeszła na inne tory. W dzisiejszej mojej rozmowie z przewodniczącym Rady Wiejskiej też zdaje się padło słowo „smok”, a bodajże nawet „święto smoka”. Jednak niczego więcej się nie dowiedziałem, więc poprosiłem mojego rozmówcę o wyjaśnienie, na czym polega święto smoka.

- O, to stary zwyczaj - powiedział staruszek - sięgający chyba jeszcze pogańskich czasów. A polega to na tym, że raz do roku, wieczorem, dwudziestego maja, rzuca się smokowi mieszkającemu w jamie nad rzeką na pożarcie najdorodniejszego chłopca i najdorodniejszą dziewczuchę, z tym że obydwójce nie mogą

mieć lat więcej niż osiemnaście, a mniej niż szesnaście. Oczywiście przymiotnika „najdorodniejszy” nie można rozumieć dosłownie. Wybiera się po prostu jednego z wielu zdrowych chłopców i jedną z wielu zdrowych dziewcząt w tym wieku drogą losowania.

- A co nazywamy smokiem? - spytałem ubawiony.

- Smok jest najzupełniej autentyczny. Jest to stary, ogromny jaszczur o nieokreślonym bliżej gatunku. Mieszka o tam... - starzec wskazał palcem w kierunku olszyn po przeciwnej stronie rzeki. - Zresztą może pan zechce przyjrzeć się uroczystości? Przyłączymy się do ludzi, którzy muszą tędy przechodzić. Zobacz pan cały ceremoniał pożarcia.

Nie wiedziałem, czy starzec kpi sobie ze mnie, czy bredzi. Staruszek zauważył moją rozterkę i uśmiechnął się:

- Pan się dziwi? Wszyscy przyjezdni dziwią się, gdy się o tym dowiedzą. Ale potem oswajają się z tym faktem. Już trzydzieści lat temu Towarzystwo Krzewienia Wiedzy wśród Ludu podjęło pierwszą kampanię przeciw smokowi, ale przegrało. Problemem tym interesowały się także czynniki rządowe i partyjne, ale jak dotąd nie podjęły w tej sprawie żadnych zasadniczych kroków. Wie pan, prawdę mówiąc, władze licząc się z konserwatyzmem i umiłowaniem tradycji przez miejscowych górali przymykają po trosze oczy na sprawę smoka. Ja sam blisko trzydzieści lat temu jako działacz TKW w L ostro występowałem przeciw smokowi i innym zabobonom szerzącym się wśród ludności wiejskiej. Napisałem nawet kiedyś artykuł specjalnie poświęcony sprawie smoka pt. „Potwór wysysa sok najżywotniejszy”. Artykuł ukazał się w czasopiśmie „Pochodnia” będącym naszym organem. Już pięć lat przed wojną przestało wychodzić to czasopismo.

- Jak to - zawołałem wzburzony - więc co roku skazuje się na śmierć dwoje niewinnych ludzi, prawie dzieci?

- A tak... Wieś na tym specjalnie nie cierpi, bo grzaźlanki są szerokie w biodrach i rodzą nader łatwo, prawie bez bólu. Istnieje nawet takie przysłowie: „Grzaźlanka, daj Bóg zdrowa, bez łez wnuków się dochowa”. Książd nawet trochę sarkał na to przysłowie, twierdząc, że sprzeczne jest ono ze słowami Pisma świętego.

- A co robi smok przez pozostałą część roku?

- Leży w swojej jamie i śpi przetrawiając dwoje ludzi. Nie upomina się już o nic.

- A gdyby tak... gdyby tak... odmówić mu ofiary... Co by się stało?

- Nie wiem. Jeszcze nikt tego nie próbował.

- A gdyby tak zabić tego potwora... - zawołałem.

- To nie takie proste. Wydaje mi się, że tak rzadkie zwierzę znajduje się pod ochroną. Zresztą nie jest on wcale taki groźny, jak sobie pan redaktor wyobraża... Zobacz pan.

Tymczasem gościńcem nadchodził już pochód. Na czele szedł przewodniczący Rady Wiejskiej w towarzystwie dwóch chłopców, z których w jednym poznałem sekretarza komórki partyjnej, a w drugim artystę ludowego, snycerza Lelka. W odległości dobrych paru metrów za nimi dwie starsze kobiety, strojne w wykrochmalone spódnice i korale, prowadziły chłopca. Chłopiec, mimo iż nie miał więcej niż osiemnaście lat, był rostry i barczysty jak dojrzały mężczyzna. Czoło przecinała mu głęboka pozioma zmarszczka. Był to bardzo dorodny blondyn. Na szyi chłopca wisiał krótki sznur, poza tym był wolny, tylko baby podtrzymywały go lekko pod ramiona. Twarz chłopca była cała mokra od potu, szczęki lekko drżały. Dalej dwaj starzy chłopci w czarnych surdutach prowadzili dziewczynę. Ta ubrana w jedwabną sukienkę i pantofelki na wysokim obcasie szłochała bez przerwy. Raz po raz sięgała do białej torebki, by wyciągnąć z niej chustkę, wycierała hałaśliwie nos, chowała chustkę i znów wyciągała ją z powrotem. Dalej walił tłum bab, chłopów i dzieci.

Zeszliśmy z moim staruszkiem ze skarpy i przyłączyliśmy się do pochodu. Chłopi rozstąpili się i dali nam miejsce na czele tłumy tuż za dziewczyną. Pochód brnął w pyle rozgrzanej drogi, ludzie ocierali spocone czoła i posapywali. Po półgodzinnym marszu doszliśmy do kładki na rzece. Przed kładką

dziewczyna zaczęła histeryzować. Kładła się na ziemię, czepiała się butów chłopów i spazmowała. Pochód zatrzymał się, aby przeczekać atak. Niektórzy zapalili papierosy. Po chwili dziewczyna wstała, otrzepała sukienkę i posłusznie przeszła przez kładkę. Kładka była tak wąska, że przejść przez nią można było tylko pojedynczo, przeprawa trwała więc dosyć długo. Niektórzy zzuwali buty i przechodzili rzekę w bród.

Miejsce, w którym pochód zatrzymał się, nie różniło się niczym od całej przestrzeni ciągnącej się wzdłuż rzeki. Może tylko zarośla olch i wiklin były tu gęstsze. Lud ustawił się półkolem. Przewodniczący wznosił rękę i wyrecytował:

*O smoku zielony*

*Siarką karmiony*

*Do tego sioła*

*Gromada woła*

*Przyjm ofiarę*

*Przyjm ofiarę.*

W wiklinie zaszurało coś i wyszedł smok.

Był to czterometrowej długości gad ślepy i wyleniały. Z trudem stawiał miękkie, słabe łapy.

*Stań se pyskiem do zorzy*

*Do zachodu chwostem*

- wyrecytował znów przewodniczący, a widząc, że smok grzebie się niezgrabnie, uderzył go kijem w grzbiet: - Nuże, nastap się! - zawołał ostro.

Smok prychnął i stanął posłusznie, jak mu kazali. Chłopiec, który dotychczas zachowywał się spokojnie, zzieleniał i poruszył się.

- Matko - wymamrotał do jednej z trzymających go bab - zemdlilo mnie trochę.

Baby odprowadziły go kilka kroków w bok i troskliwie przytrzymały mu głowę. Chłopiec zwymiotował i skwapliwie otarł usta rękawem. Baby zaprowadziły go pod sam pysk smoka i cofnęły się. Chłopiec ukląkł na ziemi, przeżegnał się i wybełkotał naśladowując ton przewodniczącego:

*Żegnam ciebie rodzinno*

*I ty miła dziewczyno*

*I słoneczko jasne*

*I pole zielone.*

- Amen - odpowiedział tłum.

Wtedy smok zbliżył się, obwąchał chłopaka, zgarnął Japami pod siebie i rozerwał. Rozerwane szczątki połknął trzema długimi kęsami. Teraz przyszła kolej na dziewczynę. Nie płakała już. Ukląkla, wytarła nos i wyrecytowała formułkę. Smok załatwił się z nią trzema kłapnięciami paszczy.

Przewodniczący powiedział:

*Smoku ofiara ci dana*

*Wracajże do swojej jamy.*

Smok uniósł się z wysiłkiem i zniknął w wiklinie. Przewodniczący zaintonował pieśń. Ludzie śpiewali ospale. Ostatnich słów nikt już nie śpiewał. Tłum rozchodził się. I na mnie była już pora. Autobus odchodził za dwadzieścia minut.

# Michał Choromański

## KRZYŻÓWKA

Golił się przed lustrem i myślał:

„Franek mnie zastrzeli, na pewno zastrzeli. Trzeba powiedzieć, żeby nikogo do mnie nie wpuszczali. Ale jak to zrobić? Zdjąć z drzwi kartkę, że do Grzegorza Hysza należy dzwonić dwa razy. Wszystko jedno, zadzwoni, niech nawet raz, i zapyta Zagajłłę, czy tu mieszka doktor Hysz. Proszę bardzo, proszę bardzo, drzwi na prawo. Nie słyszałem, żeby wychodził. Albo jeszcze gorzej, drzwi otworzy pani Kubłakowa powie: ktoo, czeego, i od razu cofnie się do kuchni. Franek poruszy wąsikiem, i przejdzie przez przedsionek. Kubłakowa ma przeszło osiemdziesiąt lat i ledwie powłóczy nogami. Zagajłło przynajmniej jest tęgi, ale też podszyty tchórzem, za drzwi się z pewnością nie wychyli, jeżeli posłyszysz strzał. Zresztą, mój Boże, cóż to za nonsens. Oczywiście, że się zaciąłem. Trzeba będzie potem przyłożyć kawałek papieru. Dlaczego nonsens? Franek może wieczorem obserwować dom z ulicy. Jeżeli w naszym mieszkaniu pali się światło tylko w narożnym pokoju, wiadomo będzie, że jestem w domu. To domyślna kanalia. Nie będzie dzwonił, zacznie dobijać się pięścią. Zasłoni sobie chustką usta i powie zmienionym głosem, że to telegram. Potem, nawet nie wchodząc, wystrzeli wprost przez szparę kilka razy. Będzie celował w pierś i w brzuch, bo mówił, że trafieni w brzuch najwięcej się męczą. Znowu nonsens. Po co by miał hałasować, z pewnością zbiegliby się lokatorzy z innych mieszkań. A może nie. Kto posłyszysz strzał z rewolweru, kiedy na całą klatkę schodową rozlegają się dźwięki głośników? Będę rzeźił wraz z jakąś taneczną melodią. Ta sama krew, która teraz miesza się z mydłem, zaleje moją koszulę i ubranie. Mydlę się zupełnie różową pianą, obrzydliwość. Czy to maszynka do golenia się rozkręciła, czy też drży mi ręka? Po co zmieniać ostrze, to tylko skóra ze strachu zrobiła się niewrażliwa. Nie wiem, czy ze strachu skóra może stwardnieć. Dlaczego przychodzą mi do głowy same niedorzeczności? Życie to nie kryminał, życie jest znacznie prostsze. Skąd Frankowi do rewolweru? Wszystkiemu winien telefon. I po co on dzwonił?! Franek mnie zabije. Niekoniecznie z rewolweru, zadźga mnie nożem. Jak to on powiedział przez telefon? Grzegorz, chcę się z tobą dziś zobaczyć. Głos miał przy tym taki przymilny. Trzeba się umyć”.

Otworzył kran i umył sobie twarz zimną wodą. Potem zwilżył włosy mokrą dłonią. Wydało mu się, że woda trochę go orzeźwiła, ale kiedy rozejrzał się po łazience, zobaczył że wanna, zlew, ręczniki patrzą na niego, obce i nieznajome. Kiedy szedł przez przedsionek, wydało mu się, że znajduje się w cudzym mieszkaniu. Nie poznał własnego palta wiszącego na wieszaku. Jakiś brązowy kapelusz wisiał obok. Przecież to nie mój kapelusz. Na miłość boską, kto chodzi w brązowym kapeluszu? Franek! Zatrzymał się i ręką pomacał kapelusz. Nie bądź osłem. To kapelusz Zagajłły. Dlaczegoż ja go w takim razie nie poznaję? O, masz tobie! Podeszedł do wejściowych drzwi. Drzwi nie są zamknięte na łańcuch, łańcuch zwisa. To nie do wiary. A klucz? Spróbował klucza w zamku. Tak jest. Drzwi są niezamknięte. Ciarki przeszły mu po grzbiecie i uczył leciutkie mrowienie na policzkach. Kto osioł? Jakiś osioł zostawił drzwi otwarte. Trzeba zrobić z tym porządek. Starej Kubłakowej wszystko wylatuje z pamięci. Zaraz zawieszę łańcuch i przekręcę dwukrotnie klucz w zamku, o! Trzeba po prostu skrzyczeć jej syna, kiedy ją odwiedzi. Panie inżynierze, niech pan wpłynie na swoją matkę, żeby zamykała drzwi. Mogą się zakraść do mieszkania i wszystko wynieść. Człowiek nie jest pewny ani dnia, ani godziny. Oczywiście nie chodzi o złodziei, ale o Franka. Szkoda, że nie mogę o tym powiedzieć. Ciekaw jestem, czy i w pokoju wszystko wyda mi się obce. Otóż to.

Wszedł do swego pokoju, w pantoflach, w spodniach i w rozpiętej koszuli. Na przegubie łokcia zwisał mu włochaty ręcznik, a w garści trzymał przyrządy do golenia. Obejrzał pokój tak, jak gdyby widział go po raz pierwszy w życiu. To było zadziwiające! Nieprzytulny, nie zamieszkanym przez nikogo lokal. Nie, w tym pokoju nie można czuć się bezpiecznym. Gdzie lustro? Czy wciąż jeszcze krwawię?



O, leży pod gazetą. Wziął do ręki kieszonkowe kwadratowe lusterko i przyjrzał się w nim sobie z trwożną ciekawością. Czyjeś nieznajome, zielonkawobrazowe oczy patrzyły na niego. Ciekawe czy można nie poznać własnej twarzy. Dziwne. Przecież patrzę na samego siebie z ciekawością a twarz w lustrze patrzy na mnie z wyrazem lęku. Kropla krwi ciekła mu po podbródku. Oderwał kawałek gazety i przyłożył do ranki. Papierek przykleił się i od razu zrobił się czerwony. Wtem głośne pukanie rozległo się w przedsionku. Już? Żadna inna myśl nie przyszła mu do głowy. Ktoś się dobija. Niemal podskoczył na krzeselku, potem zamarł. Głośny, nieoczekiwany dzwonek rozbrzmiewał po całym mieszkaniu. Dlaczego nigdy przedtem ten dzwonek tak głośno nie dzwonił? Oczywiście, że nie otworzę. Zagajłło jest w domu. O, coś mamrocze w przedpokoju. Czy już otworzył? Klak. To łańcuch opadł i uderzył o futrynę.

- Ktoś zamknął drzwi? Wyniosłam śmieci, wracam a drzwi zamknięte!

Nic się nie stało, to głos Kubłakowej. Niech krzyczy. Przynajmniej domowe codzienne hałasy.

Usiadł na łóżku i zaczął wzuwać buty. Palce miał nieposłuszne. A jednak drżą mi ręce, dlatego się zaciąłem. Że też dzisiaj, po tym telefonie, zobaczyłem krew. I zobaczyłem te moje, niby własne, piwne oczy. Franek lubi piwo. Przyjdzie do mnie na pewno po kilku butelkach pilznera. Sięgnie do kieszeni i wyjmie jakiś kozik. Znowu o tym samym! Zadzgać człowieka nożem. to nie takie proste. Trzeba będzie nie spuszczać oczu z jego rąk. Co to pomoże, kiedy Franek jest o głowę wyższy ode mnie? Mam siły w mięśniach tyle, co piętnastoletni chłopak. Obrzydliwość. Jeden but już gotów. Teraz drugi. Te sznurowadła są stare i strzępią się na końcach. Dlaczego Franek ma przyjść do mnie, skoro chciał się ze mną umówić w mieście? Nonsens. W bezludnym miejscu się z nim nie spotkam. W kawiarni nic mi nie może zrobić. Miał więc jakiś inny plan. Zadzwoił o ósmej rano, bo wiedział, że jeszcze jestem w domu. Czy dobrze zrobiłem, że odpowiedziałem mu tak obcesowo? Może nie. Może lepiej było grać na zwłokę. Na pewno wyczuł, że ja się go boję. Dziwne, że nie od razu poznałem jego głos w słuchawce. - Grzegorz, zadzwoniłem tak wcześnie, bo wiem, że z pewnością wybierasz się do kościoła. - A kto mówi? - Franek. - Zamilkłem. Zamiast zawołać jednym tchem: A, dzień dobry ci, Franku - milczałem. Minęła może minuta, zanim się odezwał. - Czy jesteś? - Jestem. - Dlaczego mówisz takim słabym głosem, nic nie słychać. - Ja nie mówię słabym głosem, to na pewno w słuchawce coś brzęczy, Franku. - Aha, tak jest lepiej, znacznie lepiej. Doskonale cię słyszę, jesteś kławy chłop, Grzegorz! - Dlaczego wspomniał o kościele? Czy dlatego, że dziś niedziela? Nie. Bo...

Zawiązał sznurowadła i noga opadła mu na podłogę. Nagle sprężył się i tułowiem, czujnie, przechylił się naprzód. Jednocześnie zrozumiał, co znaczyło słowo kościół. Jak mogłem wtedy nie zrozumieć, co to miało znaczyć? Jednocześnie ostry dzwonek rozległ się znowu w przedsionku. Nie poznawał dźwięków. Znowu ktoś się będzie dobijał do drzwi. Dzwonek dzwonił w różnych odstępach, a jednak nie poznawał, że to był telefon. Niech dzwonią, to nie do mnie. Mimo to słucha, stuknęły drzwi i wyszedł Zagajłło. To dobrze.

- Słucham. Kogo?

Może to syn Kubłakowej. A może pomyłka. Zaraz powie: po-myłka. Co?

- Zaraz poproszę.

- Co? - Słychać było kroki i ktoś zapukał do jego drzwi. - Zaraz poproszę? Kogo? Mnie?

- Kto tam? - spytał.

- Do pana telefon.

- Do mnie?

Wstał. Niech to diabli wezmą. Znowu do mnie telefon. Może ze szpitala. Niech i tak będzie, wszystko jedno, kto dzwoni, zawsze raźniej. Wyszedł do przedsionka, zapinając na sobie koszulę. Telefon stał na etażerce, a słuchawka zwisała na sznurze na tle białej ściany. Jeszcze się z lekka obracała, kiedy wziął ją do ręki. Można będzie umówić się z kimś i pójść dajmy na to do operetki. Nie! Sam do domu wracać nie będę. Ale zobaczymy najpierw, kto to jest. Przyłożył słuchawkę do ucha i powiedział ucieszonym głosem:

- Jestem przy aparacie, tu mówi doktor Hysz.

- Hysiu - powiedział ktoś.
- Słucham, nie poznaję głosu.
- Nie poznajesz głosu, Hysiu? - powtórzył ktoś.
- Kto mówi? - zakrzyknął.
- O, teraz to ja twego głosu nie poznaję, dlaczego krzyczysz, masz czas.

Uczuł wstrętą słabość z początku w nogach, potem w całym ciele. Trzeba coś mówić. Byle zaraz. Nic mi nie przychodzi do głowy. Nie wolno go zrazić. Więc spokój. Trzeba coś powiedzieć, bo milczenie trwa zbyt długo. Zaczaił się w słuchawce, widzę go, jak zwisa na aparacie. Trzeba powiedzieć coś zupełnie naturalnego. Za późno, bo już krzyknąłem. Trach! Błysło mu w mózgu, nas rozłączono.

- Nas rozłączono - powiedział. Głos wydobywał mu się z krtani słaby i drżący. Obrzydliwość.
- Kto nas rozłączył? Dlaczego milczałeś, Hysiu? - powiedział ktoś.
- Ja nie milczałem, to telefonistka.
- Jaka telefonistka? - powiedział ktoś.
- Nie wiem. Rozłączyła nas i dlatego mnie nie słyszałeś.
- A skąd wiesz, że ja ciebie nie słyszałem, Hysiu?

Złapał, złapał mnie. Szeroko rozwartymi oczami patrzył przed siebie, na ścianę. Tynk był tandetny, a ściana porysowana. Trzeba coś mówić, prędeż.

- W słuchawce była cisza, dlatego pomyślałem, że nas rozłączono.
- Jaka cisza, kiedy słyszałem twój oddech, Hysiu.
- Nie rozumiem, czego chcesz!
- O, tak jest lepiej, znacznie lepiej - powiedział ktoś.

Był to tenor, zawadiacki, śpiewny tenorek. - Ty ją zwymyślasz, Grzegorzu?

- Kogo zwymyślam?
- No tę babkę.
- Jaką babkę, Franku? Co ty wygadujesz!
- Telefonistkę. Znowu milczysz?
- Nie milczę, Franku, po prostu nie rozumiem, czego się czepiasz.
- Kto? Ja? Coraz lepiej. Jesteś klawy, Grzegorzu.
- Słucham.
- Mówię, że jesteś klawy.
- Więc?
- Ale niezupełnie. Niezupełnie jesteś klawy. Rozumiesz?

Rozpinał i zapinał na piersi guzik.

- Czy jesteś wstawiony, Franku?
- Broń Panie Boże!

Tenorem w membranę coś mruknął, wydało mu się, że: „ciuć-ciuć”. Uspokoił się trochę i czuł, że głos mu okrzepł. Byle wytrzymać parę minut i nic po sobie nie dać poznać. Może Franek naprawdę jest wstawiony. Może dlatego po raz drugi telefonuje. Pijanego mniej się boję niż trzeźwego.

- Grzegorzu - powiedział tenorek.
- Słucham.
- Grzegorzu - powtórzył tenorek. - Dlaczego nie chcesz się ze mną dziś zobaczyć?
- Powiedziałem ci już, Franku, że jestem zajęty.
- A do kościoła nie poszedłeś?

Znowu uczuł słabość w nogach. Kościół. Wciąż powtarza o tym kościele. Wiedział, że głos mu się zaraz załamie, coś omdlewającego czuł w gardle.

- To ty coś wspomniałeś o kościele, ale nie ja, Franku.
- Czy jesteś religijny, czy też zaziębiony powiedział z troską tenorek.

- Nie jestem zaziębiony.
- Masz głos taki słabiuchny. A może to telefonistka?
- Żadna telefonistka, mówię do ciebie zupełnie normalnie.
- Pilnuj zdrowia, Grzegorzu - powiedział tenorek.
- Dlaczego mam pilnować zdrowia?
- O, znowu masz ten sam głos. Pójdź do laryngologa, do koleżki.
- Nie zawracaj mi głowy, Franku.
- O, wreszcie! Zupełnie dobrze. Męskie słowo. To odłóż słuchawkę, skoro cię irytuję.
- Naprawdę, irytujesz mnie!
- Nie trzeba się irytować, Hysiu, a fe... Grzegorzu!
- Słucham.
- Grzegorzu - powtórzył tenorek unizonym tonem - bądź dobrym koleżką.
- Jestem, Franku.
- Doskonale. Chcę z tobą porozmawiać, zanim cię zobaczę leżącego w kościele.
- Dlaczego leżącego? - spytał mdlejącym głosem. - W kościele siedzą.
- Nie wszyscy. Można i leżeć.
- Nie rozumiem.
- Krzyżem, powiadam, leżeć krzyżem.

Otarł sobie twarz ręką i westchnął. Był spocony, chłodnym, lepkiem potem.

- Czy ty westchnąłeś, czy to mi się tylko wydało?
- Westchnąłem, bo coś tam bajdurzysz.
- Bajdurzę? To odłóż słuchawkę, ofermo jedna!
- Już raz to dzisiaj zrobiłem, idź się prześpij.
- Kiedyż ja, dziękuję, spałem tej nocy bardzo dobrze. Więc nie chcesz się ze mną zobaczyć?
- Ja dziś jestem zajęty.
- No, to przepraszam - powiedział tenorek przymilnie.

Ze słuchawką przy uchu czekał. W membranie było cicho, słuchawki widocznie nie odłożono. Wtedy ostrożnie nacisnął palcem widełki.

Wrócił do pokoju i znowu wydało mu się, że nigdy przedtem w pokoju tym nie był. Łóżko było nie posłane, na prześcieradle leżały rozrzucone nogawice niebieskiej piżamy. Można było pomyśleć, że nogawice gdzieś biegną w panice. Panika to trafne słowo. Uciekłbym chętnie na prowincję. Zaszyć się w jakiejś dziurze, w jakimś prowincjonalnym szpitalu i przeczekać parę lat. Z pewnością by mnie nie odszukał. Ale na to trzeba czasu. A co będzie jutro? Może naprawdę lepiej pójść do szpitala, mimo, że się ma wolny dzień. Posiedzieć w dyżurce i napić się kawy. Powiem, że przechodziłem obok i wstąpiłem. Zażyję też coś na uspokojenie.

Zawiązał brązowozłocisty krawat i włożył brązową marynarkę. Zapiął ją na guzik i rozpiął. Franek mnie zabije. Na pewno zabije. Bawił się guzikiem, aż czuł, że zwisa mu na jednej nitce. O, trzeba to przyszyć. Zdejmę marynarkę i przyszyję guzik. O, ręce mi już nie drżą. Jest lepiej, znacznie lepiej. Wzdrygnął się. To on tak powtarzał, że znacznie lepiej. Nie trzeba o tym myśleć. Po prostu zapomnieć. O, biorę do rąk igłę i nitkę i... Ręce mu tak skakały, że wyglądało jak gdyby poruszał nimi naumyślnie, w górę i w dół, jak gdyby igła i nitka były kukiełkami, którymi się bawił. Obrzydliwość. Podszedł słabnąc do okna, patrzcie? Ta sama ulica, a jednak wygląda, jak gdyby była w innym mieście. Przechodnie szli w ciemnoszarych, workowatych ubraniach. Drzewka już były jesienne. Zobaczył budkę z gazetami na rogu i niemal że się przestraszył. Ta sama budka stała na rogu, koło mieszkania Franka, pamiętał, jak kiedyś czekał koło niej na niego. Kiedyż to było? Brr... To mi się wszystko wydaje, jestem u siebie w domu. Stałem przy oknie, bo myślałem, że będzie lepiej widać ucho igielne. Jakie to wstrętne.

Nie mógł opanować swoich rąk, nitka z igłą, w podskokach, mijały się w powietrzu. Oparł się

łokciem o framugę okna, rękę podniósł do ust i poślinił nitkę. Dom to jeszcze pół biedy, najgorsze z tym chodzeniem do szpitala. Trzeba było przejść pięć przecznic od przystanku tramwajowego. O zmroku na ulicach już zupełnie pusto. Franek wyłonił się z jakiejś bramy, nawet wiem z której. Pod arkadami. Tam jest podwórze o podwójnym wyjściu. Nonsens. Będzie się bał, że zaczę krzyczeć. A kto posłyszysz? A jak posłyszysz, to czy wybiegną na ulicę? Każdy będzie się cieszył, że to się nie jemu przytrafiło. Znam tych drani. Najwyżej wyjrzą przez okno. Zresztą wtedy będzie już za późno. Mój Boże, jak mnie mdli. Nie przyszyję guzika!

Położył igłę i nitkę na parapecie. Coś go ścisnęło w dołku i uczył przykre łechtanie. Nudności wzbierały w nim i szły do góry przetyku. Najlepiej się położyć! Położył się w butach na łóżku. Piżamowe spodnie wystawały spod niego, biegnąc. W uczuciu mdłości było coś kołyszącego, „to od zmiany poziomów”, pomyślał. O, jest mi trochę lżej. O mało nie krzyczał: aaa! - tak bolesna była myśl o telefonie. Przypomniawszy sobie, że Franek telefonował tego rana po raz drugi, i uświadomił sobie, dlaczego to robił. Pastwił się nade mną! Wyobraził sobie samego siebie klęczącego przed Frankiem ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi. A może się zlituje? Obrzydzenie nie tyle ogarnęło go, co po nim się rozlało, i znowu przemieniło się w nudności. Zabije, z pewnością zabije. Mówił, że w kościele są nie tylko siedzące miejsca... Mam wrażenie, że jestem spocony.

Pomacał sobie kark - był mokry. Ciało przy dotknięciu wydało mu się obce, „najlepiej nie zagłębiać się” - pomyślał. Wyobraził sobie, że wchodzi do szpitala i wkłada kitel. Tak, lepiej myśleć o tym, to uspokaja. Pielęgniarka mówi, że ordynator się spóźni. Wszędzie biel, pachnie lekarstwami, a na szklanej płycie niklowego stolika w dyżurce stoi flakonik z kwiatkami. - Był to pana telefon - powie pielęgniarka. - A kto dzwonił? - spyta nastroszony. - Jakiś pan. Powiedział, że się nazywa Franek i że pan doktor będzie wiedział kto.

Niech tak będzie, wszystko jedno, pójdę do szpitala. Leżał jednak nieruchomo, z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia. Ku jego przerażeniu w przedsionku rozległ się wibrującą nutą dzwonek. Świdrujący, bezduszny dźwięk uderzył go po nerwach. Dlaczego się boisz, to nie on. On mieszka koło budki z gazetami, na drugim krańcu miasta. To do Zagajłły. Dziś wszystko się powtarza dwa razy. Dwa razy telefon, dwa razy Zagajłło wychodzi do przedpokoju i otwiera drzwi. Nerwowo się poruszył, przewrócił się na bok i oparł się o dłoń. Nasłuchiwał.

Zagajłło wyszedł do przedsionka, słyhać było, jak drepcze nogami w pantoflach. Klak! To już było. Znowu łańcuch uderzył o odrzwia. Dureń! Dlaczego nie zapytał przedtem, kto dzwoni!

- Pan do kogo? - zapytał Zagajłło.

Nic nie było słyhać. A jednak to nie do niego. Może do Kubłakowej.

- Owszem, jest w domu - powiedział Zagajłło.

Nic nie było słyhać. Na pewno ktoś stoi jeszcze w klatce schodowej i rozmawia przez próg. Nagle posłyszawszy szarpnięcie, jedno, a potem drugie.

- Proszę bardzo, proszę bardzo - powiedział Zagajłło - zapuka pan do tych drzwi.

- Dziękuję bardzo - odpowiedział znajomy głos.

Zerwał się i usiadł na łóżku. Kosmyk włosów zwił mu na czoło. Ktoś kostkami palców zapukał do drzwi kilkakrotnie.

- Proszę - powiedział odruchowo, nie zastanawiając się.

Drzwi uchyliły się z początku ledwie, ledwie, jak gdyby ktoś chciał zajrzeć tylko przez szparkę, potem rozwarły się szerzej i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna słusznego wzrostu. Jedną rękę trzymał jeszcze na klamce drzwi, a w drugiej trzymał pudełko cukierków. Był w spiczastych, gładkich półbucikach i na sobie miał wąskie, niczym dudki, spodnie, niebieskie, z prążkowanego aksamitu. Bury sweter z szalowym kołnierzem opinał mu wzniesione do góry barki, miało się wrażenie, że chce ukryć głowę w ramionach. Elegancki motylek, niebieskie w czerwone groszki, usiadł mu na kołnierzyku pod grdyką. Nie mógł oderwać od niego oczu.

- Franku - powiedział.

- Koleżko - powiedział mężczyzna. Postąpił jeszcze krok naprzód i z wolna przymknął za sobą drzwi.

Drzwi skrzypiały okropnie, rozdzierająco, na cały dom. Potem wszystko ucichło. Oparł się dłońmi o materac, wysilił się i wstał. „Koniec - pomyślał - to już koniec.”

- Powiedziałem ci, że idę do szpitala - powiedział.

- Właśnie - powiedział tenorem mężczyzna.

Brązowa marynarka, ze zwisającą na niej niteczką zamiast guzika, leżała na krzeselku. „Włożyć ją i powiedzieć, że już wychodzę” - pomyślał.

- Brzydki szpital - powiedział mężczyzna. Dopiero teraz zdjął z głowy pluszowy, jak u Zagajłły, kapelusz. Był to ciemny brunet i wijące się upomadowane włosy przechowywały ślady grzebienia. - Brzydki szpital - powtórzył z wyrzutem mężczyzna - jak chcesz, to ci opowiem.

- Nie mam czasu, Franku. Daję słowo, że już się spóźniłem.

Mężczyzna westchnął. Zerknął w bok, na stół, potem na stole położył kapelusz. Usiadł na wolnym krzeselku obok. W ręce wciąż trzymał pudełko cukierków.

- A fe - powiedział.

Miał ciemne, prawie czarne, bardzo błyszczące oczka, których wyraz był pełen karesów. Miał czarny, puszysty wąsik, który się poruszał, gdy się uśmiechał. Miał dołek na podbródku. „Koniec, to już koniec. Patrzę na niego i nie ruszam się. Jak to wygląda?” - pomyślał. Przełknął ślinę.

- Dlaczego mówisz: a fe, Franku? - powiedział.

- Bo zatelefonowałem od razu po naszej rozmowie do szpitala, i powiedziano mi, że dziś doktor Hysz nie ma dyżuru. Brzydki szpital.

Uczuł, jak kolana się pod nim ugięły. Złapał, znowu złapał! Mężczyzna patrzył na niego pieszczotliwie. Wtedy, żeby nie upaść, oparł się dłonią o plecy krzeselka i usiadł, wprost na marynarkę.

- Zgniecie się - powiedział mężczyzna.

- To nic - odpowiedział.

- Tak jest lepiej, znacznie lepiej, Grzegorzu. Niech się gniecie.

- Skąd telefonowałaś, Franku?

- Z cukierni na dole - odpowiedział mężczyzna.

- Mów, Franku, prędzej, czego chcesz? - powiedział.

- Skąd ten papierek? - powiedział nagle mężczyzna.

- Jaki papierek?

- Albo ja wiem, jaki. Papierek.

- Mówisz zagadkami - Franku - powiedział.

- Nie mówię zagadkami, a mówię papierek. Czerwony.

- Nie widzę żadnego czerwonego papierka.

- Na buzi - powiedział mężczyzna.

Pokrył się chłodnym potem i mimo woli cofnął się tułowiem.

- Jaka buzia?

- O Chryste, jakiż on niedomyślny!

Mężczyzna wskazującym palcem podrapał się po podbródku. Jak gdyby dawał mu coś do zrozumienia. Odruchowo podniósł rękę i dotknął palcem podbródka również.

- Nie z tej strony - powiedział mężczyzna - z drugiej.

Wtedy pomacał się z drugiej strony i w palcach pozostał mu zakrwawiony papierek, skraweczek gazety, którym zalepił ranę.

- Zaciąłem się przy goleniu - powiedział.

- Aj, aj, aj - potrząsnął głową mężczyzna. Wąsik mu się poruszył i pod nim ukazała się lśniąca biel zębów. - Mówiłem ci, uważaj na zdrowie, Hysiu. Ten tylko się dowie, kto go straci. Wieszczy powiedział.

Jesteś doktorem, a nie umiesz trzymać w rękach brzytwy.

- Nie jestem chirurgiem, Franku.

- Co ty mówisz? Nieuźeli! Zapomniałem, że jesteś analityk.

Dopiero teraz mężczyzna położył na rogu stołu pudełko z cukierkami. „Trzeba uważać na jego ręce” - myślał patrząc mężczyźnie na rękę: miał grubą, z czerwonego złota obrączkę, a na piątym paluszku pierścionek z rubinkiem. Mężczyzna złożył na brzuchu, pod swetrem obie ręce i zaczął kciukami kręcić młynka. Widać było, że się nie spieszył.

- Przyniosłem ci coś słodkiego na ce - powiedział mężczyzna.

- Jak to na ce? - spytał nie rozumiawszy. Wciąż czekał na coś strasznego.

- A krzyżówki rozwiązujesz?

- Rozwiązuję.

- A więc coś słodkiego z pięciu liter, zaczyna się na ce.

„Cukierki!” - pomyślał. Mignęło mu przed oczami to słowo i wydało mu się, że ma znacznie więcej liter niż pięć. Chciał policzyć i nie mógł. Nonsens!

- Cukier! - wyrzekł.

Mężczyzna patrzył na niego z uśmiechniętą pobłażliwością.

- Analityk, a nie może zgadnąć - powiedział. - Krzyżówka to nie medycyna, trzeba myśleć - Czy ty, Hysiu, myślisz, kiedy masz przed sobą chorego?

- Myślę - odpowiedział - znów słabnąc.

- Nieuźeli? - powiedział mężczyzna.

„Zaraz zaczniesz o tym mówić” - trajkotało mu w głowie. Zarazem obślizły bezwład rozplynał mu się po całym ciele. Trzeba odwrócić jego uwagę od tego tematu, ale jak? Nic mi nie przychodzi na myśl. Zaraz zaczniesz o tym mówić. I rzeczywiście.

- Jestem chory, - powiedział oblesnie mężczyzna.

Milczał.

- Dlaczego milczysz, Grzegorzu? Jakiż z ciebie lekarz, skoro milczysz, kiedy pacjent uzala się przed tobą na chorobę. Czy jesteś lekarzem?

- Jestem.

- Słabiuchny masz głosik. Jak w telefonie. Mówiłeś, że to telefonistka, a fe.

Poruszył się nagle na krześle. Nie wiadomo skąd, ale odnalazł w sobie jeszcze trochę siły.

- Cały ranek zawracasz mi głowę, Franku - wykrzyknął półgłosem.

- Niegrzecznie - odpowiedział mężczyzna.

Za drzwiami słyhać było, jak Zagajło rozmawia z Kubłakową. Na pewno wychodzi z domu. Za oknem zakwilił klakson. Potem wszystko znowu zamarło.

- Wiesz, że jestem od ciebie starszy wiekiem - powiedział mężczyzna.

- Wiem - odpowiedział. Znowu oklapł na krześle.

- Rozmawiaj ze mną jak ze starszym, dobrze?

Milczał.

- O czym to myśmy mówili?

- O telefonistce.

- Nie, Hysiu, to nieładnie. Mówiłem o tym, że jestem chory. Czy nie jestem chory?

Milczał.

- Telefonistko? - wyrzekł z widoczną przyjemnością mężczyzna. - W szpitalu do ciebie powinni mówić nie panie doktorze, a pani telefonistko. Kiedyś ty ukończył wydział medyczny?

- Niedawno.

- Bardzo niedawno, Grzegorzu. Jesteś jeszcze niedoświadczonym medykiem. Powiedz: tak czy nie?

- Tak. - odpowiedział.

- Widzisz, Grzegorz. Tak jest lepiej, znacznie lepiej. Nie jesteś jeszcze doświadczony. Masz dwadzieścia kilka lat. Chałata lekarski na tobie leży jak siodło na krowie. Przychodzi do ciebie koleżka i mówi: jestem chory, panie doktorze. Co trzeba odpowiedzieć? Milczysz? Proszę, pani telefonistko, nas nie rozłączać!... Trzeba się grzecznie, Hysiu, zapytać: na co pan jest chory? Wtedy odpowiem: mara przywidzenia.

- Tak - wyszeptał bezdźwięcznie.

- Nieużeli? - powiedział mężczyzna. - Pan doktor z praktyką staje się coraz lepszym diagnostą. A dlaczego to, ofermo jedna, w obecności profesora powiedziałaś, że nic mi nie jest?

- Nic się przecież nie stało - odpowiedział z tym samym wstrętym drżeniem w głosie. Wydało mu się, że ręce i nogi miał z waty.

Mężczyzna przestał obracać kciukami, rozplótł palce i dłoń położył na pudełku z cukierkami.

- Jeszcze się nic nie stało, ale mogło się stać - powiedział. - Poszedłem do ciebie, żeby się spytać, panie doktorze, co się dzieje z mymi uszami.

- Z uszami? - powtórzył ze strachem.

- Tak jest, z uszami. To nie krzyżówka, to twój fach, więc powinieneś szybko zgadnąć. - Mężczyzna podniósł rękę do twarzy i pogrążył w uchu paluszek z rubinem. Potem paluszkami w uchu potrząsnął. - Co mi jest? - powiedział z udanym zdziwieniem.

- Słyszysz głosy - odpowiedział ledwie dosłyszalnie.

- Brawo! - zawołał mężczyzna. - Zdałeś egzamin, będziesz dyrektorem kliniki! Mam przywidzenia i słyszę głosy.

Przez chwilę czarne oczka mężczyzny ściemniały jeszcze bardziej i nagle zmatowiały. Patrząc na niego pomyślał z nieoczekiwaną nadzieją: „Frank darował mi życie”. Wszystko, nawet wąsik, nawet obrzydliwa fryzjerska uroda twarzy, wydało mu się drogie.

- A sen? - spytał nagle mężczyzna.

„Co za sen? Jaki sen?” - myślał zgubiony. Radosna nadzieja przeszkadzała mu się skupić. Darował. Najstraszniejsze jest już poza nami.

- Co za sen? Ty śpisz dobrze, Franku - powiedział.

- Nieużeli? - znowu tenorkiem powiedział mężczyzna. - Pan doktor znów nawala.

Przełknął ślinę.

- Nie nawalam. Po prostu sam mi przez telefon powiedziałaś, że spałeś dobrze - powiedział.

- A ty o tym zapomnij - powiedział mężczyzna. - Zapomniałaś? Zapomniałem - odpowiedział.

- Więc zacznijmy od początku. A sen? - spytał mężczyzna.

- Masz koszmary, Franku - powiedział.

- Dostateczne!... - westchnął z zadowoleniem mężczyzna. Jedną rękę trzymał na kolanie, a drugą na pudełku z cukierkami. Wąsik poruszył mu się i znowu łysnęły białe, równe zęby.

Czuł w sobie radosną usłużność i czuł, że głowa pracuje mu sprawniej. Już się zaraz udobrucha. Zaproponować mu łapówkę. „Łapówkę” - pomyślał i ni stąd ni zowąd zamigotały mu w oczach ampułki.

- Franku... - zaczął.

- Patrzcie państwo, już pan doktor wydobrał? - powiedział mężczyzna.

- Franku - powtórzył - chcesz, ja ci naszykuję parę pudełek morfiny.

- Hysiu, znowu brykasz - odpowiedział z wyrzutem i godnością mężczyzna. - Ja się pokątnym handlem nie zajmuję.

„Oj, źle” - pomyślał.

- Myślałem, że ci się przysłużę - powiedział.

- Patrzcie państwo, pan doktor je z ręki - powiedział mężczyzna.

Milczeli.

- Ja się pokątnym handlem nie zajmuję - powiedział mężczyzna potem. - Mnie wystarczy moja

prywatna inicjatywa. Do mnie klienty po morfinę nie przychodzą, ale po chlebek, masło i delikatesy. Mam klientelę poważną, nawet jeżeli pijak wejdzie do sklepu, to od razu trzeźwieje. Pijak, jak to było z pijaństwem, Grzegorzu? - nagle spytał mężczyzna.

Przeląkł się znowu.

- Nie przypominam sobie żadnego pijaństwa - powiedział.

- A kto przez telefon powiedział, że jestem pijany? Czy jestem pijany, Hysiu, jak się tobie wydaje?

- Nie jesteś pijany.

- Nieuźeli?... A więc z egzaminem skończone. Alkoholizmu nie stwierdzono - mówił mężczyzna

poruszając szybko palcami i po pudełku, i po kolanie. - Teraz została tylko krzyżówka.

„Odczep się! - chciał zawołać, ale się bał.- Jeszcze trochę, żeby prędzej sobie poszedł” - pomyślał i czuł jak wargi mu się same rozsunęły w przypochlebnym uśmiechu.

- Wciąż żartujesz z tą krzyżówką - powiedział słabym głosem.

- Przyuważyłeś! - powiedział tenorkiem mężczyzna.

Nie odrywał oczu od jego rąk. Nagle mężczyzna podniósł rękę z kolana i położył ją obok drugiej na pudełku. Teraz dopiero zauważył, że papier, w którym zawinięte było pudełko, upstrzony był wedlowskimi pieczętkami. „Skąd Wedel w niedzielę?” - pomyślał na wpół przytomnie. Czerwona wstążeczka owiązywała pudełko przepisowo nie na krzyż, ale przez cztery rogi na skos. Mężczyzna ostrożnie dwoma palcami zsunął wstążeczkę z jednego rogu. Paluszek z rubinkiem sterczał mu przy tym do góry.

- Widzisz, niedługo z tobą bawiłem - powiedział mężczyzna.

- Niedługo - powtórzył.

- Zaraz sobie pójdę, tylko pokażę ci, że to nie cukier.

Papier nagle pękł na rogu i wyrzało zza niego coś ciemnego i czerwonego. „Przecież to nie pudełko” - pomyślał czując z powrotem mdłości. Mężczyzna włożył palec do dziurki i szarpnął papierem, rozrywając go od rogu do rogu.. „Cegła!” - pomyślał.

Zawinięta w podarty wedlowski papier leżała przed nim cegła.

- Mówiłem ci, że z pięciu liter na ce - powiedział tenorkiem mężczyzna i włożył na głowę kapelusz. - Nie umiesz rozwiązywać krzyżówek, Grzegorzu, a fe. Bywaj, koleżko - dodał jakby obrażonym tonem, otworzył drzwi i wyszedł do przedsionka.

Podreptał za nim tylko do progu. Mężczyzna spokojnie pochylił się, zdjął łańcuch i przekręcił klucz w zamku. Nawet ani razu na niego nie spojrział. Potem otworzył drzwi wejściowe i zniknął w klatce schodowej. Jak przez sen, stąpając na palcach, przeszedł do przedsionka i wyrzał za nim. Na schodach zamierały kroki.

Wtedy byle jak zamknął drzwi i wrócił co prędzej do pokoju. Cegła leżała na stole. „Cegła, cegła, cegła, cegła, cegła” - trajkotało mu w głowie. Oparł się dłonią o ścianę i nie wytrzymał. Zemdliło go i zwymiotował, śliną i powietrzem.



# Feliks Derecki

## W LEŚNICZÓWCE

Kto by pomyślał, przyjechalibyśmy do leśniczówki przenocować, a zostaliśmy prawie dwa tygodnie. Nazajutrz rano za oknami było biało, aż bolały oczy. Przez całą noc nawaliło śniegu na pół chłopa, a mróz ścisnął taki, że zmarznięte wrony spadały z drzew, jak nie przymierzając szyszki w niektóre lata, gdy las obrodzi.

Nie było rady, postanowiliśmy przeczekać. Leśniczówka zagubiona w borze, do najbliższego traktu nie zajedziesz w dwie godziny nawet przy najlepszej pogodzie, a teraz, jak zasypało dukty, to lepiej nie marzyć.

Z początku wiodło nam się niezgorzej. Opowiadaliśmy sobie dowcipy, graliśmy w karty. Grunt, że diety leciały, taka przymusowa bezczynność nie była pozbawiona uroku. Po paru dniach leśniczy zakomunikował, że kończą się zapasy żywności.

- Żyjemy z pensji, gospodarstwa nie prowadzimy, bo żona słabuje - mówił. - Właśnie sposobielem się jechać po zakupy, kto mógł jednak przewidzieć, że zima w tym roku przyjdzie tak wcześnie.

Zaczęliśmy żartować proponując losowanie pierwszego kandydata do zjedzenia, ale odechciało nam się dowcipków, gdy na śniadanie otrzymaliśmy placki pieczone na blasze z resztek mąki.

Wszystkich ogarnął ponury nastrój. A tu jak na złość śnieg zaczął sypać. Tylko od czasu do czasu dochodziły nas suche trzaski. To pękały pnie drzew rozsadzane przez mróz.

Los postanowił doświadczyć nas jeszcze bardziej. Któregoś dnia, gdy wycieńczeni leżeliśmy na posłaniach, usłyszeliśmy nagle przejmujące wycie.

- Wilki - wyszeptał pobladły gospodarz i zaczął ryglować drzwi. Zwlekliśmy się z trudem i przywarli do okna.

Parę metrów od leśniczówki stał potężny basior spoglądając na nas przekrwawionymi ślepiami. Strach zjeżył nam włosy. Drapieżnik widać był zwiadowcą, bo wkrótce przyprowadził kilku swoich pobratymców. Zwierzęta miały zapadnięte boki, głód musiał im się dać porządnie we znaki. Ale, o dziwo, bestie nie żywiły do nas wrogich uczuć. Z największym zdumieniem zauważyliśmy, że każdy wilk trzymał coś w pysku, a to bochenek chleba, a to pęto kiełbasy. Zwierzęta delikatnie złożyły produkty na śniegu i cofnęły się o parę metrów. Poszczekiwały przyjaźnie merdając ogonami, jakby chciały nas zachęcić do jedzenia.

Może to głodowe majaki? - mówiłem przecierając oczy, ale ponętny obraz nie zniknął. Leśniczy z frasunkiem drapał się w głowę.

- Zdarza się, że ludzie dokarmiają zwierzęta w zimie, ale nawet na szkoleniu nie słyszałem, żeby zwierzęta dokarmiały ludzi. Zwłaszcza drapieżniki podlegające ochronie.

- Dziwne, że same nie jedzą.

- Widać chcą się zrewanżować za wszystko dobre, co człowiek świadczy zwierzyźnie.

Mimo głodu niełatwo nam się było zdecydować na opuszczenie leśniczówki. A wilki wytrwale znosiły codziennie żywność i składały w jednym miejscu.

- Rany boskie, czuję zapach tej kiełbasy, to chyba jałowcówka - mówił kolega wskazując drżącym palcem na zaimprovizowany skład żywności.

Przełykaliśmy ślinę pracowicie poruszając grdykami. Chyba na czwarty dzień basior przyniósł wielką szynkę pięknie uwędzoną, a wilczyca złożyła na śniegu butelkę monopolowej. I zaraz odeszły w las.

- Idę - oświadczył kategorycznie dziadek leśniczego. - Poczciwe zwierzaki, trzeba docenić ich poświęcenie.

Patrzyliśmy, jak szorując kożuchem po śniegu zbliżył się do żywności, wziął do ręki szynkę i nagle jakby zastygł, być może dlatego, że w tej chwili z przejmującym wyciem wypadła z lasu wataha wilków i

rzuciła się na niego.

- Jezusie, taka wysoka renta przypadnie nam po dziadku - wykrzyknął tylko leśniczy.

Trudno powiedzieć, jak długo to trwało. Zupełnie sparaliżowani patrzyliśmy, jak dziadek znikł zupełnie pod burym kłębowiskiem. A wybawienie, jak zwykle, przyszło z góry.

Akurat nadleciał wysłany po nas przez dyrekcję helikopter i widząc, co się święci, zniżył lot, ale nawet warkot motoru nie odstraszył drapieżników. Dopiero, gdy siedzący obok pilota myśliwy wygarnął z obu luf, wilki porzuciły swą zdobycz i szczerząc kły umknęły do lasu.

Teraz i my wypadliśmy na dwór.

- Żyje, żyje! - powtarzał radośnie leśniczy pochylony nad ojcem.

Dziadka ochronił gruby kozuch, który był teraz zdarty na strzępy.

- Trzeba było panu iść po tę żywność? - powiedziałem widząc, że dziadek po doznanym szoku otwiera oczy.

- Po jaką żywność? - zapytał starzec podpierając się z wysiłkiem na łokciu. - Panie, to były tylko atrapy.

# Stanisław Dygat

## KRÓL

Zdarzyły się w świecie straszliwe katastrofy, przewroty i kataklizmy, sam Bóg wie co jeszcze, dość że cały porządek dnia codziennego przewrócił się. Instytucje i urzędnicy cywilizacyjne zapadły się, umowy wzajemnego obcowania zostały zawieszane - słowem, w całym świecie powstał zamęt, paniczna ucieczka i ratuj się, kto może. Tak było przez dzień cały; pod wieczór troszeńkę się uspokoiło, ale niezupełnie, w każdym razie ludzie, bez względu na hierarchię, bydło i dobytek przemieszali się ze sobą i nie było mowy o tym, aby powrócić do dawnego stanu rzeczy. Król siłą jakiegoś wybuchu został wyrzucony przez okno swojej komnaty, a gdy się ocknął na murawie, jego pałac leżał w gruzach, nie było wkoło żywej duszy, tylko dalekie wrzaski, pożary na widnokręgu i pomruk jakiejś nawałnicy, która zbliżała się od północy. Wstał, rzucił purpurowy płaszcz, poprawił koronę na głowie, złapał za berło i zaczął uciekać. Uciekał dość długo, przedzierał się przez tłumy pędzące we wszystkie strony świata, a pod wieczór, kiedy to uspokoiło się troszeńkę, ale niezupełnie, znalazł się na dużej łące obok drogi, na której czerniał zwałony krzyż i ciężkie kontury obalonych drzew. Na horyzoncie niebo krwawiło, może zachodem słońca, i snuły się ołowiane dymy, a może chmury zapowiadające gradobicie.

Król poczuł się niezmiernie głupio, tak jak kiedy będąc chłopcem uciekł z domu i przy pierwszym przejściu przez płot podarł spodnie. Jednak zostawmy psychiczne odczucia króla i jego chłopięce wspomnienia. Zachciało mu się spać, potężne zmęczenie dawało mu się we znaki. Nie opodał stał stóg siana. Wilgoć. Pustka. Nonsens. Ptaki wodne odzywały się skądś żalnym krzykiem. Król podszedł do stogu siana, ziewnął, położył się, zarzucił płaszczem i zasnął.

Pewien urzędnik poczty, jak wszyscy inni, porwany został paniką i zamętem i znalazł się wieczorem na tej samej co król łące. I jemu spać się zachciało, i on spostrzegł stóg siana, i przybliżył się doń z zamiarem usłania sobie legowiska. Kiedy ujrzał śpiącego króla, szeroko roztworzył usta, czapkę zdjął i ukląkłby może, gdyby nie był tak bardzo osłupiał. Nigdy w życiu nie widział żywego króla, co najwyżej oglądał go na obrazkach albo też czytał o nim, i pojęcie króla było dla niego czymś odseparowanym od materialnego toku wydarzeń w rejony nadludzkie. Dlatego stał teraz z szeroko rozwartymi ustami i wydziwiał tak dalece, że niemal zapomniał o swojej sytuacji wobec kataklizmu, ale nagle drgnął. Uszu jego doszło wyraźne chrapanie. Podrapał się w głowę: „Cóż to?” - mruknął i nachylił się. Chrapanie wzmoгло się i urzędnik poczty wykrzywił się cudacznie. „O, Jezu, Jezu!” - westchnął król przez sen. Urzędnik poczty ruszył się niepewnie i dotknął królewskiego buta. Król nagle kichnął potężnie, urzędnik poczty aż podskoczył i zaśmiał się jakoś. Nachylił się, pomacał króla i czknął aż ze zdumienia, po czym bez żadnej złości, a tylko z ciekawości badacza natury odwinął się i wyrznął króla w gębę. Król zerwał się i chwilę w milczeniu patrzyli na siebie.

- To dopiero! - zawołał urzędnik poczty, pchnął króla, a potem ciągnął go po ziemi za nogę, patrząc z podziwem, jak ten fajta drugą i wydaje krótkie okrzyki. Gdy się tym zmęczył, skłonił się i powiedział: - Bardzo przepraszam, że się ośmieliłem w ten sposób, ale doprawdy po raz pierwszy zobaczyłem króla i doprawdy nie będąc pewnym, czy król - to istota materialna, czy tylko legenda, chciałem się doprawdy przekonać. Proszę doprawdy nie brać mi tego za złe, bo to doprawdy nie ze złości, a li tylko przez głód wiedzy.

Podał królowi rękę, podniósł go z ziemi i pocałował go otrzepywać mrużąc pod nosem:

- Materialne, doprawdy zupełnie materialne, śladu legendy.

Król patrzył na niego z ukosa i milczał, ale urzędnik poczty wyjął z kieszeni pajdę chleba:

- Skoro jest pan osobą materialną, musi pan niezawodnie odczuwać głód. Chętnie się doprawdy tą oto kromką z panem podzielę. Z legendą, rzecz oczywista, nie dzieliłbym się, ale z osobą materialną nawet i wypada. A o tamto, doprawdy chciałbym ufać, że nie chowa pan urazy...

Król, który był w istocie bardzo głodny, bowiem dzień cały nie miał nic w ustach, chętnie chleb przyjął, czując za to dla urzędnika poczty wdzięczność, uśmiechnął się i powiedział:

- Et, nie ma o czym mówić! To głupstwo w porównaniu z tym, co się dzieje na świecie. Dzięki stokrotne.

- Doprawdy - powiedział urzędnik - nie wiadomo, co ze sobą robić, taki się zrobił bałagan.

- Istotnie - podchwycił król.

- Ośmieliłbym się zaproponować, mam w kieszeni karty, póki się coś nie wyjaśni, partyjkę sobie uciąć dla rozproszenia nudy. Doprawdy, że legendzie takiej propozycji nie ośmieliłbym się zrobić, ale osobie materialnej, cóż złego?

- Ano można! - zawołał wesoło król, który lubił karty.

Siedli pod stogiem i grali sobie. Przyświecał im księżyc jasny jak lampa.

Tymczasem nastał świt, kataklizm widocznie minął, bo tłumy ze śpiewem i w porządku powracały z ucieczki.

- Doprawdy - powiedział urzędnik poczty - czuję się nieco niespokojny. Kataklizm, zdaje się, skończył się, wracają ludzie i wszystko wraca do normy. Wróci i pan do normy, a wtenczas przypomni pan sobie, jak się z panem obszedłem, i da mi pan tęgiego łupnia i to doprawdy tym tęszszego, im bardziej jest pan osobą materialną, a nie legendą.

Król potrząsnął głową:

- Zapamiętaj pan sobie, że nic nigdy nie wraca na dawne miejsce. Do diabła - zawołał - zamiast gadać głupstwa, uważałbyś pan lepiej, już drugi raz włazisz mi pan z waletem pod nóż. Nie lubię grać z partaczami.

Urzędnik poczty wstał i cisnął karty:

- Znudziło mi się już to doprawdy - powiedział. - Doprawdy, że znudziło mi się to zupełnie i nawet mnie nic nie obchodzi, czy jest pan legendą, czy osobą materialną. Doprawdy, nic a nic. Idę sobie zobaczyć, co tam na świecie.

Poszedł sobie, a król z kartami w ręku został sam jak głupi.

# Zygmunt Fijas

## ZATKANY KOMIN

*Pogrzeb!?! Dramat, tragedia... komedia  
opuchnięta od łez?*

*Harmonijka trzymana w zębach, skocz-  
na piosenka... i cały w tym pogrzeb.*

Piekarnia Demonów stała u zbiegu ulicy Trupików i Charłaków. Ciekła wzdłuż niej strużyna śliska i mętna. Nazywała się Cykuta od nazwy trucizny, jaką sławetny mistrz ironii, Sokrates, poił swe szlachetne cielsko i jaką w ślad za nim Marlen, mąż Marleny, poił swój zacny żołądek.

Przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni wichry wyły tu, wściekały się burze i zamiecie, a w roku przestępnym trzysta sześćdziesiąt sześć.

Pewnej nocy - deszcz wtedy siekł wstrętny jak z tuszów szpitalnych - pewnej nocy Marlena zmarła na zapalenie wyrostka robaczkowego... Tej nocy Cykuta, czarna jak trupia mykwa żydowska, wystąpiła z brzegów. Wystąpiła aż po sine rozbluzgi latarń gazowych.

Tej nocy Perlen, właściciel Piekarni Demonów, bawił się swym szklanym okiem i pozwolił je połknąć psu Cerberowi.

Tej nocy pijany czeladnik, Celestyn, spadł z desek do garowania chleba i utonął nieszczęśliwie w pełnej dzieży ciasta.

Kondukt żałobny prowadził Perlen.

- To skandal, straszny skandal - wył w ucho beznogiej konduktorowej. - Tak utopić się w cieście potrafi tylko człowiek, któremu na imię Celestyn!

- Dziwny jest świat i dziwne nasze istnienie - mówiła konduktorowa. - Jabłecznik wypije ci bydlę Celestyn i jeszcze idź mu za trumną... Niezbadany, pełen tajemnic jest nasz byt, panie Perlen.

Nad grobem Celestyna wybuchła kłótnia o pierwszeństwo sypania grudek ziemi. Ofiarą jej padł karawan, który rozbity doszczętnie pozostawiono w cmentarnych, łopianach na łup wichrów. Na zakończenie konsolacji żałobni drabanci urwali konduktorowej sztuczną nogę i obili nią trzech szwagrów Perlenu: Kutapa, Patuka i Tupaka.

Od tego dnia piekarnia nie chce dobrze piec. Typie dymią palenisko nie rozgrzewa się jak należy. Miasto otrzymuje chleb z zakalcem.

Byli kominiarze, przetkali kominy, ale niewiele to pomogło. Więc Perlen z rozpaczki pije. Rozwalony w dzieży pełnej ciasta ćmi długą fajkę z wiśni badeńskiej i tapla się w tej piekarskiej brei jak wieprz. Pijany ugniata kluchy z kidającego ciasta i bije nimi żonę.

- To mi rozkosz, to mi raj! - to mówiąc, chlup! kluchą w sufit, chlup! w kratę okienną. - Aśta huś, aśta huś, aśta huś, aśta huś - śpiewa niesamowicie.

„Czy Perlen zwariował?” - rozmyślali Tupak, Patuk i Kutap.

- Perlen chodzi nocą nad Cykutę i czesze się do księżycy - mówi Tupak.

- Obrzuca żonę kluchami ciasta - mówi Putak.

- Rozwalił się w dzieży, jak kwoka na jajach, i grozi połknięciem przyborów do golenia - mówi Tupak.

Wariat! - orzekli równocześnie i poszli się upić.

W szynku „Pod Błękitną Strzykawką” Pravatza pijaństwo wrzało w całej pełni. Obchodzono imieniny gospodarza Priesnitza, któremu było na imię Łazarz.

- Oto święto Łazarza, oto święto nocy! - wołali goście.

- Oto święto szaleństwa, oto święto Perlenu! - krzyczeli.

- Hu, ha! - ryczeli siadając okrakiem na antałkach, jakby to było przedpoście, oni żegnali karnawał.

Już dobrze po północy przeszedł pijany Perlen, położył się brzuchem na ziemi i jął szczekać.

- Ja jestem Cerber, hau hau,! Co? Nie podoba się wam ta fajna nielogika?

Łazarz ze strachu zemdlał.

Goście wrzucili go w bety, potem udali się na dach Piekarni Demonów. Wepchali do komina toból szmat i przystemplowali go drągiem. Gdy dym buchnął w ulicę, Perlenowa wybiegła z mieszkania jak borsuk z podkurzonej nory.

- Aj, jaj, jaj! - poczęła wrzeszczeć. - Co oni robią, te huncwoty? Chcą mnie spalić!

Tej nocy błyskawice wiły się jak węże, aż do samego świtu dudnił nieba tamburyn.

- Śmierć Marleny na zapalenie wyrostka robaczkowego - mówiła konduktorowa do Tupaka, patrzącego przez swe rozkraczone nogi na ździebełko słomy płynące po Cykucie - śmierć ta jest dla mnie zagadką. Taką samą zagadką, jak dobrowolne otrucie się jej męża. Bo przecież nie powie pan, że Marlen został zgłodzony.

- Mąż Marleny usunął się z życia dobrowolnie - rzekł po chwili Tupak. - Trzymałem mu przecież ręce, gdy umierał, oraz buty, które mi obiecał zapisać pod warunkiem zgonu.

- Bardzo jest dziwne nasze istnienie - westchnęła konduktorowa - bardzo dziwne.

- I dlatego tak się dymi - przytaknął Tupak.

- Dymi się, dymi... albowiem poza plecami śmiechu stoi lęk i zgroza... Dlaczego należy przypuszczać, że Marlena wcale nie umarła ze strachu przed mężem, posądzającym ją o to, że jest w ciąży, której nie był przyczyną, lecz ze śmiechu.

Tupak strzyknął śliną przez zęby.

- Ale się dymi, ale się dymi, jak Boga kocham. Dymi się jak z Wezuwiusza.

- Tak jest, ze śmiechu - rozmyślała na głos konduktorowa. - Bardzo łatwo przyszłoby mi to udowodnić bez potrzeby mieszania się do karkołomnej ekwilibrystyki pojęciowej. I właśnie dlatego, kto wie, czy w tej chwili państwo Perlenowie nie okupują komina i nie dumają tam nad sensem istnienia.

- To rozumowanie jest nader zagadkowe - rzekł Tupak patrząc spod dłoni przyłożonych do czoła. - Zapytajmy o to Kutapa i Patuka. Właśnie idą z psem.

Miał słuszość. Od strony piekarni szli dwaj szwagry Perlenu i prowadzili na sznurku Cerbera.

- Mamy go wreszcie - wyjaśnił Patuk. - Od czasu połknięcia oka nic nie jadł. Błąkał się po mieście i skomlił. Coś mu jest.

Konduktorowa podbiegła do Cerbera i uderzyła go pięścią w kark. Z gardła psa wyskoczyło oko Perlenu.

Wsadzenie oka Perlenowi trwało ułamek sekundy. Gdy piekarz poczuł oko, wybiegł na dach piekarni, wyciągnął z komina drąg, potem starą marynarkę Kutapa, spodnie Patuka i buty Tupaka... Na ostatku kapelusz Celestyna i pończochy Marleny.

- Oto powód zatkania, oto powód nieszczęścia! - począł wyć wraz z wichurą. Wichura bowiem ziała straszliwa, wiatromierz grał jak popsute organki.

Od tego dnia piec nagrzewa się dobrze. Mieszkańcy ulic Trupików i Charłaków nie skarżą się na zakalec. Perlen zbija pieniądze w sposób normalny. Perlenowa zaś kupiła sobie kapelusz, do niego strusie pióro, długie na dwa łokcie, i dmucha sobie dumnie. Kutap, Patuk i Tupak grają całymi dniami w karty. Konduktorowa zapisuje wygrane na swej sztucznej nodze.

Tylko wspólny grób państwa Marlenów obrasta lawendą, której liści grabarz używa jako zaprawy do fajkowego tytoniu. Tylko Celestyna nie ma. Płacze jego grób wraz z wichrami. Och, jak płacze grób Celestyna. Żali się i spowiada jak Adagio Brahmsa na skrzypce lub wiolonczelę.

# Konstanty Ildefons Gałczyński

## NOE II

„... A była ona (arka) czterdzieści łokci długa i czterdzieści szeroka, z zewnątrz i z wewnątrz posmarowana smołą”, jak mówi księga.

Właśnie ta smoła doprowadzała Noego do pasji. Przylepiał się do niej jak mucha to brodą, to krawędziami sukni, a zmyć to było niepodobieństwem, albowiem mydło spało jeszcze w łonie wieków.

Ale nie tylko firma „Noe i S-wie” cierpiała z powodu smoły. Pewna żyrafa przykleiła się szyją do burty tak mocno, że nie można było jej oderwać nawet toporem. Zdechła po trzech dniach wyrafinowanych męczarni, zostawiając chorowite potomstwo. I dlatego pewnie dzisiaj należy do stworzeń chronionych już tylko w gorących rezerwach Afryki.

Dni czterdzieści trwała ta podróż. I przez dni czterdzieści stary Noe zamknięty był z wyższego rozkazu w dusznej celi swej arki. Ale nie podnosiły się przeciwko temu protesty, albowiem na pustym jak okiem sięgnąć obszarze wód nie było widać śladu życia: ani ptaków, ani zwierząt, ani żadnej redakcji.

Trudno opisać, co się działo przez pierwsze dwa tygodnie w głębi arki: ciągłe kłótnie, scysje, nieporozumienia: - A to kierunek zgubiłeś! - mówili synowie. - A to kuchnia pod psem, a to dach przecieka itd.

Noe, jak mógł, pocieszał się winem, a w bardziej skomplikowanych wypadkach, okładał synów kijem, czyli różdżką.

Oczywiście, że psychologicznie biorąc, wszystko to wynikało na tle nudy i braku rozrywek. Najbardziej podejrzaną rolę w tych sprawach odgrywał Sem i każdą swoją sprzeczkę pieczętował słowami: - Zobaczysz, tatusiu, że to wszystko skończy się bardzo niedobrze.

A Cham, jak to cham wrzeszczał ordynarnie na sprawiedliwego ojca: - Ty mamucie przedpotopowy! - Jeden tylko Jafet był względnie spokojny. Wieczorami wychodził na pokład i grał bardzo smętne melodie na banjo.

Na piąty tydzień Noe był już troszeczkę zniecierpliwiony. - Jest Ararat albo go nie ma! - I z tym okrzykiem zamknął się w swojej kabine. Rozłożył przed sobą Stary Testament i podręczną mapkę ówczesnego świata i przez kilka godzin pilnie studiował kierunki.

Nazajutrz przyszedł dzień upragniony: jedna z żon Noego, piorąca bieliznę na przednim pokładzie, dała znać, że na horyzoncie rysują się jakieś kształty. A kiedy mgła opadła, ukazała się oczom podróżnych góra wyniosła, której wygląd zgadzał się całkowicie z opisem biblijnym.

Któż opisze radość Noego? Zaśpiewał słynną piosenkę: „Eloj-him bum tarara! Widać górę Ararat!”, rzucił się na szyję wszystkim członkom rodziny, potem wyściskał wielbłądy, potem żony, a w końcu zaczął tańczyć na pokładzie i przytupywać tak śmiesznie, że nawet stare, poważne lewiatany puściły z nozdrzy prysznice na znak humoru.

Ową społeczną radość uczczono winem, ale tak energicznie, że sternik źle pokierował sterem i arka popłynęła w fałszywym kierunku. Trzeba było nazajutrz zawracać pod szyderstwami Sema, że wszystko i tak skończy się niedobrze. Ale w południe arka stanęła na szczycie. Wody powoluteńku opadały i słońce, takie porządne przedpotopowe słońce wstało z fal.

Najwyższy czas, żebyśmy wypuścił gołębicę! - rzekł Noe i wypuścił. Ale wróciła z niczym. Miała mokre skrzydełka i malutkie przerażone oczki.

- Nie gołębicę trzeba było najpierw wysłać, a kruka! - syknął Sem, pokazując odpowiedni werset księgi.

- Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy! - odparł Noe. I po raz drugi wypuścił gołębicę. Wróciła zadowolona i syta, ale zamiast gałązki oliwnej trzymała w dzióbku list treści:

*JWP Noe. Na rzekomej górze Ararat.*

*Szanowny Panie Kolego!*

*Bardzo mi przykro, ale jestem pierwszy, chociaż drugi. Góra, na której pan znajduje się, to nie jest Ararat. Ararat jest tam, gdzie ja mieszkam od trzech dni z żonami i dziećmi. Mamy bardzo miłe mieszkanie. I gdyby Pan zechciał wpaść dzisiaj do nas na lampkę wina, bylibyśmy nadzwyczaj oczarowani. A co do palmy pierwszeństwa, to niechże się Pan nie martwi. Przy następnym potopie Pan wypłynie. Na każdego swój czas.*

*Noe II*



# Ludwik Górski

## NA MOJEJ ULICY

Na mojej ulicy nic się nie dzieje. Jest zbyt krótka na niecodzienne wydarzenia: jedenaście domów po jednej stronie, po drugiej siedem i cztery puste place. Właściwie nie puste - po wypalonych domach. Ale od tygodnia żadnego pożaru nie było, i znowu ciemno wieczorami.

Latarni jest tylko pięć. Starych, gazowych latarni. Cztery zostały już przewrócone, piąta trzyma się, chociaż kierowca ciężarówki uderza w nią codziennie. Dwa razy: kiedy wyjeżdża z magazynu i kiedy wraca. Zawsze bierze za mały rozpęd, chociaż się stara.

Pod piątym jest fryzjer. Wielki z jednym okiem i szramą w poprzek twarzy. I wzdłuż. I na ukos. Pojedynkuje się na brzytwy z mleczarzem, ilekroć mleko mu skwaśnieje. Mleczarz jest zručniejszy, bo brzytwę ma przymocowaną do laski, ale fryzjer jest szlachetniejszy - walczy czysto. W białym kitlu. Za to mści się na klientach podrzynając im to lub owo.

Nikt pogotowia nie wzywa, bo lekarz jest naprzeciwko. Poczciwy staruszek zszywa, co trzeba. Szyje i śpiewa włoskie canzony. Lepiej mu się przy tym szyje; po każdym ściegu zwrotka. A refren na końcu. Jeżeli ma za dużo roboty, to śpiewa arię z Cyrulika. Pod adresem fryzjera. Wtedy fryzjer polewa sobie głowę vegetalem i wygala sobie przedziałek. Ze skruchy.

W domu pod ósmym, z balkonami mieszka zegarmistrz. Na parterze mieszka i nie ma balkonu. Czy chciałby mieć balkon? Nikt nie wie, bo nie mówi o tym. Jest rudy i w szlafroku. Zmienia strój tylko na pogrzeb służącej. Wkłada wtedy garnitur marengo, bierze laskę do ręki i smutny kroczy za konduktem. Pogrzeby służących są zawsze osiemnastego. Każdego miesiąca. Chyba, że wypada w czwartek. Nie lubi pogrzebów w czwartki. Chodzi wtedy do knajpy na rogu i upija się szybciotko. Dolewa do wódki oleju szpindelkowego, potem patrzy w lustro, i jak widzi w nim, że jest pijany, to je tłucze i rzuca na ladę złoty zegarek. Reszty nie bierze i wychodzi przez okno. Wraca do zegarów.

Uwielbia budziki. Bierze je do reperacji i nigdy nie zwraca. Wszystkie nastawia na północ i kiedy mu zagrają, jest szczęśliwy. Na całej ulicy otwierają się okna, wszyscy regulują zegarki i wychodzą na nocny dyżur. Czuwać, żeby kominiarz spod czwartego znowu nie podpalił jakiego domu. Te cztery puste place to jego dzieło. Lubi blask na wolnym powietrzu. Nie ukrywa tego. Ale od tygodnia nic mu się nie udaje, bo odkryto jego system: podpalał kolejno według numerów. Snuje się z butelką benzyny i zapałkami i płacze z bezsilności. Czasem tylko ktoś mu poda ogień do papierosa. I to wszystko.

Dyżurni z nudów napadają na siebie, a potem do rana wzywają pomocy.

I co może się zdarzyć na mojej ulicy?

Bach! O, znowu strzeliła do mnie. To Józia. Kocha się we mnie i codziennie strzela do mnie. Co z tego, kiedy ja jej nie kocham. Nie kocham Józii.

# Jerzy Górzeński

## NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA

Co my właściwie wiemy o niedźwiedziach? Ileż to nieprawdziwych zdań wypowiedziano i wypisano na temat tych jakże zakompleksionych i zaszczutych mieszkańców naszych kniei. Dzieci od maleńkości straszy się historyjką o dwóch przyjaciółach, którzy poszli do lasu i natknęli się na niedźwiedzia. Jeden z nich, po prostu dziecko-mała, wdrapał się błyskawicznie na drzewo, a ten drugi upadł na ziemię i udawał trupa. Niedźwiedź wiadomo, ścierwa nie tknie. I tak też się stało. Wszystko skończyło się dobrze. Tyle, że morał tej historyjki, mówiąc ogólnie, budzi pewne zastrzeżenia. Cudem uratowany zrywa przyjaźń z drzewołazem, gdyż ten opuścił go w potrzebie. Powiedzmy sobie: to lekka przesada z punktu widzenia dzisiejszych norm współżycia na rozległych terenach lasów państwowych.

Załóżmy, że ów reakcjonista natychmiastowy, jak byśmy go umownie nazwali, nie dał dyla i pozostał przy koledze bez refleksu na nogę. To co by się stało? Udawacz wykonałby pad zasadniczy, zaś niedoszły Tarzan padłby z kolei ofiarą drapieżcy. Posuńmy się dalej: gdyby zwolennik przechytrzenia za pomocą „trupa” nie wykonał padu i obaj staliby w miejscu jak zamurowani, to jakim sposobem daliby radę bestii, w dodatku gołymi rękami? Wątpliwości się mnożą i nadal będą się mnożyć, jeśli nie powołamy na świadków tych, którzy przez wiele lat rozgryzali niedźwiedzia i w końcu go rozgryźli dementując pogłoski o rzekomo rozbijackiej naturze popularnych łasuchów i śpiochów. Niedźwiedź nigdy nie zburzył i nie zburzy żadnej przyjaźni - to jest praktycznie udowodnione i historycznie zawarowane.

Sam należę do szczupłego grona badaczy niedźwiedziej kwestii i w związku z tym posłużę się przykładem z własnego doświadczenia.

Wybrałem się któregoś styczniowego popołudnia z przyjacielem, poetą, do lasu, żeby podyskutować o kulturze śródziemnomorskiej. Temat wdzięczny, przyjaciel odcytany, przyroda przychylnie nastawiona. Biało wszędzie i jakoś niewymownie wciągająco. W pewnym momencie przyjaciel przerwał swój wywód na temat skały tarpejskiej i struchlały wyszeptał:

- Kto jest ten trzeci, co idzie za nami?

Odwróciłem głowę. W odległości około pięćdziesięciu metrów ujrzałem brnącego przez zasy niedźwiedzia z piłą.

- To niedźwiedź z piłą - odparłem spokojnie, bowiem nigdy nie wpadam w panikę na widok chętnych do pracy zwierząt.

Słowa moje trafiły jednak w przysłowiową próżnię, gdyż przyjaciel właśnie wspinał się po pniu najbliższego drzewa z rodziny liściastych. Cóż miałem robić? W celu naukowego sprawdzenia fikcji padłem na ziemię i udałem, że nie żyję.

Po chwili poczułem, że coś ciężkiego spoczęło mi na ramieniu. To była bez wątpienia niedźwiedzia łapa. Wstrzymałem oddech i zacisnąłem mocniej powieki.

- Wstawaj, nie wygłupiaj się - przemówił ktoś sympatycznym basem. - Nie ze mną takie numery. Poza tym dostaniesz kataru.

Zrobiło mi się głupio, że leżę tak przed leśnym zuchem i udaję nieboszczyka, kiedy zwierzę przejrzało mnie na wylot i zapewne zażąda wyjaśnień.

Wstałem i śmiało spojrzałem mu w ślepie.

- No to szarp mnie, ale możliwie szybko - rzuciłem mu w pysk.

- Daj spokój, stary, ty dla mnie jesteś za łatwy. Zresztą nie o ciebie chodzi.

- A o kogo?

- O twojego przyjaciela.

- Zna go niedźwiedź?

- Człowieka poznaje się w biedzie.

- Uważam, że postąpił słusznie wybierając najwyższe drzewo.

Niedźwiedź przysiadł na zwałonym pniu.

- A jaki on jest naprawdę? - zapytał.

- Zdolny. Mądry. Chętnie pożycza pieniądze.

- Pije?

- Niestety, i to coraz gorzej.

- Donosi?

- Z tego, co wiem, to tylko raz udało mu się donieść pół litra do stolika w „Rycerskiej” i natychmiast zasnął.

- A jak traktuje kobiety?

- Z początku nieśmiały, później natarczywy, na końcu wymusza.

- Biciem?

- Nie, kolacją w „Bristolu”.

- O rodzicach pamięta?

- Sierota.

- Zbiera, paskuda, dodatkowe punkty.

- Do czego właściwie niedźwiedź zmierza?

Tu niedźwiedź wskazał na piłę.

- Co to jest?

- Piła.

- To jest test-sprawdzian dla przyjaciół w biedzie. Zaczniemy piłować, a wtedy przekonamy się, co on jest wart. Piły nie oszuka.

Podeszliśmy pod drzewo.

- Różnałeś kiedyś? - zapytał zwierzak i splunął w łapy.

- Widziałem na filmie, jak biedni drwale różnili w warunkach kapitalistycznych. Żal ścisnął.

- No to do roboty.

Przyjaciel, ujrawszy mnie z niedźwiedziem w jednoznacznym ujęciu, zawołał:

- Sprzedawczyk! Podkłada się cygańskim sługusom!

- Co on ma na myśli? - zapytał niedźwiedź.

- Że niedźwiedzie często dawały się ujarzmić Cyganom w celach zarobkowych i uzasadnia to historycznie.

- Do mnie pije. Nic ciekawego.

- Kiedy oddasz paczkę, grafomanie! - zagrzmiało z góry.

- To już lepiej. Teraz ciebie tyka. O jaką paczkę chodzi? - zainteresował się włochaty drwal z przeciwka.

- Pożyczyłem wczoraj od niego stówę i publicznie się upomina.

- Masz to z głowy.

- On kiedyś jedną panienkę posuwał na niedźwiedziej skórze, zbytnik! - ponowił atak przyjaciel.

- Jednak kapuje. Chyba się nie wywinie - skonstatował król puszczy.

Przepiłowaliśmy pień do połowy.

- Opowiedz misiowi jak upiłeś starszego literata w „Kameralnej”, a potem wmawiałeś kelnerom, że to jeleni i że przysiadł się do ciebie.

- Podlizuje się i jednocześnie sypie, kanalia. Wezmę go pod łapy, jak nic - zamruczał zgorszony niedźwiedź.

- Ratuje własną skórę, jest na przymusie - próbowałem odciążyć siedzącego na minie znawcę jambu i trocheju.

Kiedy dobijaliśmy do końca, przyjaciel zawołał histerycznie:

- Już schodzę!

- Pęka - zatriumfował niedźwiedź. - Piła prawdę powie, nie zwiedzie, nie oszuka.

Przerwaliśmy piłowanie, choć cel był bliski.

- Wiesz co, człowieku? - odezwał się niedźwiedź i jakby zasepił. - Chyba przesadzam w tych eksperymentach. W końcu przyjaźń niejedno ma oblicze. Pomyślałem sobie, że gdybyś tam siedział na górze, to kto wie, jak byś się zachował. Nie chcę brutalnie ingerować w wasze ludzkie układy. Niedźwiedź musi znać swoje miejsce. Powiem ci szczerze: oddaj mu jutro paczkę, nie figluj na resztkach naszych braci, nie naciągaj, nie wymuszaj, nie pij za cudze, a nade wszystko nigdy nie udawaj przed żadnym drapieżnikiem. Nawet wśród niedźwiedzi trafiają się jednostki tępe, pozbawione wyobraźni, a wtedy...

Wyszarpnął piłę z pnia i znikł w pobliskich krzakach, strząsając przy tym malowniczą czapę śniegu. Piękna sztuka, choć nieco chimeryczna i rozgadana. Krzyknąłem za nim:

- Do matecznika!

Ale bez demagogicznego wstrętu, raczej z troski o należyty wydźwięk. Następnie pchnąłem drzewo, zwaliwszy wszystko na niedoskonałość narzędzi poznawczych.

# Stefania Grodzieńska

## PRZYGODA W SAMOLOCIE

Kiedyś zaliczałam się do sceptyków, ale od pewnego czasu wierzę w zjawiska nadprzyrodzone.

Zaczęło się normalnie. Wsiadliśmy z mężem na Okęciu do samolotu, aby polecieć do Krakowa. „Co nadprzyrodzonego może się zdarzyć z własnym mężem?” - spytaście zapewne i wzruszycie ramionami. Wzruszajcie sobie, dlaczego nie...

Samolot ruszył o oznaczonej godzinie, pogoda była ładna, współpasażerowie nieciekawi, mąż czytał gazetę, słowem nic nie zapowiadało niesamowitego zakończenia tego, wydawałoby się, najnormalniejszego lotu.

Przyznam się, że nie bardzo pewnie czuję się w powietrzu i chętnie skracam sobie czas podróży pogawędką. Ale z kim?... Mąż jak zacznie czytać gazetę, to można przy nim trupem paść, nawet się nie uśmiechnie. Tak więc byłam wydana na pastwę złych przeczuć. W dodatku ten cały samolot był podejrzany. Podzieliłam się z mężem wątpliwościami.

- Słuchaj, ten samolot jakoś tak dziwnie skrzypi.

Mąż wsadził głębiej w nos gazetę.

- Mógłbyś się zainteresować - powiedziałam dobitnie.

- Czym?

- Że skrzypi.

- Co skrzypi?

- Samolot.

- No to co. Niech sobie skrzypi - powiedział łagodnie mąż i zjadł cukierka.

- Ale to jest polski samolot - krzyknęłam - jeszcze się rozleci!

- Co ci do głowy przychodzi!

- Tak, co mi do głowy przychodzi! Buty kupiłam naszej produkcji, to mi się po tygodniu rozleciały.

- Ale tydzień w nich chodziłaś, a tym samolotem lecimy tylko godzinę - zadowcipkował idiotycznie mąż i zadowolony z siebie czytał dalej gazetę.

Tymczasem samolot zaczął się kiwać. Kiwał się i kiwał. Ogarnął mnie nowy niepokój.

- Słuchaj, dlaczego ten samolot tak się kiwa? Co? Może pilot pijany?

- Na pewno nie - powiedział mąż i pożarł drugiego cukierka.

- Skąd wiesz? Może pijany?

- Nie może być pijany.

- Dlaczego?

- Bobby go nie dopuszczono.

- A jak ten, co go miał nie dopuścić, był też pijany?

- To byłby wyjątkowy zbieg okoliczności.

Pomimo grozy sytuacji wybuchnęłam zjadliwym śmiechem.

- Rzeczywiście! Musi być wyjątkowy zbieg okoliczności, żeby u nas się znalazło trzech pijanych facetów! Ale dajmy na to, że nawet ten pilot jest trzeźwy. To i tak może mu się motor zepsuć. Słuchaj, co będzie, jak się motor zepsuje?

- Jest drugi motor.

- A jak ten drugi motor też się akurat zepsuje?

- To mało prawdopodobne.

- Ale powiedzmy.

- To się ląduje w polu.

- A jak akurat nie ma pola?

- To się ląduje na łące.
- A jak akurat nie ma łąki?
- To się wybiera możliwie najodpowiedniejsze miejsce.
- A jak są akurat same nieodpowiednie miejsca?
- Od tego jest pilot, już on sobie poradzi.
- A jak akurat pilotowi robi się słabo?
- To jest drugi pilot.

- A jak się akurat zepsują obydwie motory i nie ma żadnego odpowiedniego miejsca do lądowania i obydwu pilotom robi się słabo?

- Wtedy ginie nagłą i gwałtowną śmiercią.
- Piloci też?
- Też.
- Bardzo dobrze. Na drugi raz będą uważali.

W tym momencie przez zamknięte okno do znajdującego się w powietrzu samolotu wsiadł jakiś pan... Jakiś pan o złotych kędziorach, spowity w długą, niebieską szatę. Z ramion wyrastały mu białe skrzydła. Spojrzał na mnie i spytał melodyjnym głosem:

- Który z panów jest mężem tej pani?
- Ja - odpowiedział mój mąż i złożył gazetę.
- Pan pozwoli ze mną. Idzie pan żywcem do nieba.

I obaj wysiedli przez zamknięte okno.

No i kto mi to wytłumaczy naukowo?

# Jarosław Iwaszkiewicz

## OPOWIADANIE Z KOTEM

Ostatnio często bywam we Włoszech. Ale naprawdę wydaje mi się bajką gadanie o lazurowym włoskim niebie i o słońcu, i o cieple. Jest zawsze zimno, niskie szare obłoki nadciągają z północy, to z południa, deszcz nagle spada gwałtowny, a potem nazajutrz siąpi dzień cały, przenikając wilgocią do szpiku.

Tak było ostatnio w Wenecji. Bazylika Świętego Marka stała się jeszcze bardziej nierealna za siatką przejrzystego deszczu, gołębie pochowały się na noc po gzymsach, zostawiając na placu plamy swego zielonego kału i dobrze srebrzyste piórka, które były tak lekkie, że nawet deszcz nie mógł przybić ich do ziemi.

Po placu włóczyli się jacyś najgorsi turyści i trochę miejscowej hołoty, czarne sylwetki przemykały się za kampanilę i osierocona orkiestra rzępoliła okropnie pod parasolem przed jakąś knajpą.

Kawiarnia Floriana była zupełnie pusta. Spytałem wysokiego przystojnego kelnera, o której zamykają. Okazało się, że jeszcze mam pół godziny czasu. Poprosiłem o czekoladę.

Czerwone kanapy dziwacznie dopasowane do wielokształtnych salonów ziały pustką, a śliczne meble, krzesła i stoliki zdawały się pochodzić z jakichś wiejskich, opuszczonych dziś domów. Na ścianach pastele kolorowe wyobrażały Turczynki i Tatarki. Pięknie zbudowana Murzynka obnażała swoje czarne piersi. Było zupełnie jak za czasów Longhiego.

Gdy smętnie popijałem ową czekoladę myśląc o deszczu i o samotności, które prześladowają mnie tak regularnie, do salonu (tak chyba trzeba nazwać tę kawiarnię) weszła Carmen. Przywitałem się z nią skwapliwie i poprosiłem, aby usiadła przy mnie. Miała na sobie skromny, czarny wełniany kostium, a na głowie ten sam kapelusik z niezapominajek, który miała u mnie na śniadaniu, przed trzydziestu laty w Kopenhadze. Było jej do twarzy w tym kapeluszu, miał on bowiem zupełnie kolor jej oczu.

- Jakoś się nic nie zdziwiłeś z naszego spotkania - powiedziała Carmen swoim niskim, przyjemnym głosem - przecież to nie jest zwyczajne spotkanie.

Wzruszyłem ramionami.

- Nawet gdybyś specjalnie przyjechała z tej twojej Argentyny, to też bym chyba się nie zdziwił. Ale przecież nie przyjechałaś specjalnie?

- No, nie - powiedziała. - Ale przyszedłam specjalnie.

- Jasne - wziąłem ją za rękę - przecież umówiliśmy się u Floriana. Tak przyjemnie, kiedy urzeczywistniają się tak nieprawdopodobne zamiary - powiedziałem. - Czego się napijesz?

- A ty co? Czekoladę? To i ja chcę czekolady.

Zamówiłem czekoladę i potem znowu zwróciłem się do niej:

- Ten wysoki kelner przypomina naszego duńskiego przyjaciela. Tego, co umarł. A może to on? O tobie przecież także córka pisała, że umarłaś. A jednak przyszałaś.

Carmen uśmiechnęła się, widać było jej długie białe zęby. Zawdzięczała je wspaniałym amerykańskiemu dentystom.

- Chciałam dotrzymać słowa. Przecież umówiliśmy się - jeszcze w Rzymie.

- No, oczywiście. Mieliśmy mówić o naszym opowiadaniu. Ale lepiej o tym było mówić w Rzymie. Tam byśmy prędzej znaleźli potrzebnego kota. W Panteonie albo na Largo Argentina.

- Coś podobnego. Ty myślisz, że w Wenecji nie ma kotów?

- Są, ale nie takie.

Od dawna już z Carmen nosiliśmy się z zamiarem napisania powieści pod tytułem „Pamiętnik kota”. Miał to być szczegółowy dziennik kota mieszkającego w Panteonie czy, lepiej, na Largo Argentina - i całe dzieje dziewczyny, która przychodziła karmić go codziennie. Ten kot miał pamiętać lepsze czasy, był

faworytem księdza gdzieś z jakiejś parafii, ale księża gospodyni zafrasowana jego marcowymi miaukami chciała go wykastrować. Kot oczywiście rozumiał wszystko, co mówiono w jego obecności - i nawiał w ruiny. Dziewczyna miała uciekać od prześladowającego ją starego lowelasa, nie wiedziała, co robić w domu, trudno jej było - i ostatecznie miała się zmienić w kotkę i zamieszkać z owym kotem w ruinach. Co do tego ostatniego punktu naszego opowiadania Carmen nie była ze mną zgodna. I właśnie na ten temat mieliśmy się ostatecznie dogadać. Carmen twierdziła, że to niemożliwe, aby się dziewczyna zamieniła w kotkę, ale ja mówiłem, że to bardzo ładnie. Nie dogadaliśmy się, Carmen wyjechała z powrotem do Argentyny, i opowiadanie było w zawieszeniu. Ale właśnie się zjawiła u Floriana, żeby ostatecznie dobić targu.

- Poszukamy kota w Wenecji, on nam opowie, czy to możliwe.

Kelnerzy zbierali się do wyjścia, zamykali, sprząтали. Carmen wreszcie zapytała tego wysokiego:

- Może pan zna jakiego kota w Wenecji?

Kelner rozłożył ręce bezradnie.

Zauważyłem, że kiedy zdjął biały kitel, został w czarnym stroju gondoliera. Uśmiechnął się. Miał miły uśmiech, prawdziwie młody.

- Jeżeli państwo chcą, to poszukamy kota.

- Ten kot musi być zupełnie specjalny - powiedziała Carmen, ale trąciłem ją w łokieć.

„Po co wtajemniczać kelnera. Nie potrzebuje wiedzieć, jakiego kota poszukujemy”. Tak pomyślałem, ale Carmen się domyśliła, bo zamilkła nagle i uśmiechnęła się głupkowato.

- A jak pan myśli, jak poszukamy?

Wyszliśmy przez ten czas na plac Świętego Marka. Deszcz nie przestawał padać. Zaraz na placu skręciliśmy w małą uliczkę, która była zupełnie ciemna. Czy to zgasła elektryczność, czy tu lamp nie było, nie wiedziałem. Wziąłem moją przyjaciółkę pod rękę, a czarny kelner szedł tuż przed nami. Słychać było tylko w ciemności jego śmiejący się głos.

- Proszę się nie bać, proszę się nie bać, zaraz wszystko będzie dobrze.

Ciemno było absolutnie, ale ogarnęło nas powietrze zmieszane z wydechów morza, smrodów rozkładających się w wodzie śmieci i przysmażonej oliwy. W tym wszystkim pachniały także skórki pomarańczowe.

- Jak pachnie - powiedziała Carmen. - To deszcz tak pachnie.

Kelner idąc przed nami śmiał się cichutko.

- Ale ja nic nie widzę - powiedziałem i otworzyłem szeroko powieki. W miarę jak się oko oswajało z ciemnością, spostrzegłem ściany zbiegające się, które tworzyły wąziutką uliczkę. Uliczka ta zdawała się chwiać od wiatru, wyginała się. Jej dno było trochę jaśniejsze od ciemnych ścian.

- Jak się pan nazywa? - spytała Carmen kelnera.

- Vlado - odpowiedział pełnym, młodym głosem, który zabrzmiał jak jakieś wezwanie.

- Vlado? - spytała Carmen zdziwiona.

- Moja matka była Jugosłowianka - powiedział młodzieniec.

Uliczka nagle wylała się w mały placyk, z którego w ciemności widać było tylko powierzchnię rozlewającą się jak jezioro. A może to była woda?

- Uwaga - powiedział Vlado. - Tu stoi gondola.

Placyk rzeczywiście był wodą. U naszych stóp skakała czarna gondola z charakterystycznym pluskiem. Czarna fala uderzała o dno łodzi. Woda bije o drzewo jak bęben afrykański.

Już mieliśmy siadać do gondoli i Vlado podawał rękę mojej przyjaciółce, kiedy z ciemności za nami, z uliczki uginającej się od czarnego wiatru, wynurzyła się malutka czarna postać. Była to zakonnica w ciemnym habicie i w ogromnym ciemnym kapturze na głowie. Zbliżyła się do nas i zapytała:

- Proszę państwa, mam zapalić lampkę przed obrazem i nie mogę go znaleźć. W tej uliczce musi być obraz.



Zdziwiliśmy się.

- Ja nie wiem - powiedziałem.

Vlado się odezwał. W jego głosie brzmiał wstrzymywany śmiech.

- Tu chyba o trzy domy wstecz jest taki obraz za kratą.

- Jak ja będę liczyła domy? - spytała zakonnica.

- To chyba tam, gdzie jest burdel - powiedział Vlado.

- Jezus, Maria! - krzyknęła zakonnica. - Jesteście źli ludzie.

Carmen się oburzyła.

- Wcale nie jesteście źli. Tylko jesteście zabłąkani. Nie wiemy, gdzie jesteśmy. Widzi siostra, jak ciemno.

- Jestem matką Anuncjaty - powiedziała zakonnica.

- Proszę matki - powiedziała Carmen - czy matka nie wie, że są domy publiczne na świecie?

- Na świecie, tak. Ale w Wenecji? Tuż obok klasztoru?

- Niech matka zapali lampkę - powiedział pełnym głosem Vlado. - Będzie jaśniej.

- Komu będzie jaśniej? - zaniepokoiła się matka.

- Ludziom będzie jaśniej. A kurwa to nie człowiek? - zawołał czarny chłopiec specjalnie głośno, bo właśnie uderzył mocniejszy wiatr, gondola klasnęła jak myśliwski wystrzał i zachybotała łańcuchami.

- Pani droga - powiedziała zakonnica chwytając Carmen za rękę. - Niech mu pani powie, żeby tak nie mówił.

- Ja go nie znam - powiedziała Carmen.

- Pani, a gdzie pani ma kości? - zawołała nagle z przestachem zakonnica. - Pani ma pusty rękaw. Pani jest bez rąk?

- Co ta baba plecie? - powiedział Vlado. - Siadajmy już do tej gondoli.

- Ja chcę zapalić lampkę przed obrazem - smutnym tonem, ale szybko, jakby pacierz mówiła, powiedziała zakonnica - za duszę mojego siostrzeńca. Mój siostrzeniec umarł. Umarł mając dwadzieścia siedem lat. Nie znał chyba życia.

- Niech się siostra uspokoi - powiedział Vlado. - Obraz jest tam, na trzecim domu. A pani siostrzeniec znał życie lepiej od pani, mogę panią zapewnić, choć pani siostrzeńca na oczy nie widziałem. W drogę, w drogę. Avanti!

Pospieszaliśmy. Carmen wsiadając do łodzi mocno oparła się na mojej dłoni. Chciałem ją pocałować w przelocie, ale uchyliła twarzy:

- Co ci jest? - spytała swoim niskim głosem. - Nigdy mnie nie całowałeś.

- Nie pamiętasz? - spytałem.

Ale już siedzieliśmy w gondoli, oparci o miękką, szeroką ramę. Była ciemność absolutna. Nie widziałem twarzy Carmen, tak jakby jej nie było.

Vlado próbował odepchnąć łódź, manewrował powoli. Zakonnica wołała z brzegu:

- Dokąd wy jedziecie? Przecież tam ciemno.

- Ja mam kocie oczy - powiedział Vlado. Głos jego był poważny i spokojny, a jednak - jakby na tle śmiechu - rozległ się nad naszą głową. I zaraz, widocznie widział jakieś skrzyżowanie kanałów, bo zaśpiewał owe zwyczajne gondolierskie dwie nuty: - Ho - ho!

- Może ty sam jesteś kotem? - spytała Carmen.

- W każdym razie nie takim - powiedział Vlado.

Łódź gwałtownie, o ile tak można powiedzieć o gondoli, zawróciła i nagle dostrzegliśmy nad samą wodą jasno oświetlone okno. Była to chyba reklama jakiegoś sklepu, ale światło w oknie wydało się nam oślepiająco jasne po ciemnej nocy, z którejśmy się wynurzyli. Jeszcze słyszeliśmy w ciemności wołający za nami głos matki Anuncjaty, a tu już staliśmy - bo łódź stanęła - przed ścianą światła. W oświetlonym oknie widniała czarna mumia wypchanego kota, ale tak zmieniona dziwacznym ubraniem, że w pierwszej

chwili nie zorientowaliśmy się, co to jest za zwierzę. Czarny kot siedział na tylnych łapach, wyprostowany i z podniesioną głową jak na egipskich posągach. Była to reklama sklepu jubilerskiego, więc kot miał wprawione w oczy dwa duże szmaragdy, jaskrawozielone. Na głowie (zapewne była to kotka) miał stroik w kształcie gwiazdy, upleciony z pereł i brylantów. Szyję obejmował mu miękki pierzasty kołnierzyk śnieżystej białości, a długi, zarzucony ku przodowi, cienki czarny ogon opleciony był sznurem pereł przedziwnej jakości. Oczywiście kot był martwy i siedział nieruchomo, ale, zdawało się, patrzył na nas wyczekująco.

Carmen westchnęła głęboko.

- To fantastyczne! - powiedziała - ale to nie to...

- Dlaczego? - spytał Vlado pochylając się ku mojej przyjaciółce.

Cała jego twarz oświetlona teraz była promieniami padającymi z okna. Był niezmiernie miły, a cała linia jego twarzy od czoła do brody miała ten czysty rys młodości, którego nic nie zdoła zastąpić ani nic nie zdoła oddać. Nie myślałem z początku, że on jest taki piękny.

- Bo ten kot nic nam nie powie - powiedziała Carmen.

- Chociaż on bardzo dużo wie - uśmiechnął się Vlado.

- Czy nie za dużo? - spytała Carmen.

- Kto milczy zawsze, może wiedzieć i za dużo.

W tym momencie światło witryny zgasło i znaleźliśmy się znowu w zupełnej ciemności. Po pluskaniu fali pod nami poznawałem, że płyniemy dalej.

- Ja nie wiem, czy to ma jaki sens, takie płynięcie w gondoli nie wiadomo dokąd. Dokąd on nas wiezie? - powiedziałem.

Carmen zwróciła się do gondoliera nad naszą głową.

- Vlado - powiedziała - może już wrócimy.

- Dokąd wrócicie? - spytał Vlado. - Czy macie tu jaki dom?

- Domu nie mamy - zniecierpliwilem się - ale mamy hotel.

I wyobraziłem sobie swój pokój w hotelu, duży pokój z kamienną podłogą, w którym prawie nie było mebli. I nawet nie było stolika, na którym można by było pisać. Co prawda, nie miałem do kogo pisać listów.

- Poczekajcie jeszcze chwilkę, zaraz wam coś pokażę.

Jak gdyby się trochę rozjaśniło. Widać było pod nami tę czarną niespokojną wodę, którą zapełnione są jak atramentem kanały Wenecji. Wodą płynęły połyskujące przedmioty, były to papierki, skórki pomarańczowe, długie pasma trawy. Wyskakiwało to na szczyty fal, o które rozbijała się z pluskiem gondola. Domy po obu stronach kanału pochylały się ku nam tak, że pasmo nieba nad naszą głową wydawało się węższe od kanału, którym posuwaliśmy się naprzód.

Mado zwolnił, hamował wiosłem pochylając się silnie w bok. Odwróciłem się ku niemu i nagle ujrzałem całą jego postać; w czarnej, opiętej marynarce z wielkim wysiłkiem zanurzał wiosło i zaciął wargi. Podobny był do jakiejś postaci Michała Anioła. Widziałem go całego, to znaczy, był oświetlony. Dopiero gdy sobie to uprzytomniłem, odwróciłem głowę.

Staliśmy przed nisko nad wodą położonym, zakratowanym balkonem. Balkon był nieduży, z trzech stron otoczony kutą kratą przedziwnej piękności. Pośrodku balkonu stał stolik, a na nim renesansowy świecznik z pięcioma zapalonymi świecami. Świece nie gasły, chociaż powiew powietrza poruszał gwałtownie płomykami. Balkon, a raczej jego krata, otoczony był czymś w rodzaju obłoku. Dopiero po chwili zrozumiałem, że są to poplątane pączki glicynii. Jeszcze się nie otwierały one i były podobne do gromady liliowawych myszy, które trzymając się za ogony oplatały kratę balkonu. Poruszały się one leciutko, podobnie jak płomyki świec, i nadawały całemu balkonowi jakby jakieś poruszenie, drganie, którego zazwyczaj nie mają martwe przedmioty.

Po obu stronach świecznika siedziało przy stole dwoje bardzo młodych ludzi. Ona wyglądała na

piętnaście lat, miała jasne, jakby nieco popielate włosy, on był starszy, z piękną szyją wynurzającą się z białego kołnierza. Pochylając ku sobie głowy, patrząc sobie w oczy, rozmawiali.

- To nie skowronek odezwał się w niebie - mówiła ona. - To słowik kończy swoją piosenkę w kwitnących migdałach. Wierz mi, kochany, to na pewno słowik.

- Nie - odpowiadał młodzieniec. - To skowronek wznosi się do nieba szczebiocąc. Zaraz będzie świtało.

- Nie, nie, to słowik. Zostań jeszcze, zostań.

- Skoro mnie prosisz o to, zostanę maleńko - powiedział chłopiec. - To rzeczywiście słowik śpiewa w cyprysach.

- Nie, nie, to skowronek - nagle zakrzyknęła dziewczyna. - Idź już, idź. Nie chcę, abyś umierał.

Nagle obok naszej gondoli, na fali oświetlonej pełzającymi płomykami świec, ukazał się trup kota pływający z wolna, wstrętny, wyleniały i opuchnięty.

- Patrz, kot, kot! - zawołała głośno Carmen.

Młodzi na balkonie posłyszeli okrzyk. Chłopiec chwycił świecznik i zdmuchnął wszystkie płomienie jednym potężnym oddechem. Znowu ogarnęły nas ciemności.

Rozległ się głos z balkonu:

- Co tak stoicie i podglądacie ludzi? Jazda dalej!

Głos nie był poirytowany. Raczej rozbawiony, o bardzo przyjemnym brzmieniu.

Vlado machnął wiosłem.

- Przegapiliśmy - powiedział.

I popchnął dalej łódź.

Cośmy przegapili? Nie wiedziałem i nie pytałem. Wtedy odezwała się Carmen.

Mówiła jak zawsze szybko i niewyraźnie - a do tego zawsze jakby miała uzasadnioną pretensję do rozmówcy. Przyzwyczajony byłem do tego. I do tego, że powtarzała się nieznośnie. Wszystko to już słyszałem wiele razy.

- Bo wiesz, że mnie się zdaje: to nie ma najmniejszego sensu pisać o kotach. Żaden kot, którego byśmy znaleźli, nie powie nam, co czuje, kiedy go karmi piękna dziewczyna... Koty w ogóle nie zwracają uwagi na to, kto je karmi... Te na przykład na Largo Argentina... Mieszkają sobie w świątyniach z epoki republikańskiej... One są właściwie jak święte... jak koty w Egipcie... jak ta mumia w perłach, którą przed chwilą widzieliśmy... Po nocy, w nieznanym mieście... czego my szukamy? Czuję się, jakbym wypila butelkę szampana...

Vlado pochylił się nad nami.

- Zaraz uderzą dzwony - powiedział.

- Dzwony? W nocy? - spytałem.

- Tak. Dzisiaj jest noc, kiedy dzwony biją... o dwunastej.

- Już jest północ? - spytała Carmen.

- Raz, dwa, trzy - policzył Vlado i trzy razy odepchnął się wiosłem.

W tej chwili uderzyły dzwony. Jak to w Wenecji, nie jednocześnie i nieporządnie. Miedziany głos u prawosławnego świętego Jerzego, potem u świętego Marka, jak sygnaturka, a potem wszystkie. Ale nie biły razem, akordami, lecz odzywały się do siebie jak kukułki w lesie, to tu, to ówdzie. W dali uderzył potężny ton raz jeden, a bliżej dzwony dzwoniły w rozsypanego.

W tej chwili łódź uderzyła przodem o wielki sterczący w wodzie pał, służący do przywiązywania gondoli. Zachwialiśmy się.

- Ostrożnie - powiedziałem do gondoliera.

- To nic - odpowiedział jak gdyby radośnie.

Staliśmy, widać to było, przed wysokim pałacem, typowym weneckim wspaniałym pałacem. Widać było na parterze pięć półokrągłych renesansowych arkad. Arkady zdawały się być puste.

Dzwony umilkły. Jeszcze parę uderzeń w oddali i było cicho.

- Co tak stoimy? - spytała Carmen.

Wtedy Vlado pełnym głosem wydał okrzyk gondoliera. Ale okrzyk stylizowany, wziął dużą tercję e - gis, tak jakby zaczynał Gondolied Mendelssohna. Przetrzymał długo pierwszą nutę, a drugą przeszedł w pianissimo, jakie potrafią wydobyć tylko wielcy śpiewacy.

Nie zdążyłem wyrazić swego zdziwienia, kiedy zapaliło się światło w jednej z arkad. Na samym progu pałacu, tuż nad wodą, stał widocznie kucharz, bo człowiek w białym kitlu i w białej czapce na głowie. Tyle tylko, że kitel był jedwabny, a czapka nie zwyczajna, krągła kucharska czapa, ale nieco spiczasta ku górze. Człowiek ten, robiąc dłonią daszek nad oczami, aby się zasłonić od światła, patrzył w naszą stronę.

- Angelo, Angelo - zawołał nagle. - Goście przyjechali.

A potem, zwracając się w naszą stronę, dodał:

- Kuchnia już zamknięta, nic do jedzenia nie ma.

Zjawił się za nim Angelo. Był to kucharczyk widocznie. Zupełnie, jakby zszedł z obrazów Caravaggia, wyglądał raczej na rzymianina niż na weneccjanina. Był także w białym kitlu, z gołą głową i miał zakasane rękawy. Widać było, że był, choć niski, ale bardzo mocno zbudowany. Odślonięte ramiona miał bardzo harmonijne, ale zwłaszcza miał szerokie plecy. Gdyby ubrać tego nagiego żołnierza, który ścina świętego Mateusza w kościele Świętego Ludwika, toby tak wyglądał. On także z wysiłkiem spoglądał w ciemności, w naszą stronę.

- Tam nikogo nie ma - powiedział spokojnym basem do kucharza.

- Ale jakże, przyjechali gondolą. - I znowu w naszą stronę: - Kuchnia już zamknięta, nie ma nic do jedzenia.

Vlado zaśmiał się.

- Ale Angelo na pewno sam coś przygotuje. Angelo, masz jaką sałatę?

Angelo podrapał się w głowę.

- Sałatę mam - powiedział - ale nic innego.

- To daj nam sałaty.

- Ale nie ma mowy. - Postąpił krok jeszcze i wyglądało teraz tak, jakby stał bezpośrednio w wodzie. To było złudzenie. Próg arkady leżał o wiele wyżej od poziomu wody. Zaraz się o tym przekonaliśmy.

- Teraz będzie sąd - powiedział jeszcze kucharz.

- Posłuchajcie, to będzie ciekawe - zawołał zbyt głośno Vlado nad naszą głową.

- Angelo! - krzyknął kucharz. - Zapal latarnię!

Kuchcik, którego ciało jakby rozsadało biały kitel, postąpił naprzód i zapełnił sobą całą arkadę. Kucharz cofnął się w głąb i poprawił mitrę na głowie. Angelo pochylił się naprzód, wychylił poza arkadę i pstryknął komutatorem. Krzyknęliśmy oboje jednocześnie.

Między progiem arkady a wodą, na wprost zębatego dzioba naszej gondoli, wisało coś jak gdyby klatka, otwarta zupełnie od naszej strony. W klatce tej siedział młody jeszcze człowiek w jasnej marynarce i białej koszuli, bez krawata, otwartej na piersi. Jego jasna głowa pochylona była naprzód i jasne, zimne oczy patrzyły bez wyrazu w przestrzeń. Mnie się wydawało, że patrzy on na nas. Po chwili dopiero domyśliłem się, że ten człowiek oślepiiony nagle reflektorem nic przed sobą nie widzi. Wzdrygnąłem się.

Angelo usunął się w głąb, gdzie stała czerwona kanapka i dwa taburety, a kucharz wysunął się znowu ku przodowi. Trzymał w ręku kopystkę, która w świetle lamp zdawała się być poślacana. Kucharz stanął tuż nad klatką i przemówił uroczystym głosem:

- Teraz spowiadaj się, grzeszniku, ze wszystkich swoich grzechów.

Zrobiła się chwila zupełnej ciszy. Zdawało mi się, że nawet woda przestała chlustać o łódź i fale.

Człowiek w klatce poruszył się automatycznie, nie odrywając wzroku od przestrzeni.

- Mów! - powiedział jeszcze kucharz.

Wówczas człowiek w klatce wydobył z siebie coś na kształt szeptu, na kształt jęku. Z jęku tego urodziły się niewyraźne, przerywane słowa.

Mówił:

- Zgrzeszyłem... jeszcze w dzieciństwie... miałem może osiem lat... nie mogę o tym zapomnieć... śni mi się to nocami... nocami...

- Co ci się śni nocami? - spytał kucharz głosem inkwizytora.

Angelo znowu pochylił się nad klatką, jakby czyhał na to, co powie uwięziony w klatce człowiek.

- Śni mi się nocami... śni... mój haniebny czyn.

- Jaki? - wrzasnął inkwizytor.

- Obląłem benzyną kota i podpaliłem - wykrzyknął z trudnością i jakby chcąc pozbyć się słów uwięziony.

- Kłamiesz! - wrzasnął znowu kucharz i Angelo wzdrygnął się i podniósł na niego spojrzenie; teraz był dosłownie podobny do obrazu Caravaggia.

- Kłamiesz! - wołał inkwizytor. - Nic innego nie pamiętasz.

- Spaliłem kota... ale to było okropne... nic więcej nie pamiętam.

- Kłamiesz - po raz trzeci powiedział kucharz i uderzył kopystką po wierzchu klatki. - Zabijałeś dzieci, strzelałeś do ludzi, dusiłeś kobiety, masz na sumieniu życie dwudziestu tysięcy trzystu osiemdziesięciu dwóch ludzi. Przyznaj się, morderco...

Uwięziony w klatce znowu poruszył się automatycznie, podniósł obie dłonie ku górze i znowu sycząco bełkotał. Oczy jego nie zmieniały wyrazu.

- Kto nie zabijał... wszyscy zabijali... nie liczyłem.

- Zamordowałeś dziecko - wołał w dalszym ciągu kucharz, jakby mszę odprawiał. - Małą, dziesięcioletnią dziewczynkę. Zadałeś jej czternaście ciosów nożem w serce, a siedemnaście w podbrzusze.

- Czy dziecko krzyczało? - spytała mnie szeptem Carmen.

Uwięziony w klatce nie odrywał wzroku od przestrzeni.

- Nie wiem, nie pamiętam... - bełkotał. - Pamiętam tylko kota. Był taki malutki, biały, miał może sześć tygodni... wił się w płomieniach.

W tej chwili obok kucharza zjawiała się zakonnica z ciemnej uliczki. Uklękła przed kucharzem i złożyła ręce.

- Ukarz, go, ukarz. On zamordował mojego siostrzeńca.

- Ja nic nie pamiętam, ja nie jestem już żywy... - powtarzał człowiek w klatce.

- Angelo, powieś go! - krzyknął ogromnym głosem kucharz.

Angelo za pomocą jakiegoś mechanizmu windował powoli klatkę w górę. Człowiek siedzący w klatce stawał się powoli tylko sylwetką, był jakby wycięty z czarnego papieru: tkwiący, chudy, pokraczny, a jednak piękny pomiędzy żelaznymi prętami.

Carmen chwyciła mnie za rękę.

- Patrz - powiedziała.

Gdy się tu wszystko to działo, w głębi na czerwonym taburecie najspokojniej w świecie usadowił się kot. Był gładkiego, brązowego, prawie rudego koloru, bardzo rzadkiej maści. Cały przód i podgardle miał białe. Mrużył pogodnie oczy i miarowo poruszał przednimi nogami, jak robią koty, gdy się dobrze czują. Przypatrywał się całej scenie z wyraźną ciekawością.

Kucharz z całej siły zamachnął się kopystką, ale uderzył w pręt klatki, która zadzwoniła jak dzwon.

- Kot, to ten kot! - zawołała Carmen.

Wtedy wszystko zgasło i znowu ogarnęły nas ciemności. Vlado pochylił się do moich uszu, uczułem owal jego twarzy przyciśnięty do mojej.

Szepnął: - Wszystko się zawaliło. Znowu przegapiliśmy cały interes.

Wtedy Carmen wstała, widziałem jej cień przed sobą w gondoli. Wyciągnęła ręce w górę i przeciągnęła się całą mocnym, a nierzeczywistym ruchem.

- Wracajmy zaraz do hotelu - powiedziała. - Ja muszę jutro odlecieć do Buenos Aires.

- Dobre powietrze - powiedział bardzo niskim głosem Vlado.

Uderzył wiosłem w ciemną powierzchnię wody, jak kucharz kopystką.

- Słucham, jaśnie pani - dodał.

I powoli obrócił gondolę w ciasnym kanale.

# Światopełk Karpiński

## BAJKA O ŻELAZNYM WILKU

Lokomotywa ciągnąca pociąg lekko zeskoczyła z szyn. Po prostu. Bez katastrofy. Zrobiła to tylko tak, pod wpływem łąki, która pachniała kwieciem.

Małemu mechanicznemu osiołkowi z linii Warszawa-Grójec nie chciało się po prostu ciągnąć nudnych, nadziejących ludźmi wagoników. Zrzuciła z siebie maszynistę i palacza, po czym bryknęła przez łąkę do najbliższego gaju. Jeszcze raz wyjrzała zza drzew, jak ktoś, kto bawi się w chowanego, i znikła.

Wagoniki same potoczyły się do najbliższej stacji. Zawiadomiono odpowiednie władze, zmobilizowano policję, straż ogniową i miejscowe stowarzyszenia po czym zorganizowano obławę.

Pogoń osaczyła krnąbrną bardzo szybko.

Kiedy jednak kordon zacieśnił się dookoła jej legowiska, lokomotywa zaczęła szarżować na ludzi. Strzelano, bito gumowymi pałkami, nie pomogło. Wypadła na łąkę, popłoszyła i z powrotem wracała sobie do gaju pogwizdując szyderczą piosenkę zwycięstwa.

Jak ją obezwładnić?

Postanowiono zamorzyć głodem.

I rzeczywiście;

Kiedy miało się już ku wieczorowi, lokomotywa zaczęła ujawniać mniejszą aktywność. Dopuszczała śmiałków na kilka kroków do siebie i rzucała się na nich dopiero w ostateczności. Widać, że węgla już zabrakło.

Noc zapadła i wszyscy byli dobrej myśli.

Straż rozpałała ognisko. Dziewczyny z pobliskich wiosek nadeszły spacerem. Śpiewano piosenki. Aż tu nagle lokomotywa wypadła gulgocząc z gaju i krzesząc pęki czerwonych iskier przemknęła po łące napuszona jak indor.

Ścigano ją wśród ciemności, ale co to było za ściganie!

Wszyscy się poprzewracali!

Uciekła.

Odtąd słyszano o niej czasami.

Kto rozbił wagon i opróżnił go z węgla nazajutrz na najbliższej stacji?

Kto po dwóch dniach w sąsiednim mieście powiatowym Kozice napadł w biały dzień na składy węgla Bartłomieja Apfelsztajna, sterroryzował personel i umknął z całą toną?

Kto w miesiąc później wjechał do pewnej znanej miejscowości wypoczynkowej, rozbił drewnianą willę, wykradł zapasy węgla z piwnicy i uciekł w kierunku najbliższych lasów, płosząc kuracjuszków i tratując cały sezon jesienny?

Wiadomo.

Lokomotywa.

Było o tym wiele sensacji w prasie.

Szczególnie świat naukowy głowił się nad rozwiązaniem zagadki. Powoli jednak wszyscy przywykli do tego faktu, a niebawem zaczęto tu i ówdzie przebąkiwać, że z tą lokomotywą musiała być zwyczajna malwersacja.

Naczelnik stacji wraz z miejscowym dowódcą straży ogniowej, odnośnym maszynistą i odnośnym palaczem zostali nawet pociągnięci do odpowiedzialności sądowej i skazano ich w pierwszej instancji, kiedy nagle po całym kraju gruchnęła wieść, że pewien gajowy w Puszczy Białowieskiej spotkał na dukcie leśnym lokomotywę jadącą na czele czterech małych, nieletnich parowozików, o krętych, zielonych, niedojrzałych kominkach.

Co prawda gajowy był pijak i władze za ów raport przeniosły go z miejsca na emeryturę, ale niebawem w dyrekcji kolei państwowych przekonano się, że lokomotywy giną gremialnie, a z drugiej strony do departamentu leśnictwa zaczęły napływać coraz liczniejsze raporty, że po nadleśnictwach pełno jest śladów i odgłosów buszujących w głębi lokomotyw.

Jedna ze stołecznych gazet popołudniowych zamieściła sensacyjną wiadomość:

„Pierwsze dzikie lokomotywy pojawiły się w Polsce. Przodujemy w motoryzacji światowej”.

Komisja specjalna, powołana do zbadania sprawy, wyłoniła ze swego łona komisję mieszaną, która upoważniła podkomisję do zbadania sprawy w terenie.

Przy tej okazji jeden z dostojników państwowych wypowiedział głęboką myśl, którą odtąd cytowano jako motto wszystkich wstępnych artykułów: „Sprawa lokomotyw, to sprawa naszego jutra”.

W związku z tym pewien uczyony niemiecki wysunął hipotezę, że niebawem zaczną dziczyć rowery, samoloty i motocykle. Inny uczyony wysunął twierdzenie, że wszystkie zwierzęta i rośliny są zdziczałymi maszynami, stworzonymi przez prehistorycznego człowieka.

Tymczasem lokomotywy ginęły gremialnie.

Żadne ostrzeżenie parowozów, izolowanie nowych od starych, ostre rygory i system szpiegowski nie dawały pożądaných rezultatów.

Najgorsze było to, że zdziczałe parowozy napadały na swojskie potęgując chaos w rozkładach jazdy.

Kradły węgiel.

Uprawadzały.

Musiano wstrzymać ruch kolejowy.

Przestano polować na zwierzynę, która z wolna zaczęła zanikać, stratowana i zagoniona przez mechaniczną konkurencję.

Los dawnej zwierzyny podzieliła wszelka roślinność. Chłopi, którzy tak lekkomyślnie dawniej skarżyli się na szkody wyrządzone przez jelenie i dziki, mogli teraz stwierdzić, do czego są zdolne rozjuszony, bezkarnie ryjące się w roli maszyny.

Groził głód!

Najmodniejsze stały się polowania na lokomotywy.

Dyplomaci z całego świata oddawali się całą duszą tej wytwornej rozrywce.

Łowy były podobne do dawnych. Myśliwi stali na stanowiskach uzbrojeni w granaty ręczne o niezwykłej sile, a nagonka w czołgach napędzała zwierzynę na linię.

Dużo pisano o dublecie do dwóch lokomotyw, który uwieńczył wszystkie dotychczasowe triumfy łowieckie pewnego dygnitarza zaprzyjaźnionego mocarstwa.

- Jak się powiodło wczorajsze polowanie?

- Zabiłem dwie lokomotywy i wspaniały okaz od pośpiesznego pociągu.

Ale pewnego dnia podczas polowania w Puszczy Kampinoskiej uciekł tank zatrudniony w nagonce.

Mniej więcej w tym czasie umorzono śledztwo przeciwko naczelnikowi stacji, miejscowemu naczelnikowi straży ogniowej i odnośnemu palaczowi oraz maszyniście, a prasa nazwała ich nawet „pionierami spod Grójca”.

Nie potrzebuję ukrywać tych wszystkich dziwów, które zaszły niebawem. Samoloty uciekały z lotnisk i osiadały na szczytach górskich płosząc ostatnie okazy orłów. Samochody uciekały z garażów i błędziły po szosach, pod osłoną nocy napadając na stacje benzynowe. Nobel ogłosił upadłość. Do rowerów strzelało się z flowerów.

Najprędzej ludzkość wytępiła zdziczałe tramwaje.

Żyły one w pobliżu miast i każdy, nawet początkujący myśliwy, miał kilka sztuk na rozkładzie. Zresztą czwórki, dwójki i siedemnastki nie należały do poważnych trofeów myśliwskich.

Łowiectwo stało się z biegiem czasu sportem prawie niemożliwym. Odkąd bowiem tanki pouciekały i pozamieniały się w tapiry, a granaty ręczne ryły się pod ziemią jak krety, ludzie szli do boju przeciwko



nowej zwierzynie z maczugami nabijanymi krzemiennymi ostrzami.

Na wielkich wodach nie działa się lepiej. Okręty buszowały po morzach, a rybacy łowili je na sieci. Tłuszcz okrętowy stał się uznanym środkiem leczniczym.

Nie potrzebuję dodawać, że łodzie podwodne znacznie wcześniej umknęły ze swych baz i żyły sobie cichym życiem rekinów.

Wreszcie kule karabinowe zaczęły uciekać ze składów amunicji i krążyły na wiatrach jak roje szarańczy.

Odtąd bezbronny człowiek wrócił do cywilizacji pasterskiej, pasł nieliczne krowy i bronił stad przed napadami lokomotyw i samochodów. Powstały legendy o żelaznych smokach.

W ogromnych, opustoszałych, skalistych miastach mieszkali tylko zawołani turyści.

Windy odfrunęły dawno w postaci balonów, balony były mikroskopijnymi księżycami współczesności, a spadochrony pływały w błękitach jak meduzy w morzach.

Nadeszły czasy głodu.

Próbowano odżywiać się surowcami.

Naftą, węglem, i żelazem.

Umierano!

Kiedy ostatni ogród zoologiczny objedzono z eksponatów, ludzkość popadła w ludożerstwo.

Wiadomo, że kanibalizm niszczy człowieka psychicznie, rozbija go duchowo, czyni skłonny do refleksji i wrażliwym na poezję. „Dziecięce mózgi smakują jak orzechy”. Wiadomo...

Niebawem ludzie pozjadali się co do jednego.

Zostałem sam.

Wróciłem do domu.

Na schodach musiałem stoczyć zaciętą walkę z rurą gazową, która okręciwszy się dokoła poręczy czatowała na zdobycz, niczym wąż boa.

Kiedy szedłem do mieszkania, usłyszałem znajomy dzwonek telefonu.

Wyjrzałem przez okno.

Siedział na sąsiednim drzewie, przeskakiwał z gałązki na gałązkę, po czym odfrunął do pobliskiego ogrodu, gdzie prawdopodobnie miał już własne gniazdo.

Nie zapalałem elektryczności. Przewody były już przecież od dawna soliterami nieznanymi żołądków. Nie dzwoniłem na służącą. Dzwonki były już przecież od dawna przynętami dalekich rybołówstw.

Zapłakałem.

I samotny, opuszczony przez cywilizację, napisałem ten zwariowany felieton.

Skończyłem pracę, nabiłem w butelkę i wrzuciłem w odmętę.

Może kiedyś, w przyszłości, ktoś wyłowi te słowa.

# Adam Kreczmar

## PRZYDZIAŁ

Do Nowego Jorku wzięłem sterowiec. Oczywiście odrzutowce są znacznie szybsze, ale, jak wiemy, LOT nie dysponuje porządnymi naddźwiękowcami. Od tłuczenia się z maksymalną szybkością Mach 2 w niewygodnym fotelu, wolałem staroświecką dwudziestowieczną atmosferę na pokładzie sterowca. Poza tym karmią tu trzykrotnie: śniadanie, obiad, kolacja... Tanio.

Od tej podróży wiele zależy. Tuż przed odlotem złożyłem podanie o przydział. Żona nie wierzy w powodzenie: w końcu przydział dostaje jedno małżeństwo na 50, w granicach średniej europejskiej. Ale jechałem w ważnej sprawie, jeśli się uda, zasługi moje będą znaczne, wskaźnik przydatności społecznej wzrośnie, szansę się zwiększają...

Obiad jadłem z jakimś Amerykaninem. Typowy, ograniczony turysta w bajecznie kolorowym ubraniu, z miniaturową kamerą 80 mm na szyi.

- Ja mówi polski - oświadczył radośnie, zauważywszy moją plaketkę rozpoznawczą.

- My name is Doboski. George Doboski.

Promieniał zachwytem, nieomal puszczał pączki. Rodak. No cóż, przedstawiłem się.

- Tell me, Adam - zapytał przy zupie - masz ty żonę?

Nastąpiło pokazywanie zdjęć, filmów, przesłuchiwanie nagrań... Miałem niezłą czeską przeglądarkę kieszonkową i magnetowid ZRK 893, ale jego sprzęt był imponujący. No cóż, w pewnych dziedzinach mamy jeszcze niewielkie zaległości.

- Ty nie masz dzieci, ja myślę? - spytał George.

- A ty masz?

- No. Nie jeszcze. Ja czekam.

- Ja też czekam. Ale złożyłem już podanie. Powinienem dostać przydział w ciągu dwóch, może trzech lat...

- I see... Ty musisz mieć „przydział”... To nie jest dobry system. Ile lat jesteś stary?

- Mam 140.

- To możesz czekać. Ja jestem 253 lata stary. Dostanę duży spadek, będę miał dwoje dzieci... może troje...

- Troje. Tylu nie można mieć nigdzie... nie bujaj, George...

Byliśmy już przy kawie z koniakiem.

- Yes, można. Mój oncle, on już nie chce żyć. On jest a rich man... Wielce bogaty.

- Co z tego? Od kiedy jesteśmy nieśmiertelni, na świecie panuje przeludnienie i nawet jeżeli wujek umrze... Ty liczysz, że zapisze ci swoje życie?

- Naturalnie. U nas życie jest własnością prywatną nawet po śmierci. Nie może być więcej ludzi na ziemi? Good. Wujek umiera, zapisuje mi życie i ja mogę mieć dziecko.

- Ale skąd dwoje, troje?

- Ja mam duży spadek, dużo pieniędzy... Ja wykupuję prawa od jakiejś biednej rodziny, co ma stary dziadek...

- To paskudne!

- Why paskudne? U mnie dziecko będzie miało lepszy standard niż u nich... Paskudne, to jak ja wynajmuję gangster, żeby zabił kogoś dla mnie...

- Słyszałem o tym, ale na czym to właściwie polega?

- Gangster, on zabije kogoś w mojej dzielnicy. Kogoś bez rodziny. To jedno wolne życie przechodzi na skarb państwa. Sędzia przyznaje, komu dać to wolne miejsce, to miejsce na dziecko... Jeśli ja znam sędziego, a on potrzebuje pieniędzy, to jest łatwa rzecz...

Rozlałem koniak. Oczywiście, słyszy się u nas i czyta dużo o tych zachodnich praktykach, ale nie przypuszczałem, że to tak wprost, tak na porządku dziennym.

Problem, jak wiecie, jest ważki. Ludzie żyją sobie po 500 i więcej lat, a tymczasem liczba mieszkańców ziemi nie może przekroczyć 6 miliardów. Stajemy się cywilizacją starców. Osadnictwo na okolicznych planetach nie rozładowuje sytuacji: wystarczy jeden człowiek do nadzorowania kilkuset maszyn, a zresztą jest tam na razie dość nudno. Mieć dziecko... Marzą o tym wszyscy. Ale przed tym ktoś musi umrzeć. Umrzeć. Pamiętam z kraju plakaty „Zostań honorowym dawcą życia!”, „Tylko pasożyt żyje ponad 300 lat”. Chwała Bogu, u nas życie nie jest własnością prywatną, gdy ktoś ginie w wypadku lub umiera na własne wyraźne żądanie, jego życie, a raczej puste miejsce po nim, wchodzi w skład ogólnej puli społeczno-populacyjnej i jest, w miarę potrzeby, przydzielane kolektywnie osobom rokującym najwięcej nadziei na udane potomstwo.

Nie obyło się bez wypaczeń, afer korupcyjnych. I tak, moim zdaniem, przydział dzieci dla wyższych urzędników państwowych jest wyższy niż być powinien... Ale jednak nie ma porównania z zachodnią dżunglą, spowodowaną prawem własności prywatnej życia...

- Dziwisz się? - zagadnął George. - Ty nie dziw się. Pamiętasz przeszczepy? Wtedy, gdy ktoś leżał i cierpiał, wynajmowałeś gangster, on robił świeży nieboszczyk z całkiem zdrowym sercem... Ja nie będę nikogo mordować, ja legalnie kupię prawo na dwoje, troje dzieci...

- A jak się wyda? Jak się wyda, że sędzia wziął pieniądze?

- To jest niedobry interes. To jest kara śmierci.

- Dla ciebie?

- Dla mnie, dla sędziego, dla mojej żony, jeżeli o tym wiedziała...

- Aż tak?

- Tak. Wtedy są trzy wolne miejsca. Mogą być trzy nowe dzieci u kogoś. U nas nie ma kary więzienia. Tylko śmierć... No, nie zawsze na zawsze.

- To znaczy... hibernacja?

- Tak. Na sto, na dwieście lat. I tu ja mam kłopot. Mój oncle, ten, co już nie chce żyć, on kiedyś potem by jeszcze chciał. On nie umiera zupełnie, tylko na 200 lat.

- A twoje dziecko? To na jego miejsce?

- To jest kłopot, który ja mam. Jak jego obudzą, dziecko będzie musiało pójść hibernować... See, Adam, takie młode, 199 lat, co ono z życia użyje?

- Widzisz, George, sądzę, że nasze planowanie centralne jest jednak słuszniejsze... Czekam na przydział, zgoda, ale gdy go otrzymam, nikt mi już dziecka nie odbierze.

- No, no!... Nie lubię ten ustrój... Kiedy ja będę chciał umrzeć, chcę, żeby mój syn, mój wnuk, a nie ktoś obcy... To jest moje życie...

Tak. Dzieliła nas różnica pojmowania wartości społecznych. Bariera utrwalona, nie do przebicia. Społeczeństwa zachodnie degenerują się, tracą zdolności i siły witalne, bo prawo rozmnażania się jest tam dla najbogatszych, nie dla najwartościowszych. Mój sklepik, moje dolary, moje życie - nawet po śmierci... To ich wykończy...

Swoją drogą na przydział czekam już za długo. Na moim stanowisku, z moją pozycją... Ktoś tam musi utrudniać...

Dobrze, że dziadka Bronki namówiłem wreszcie na te rajdy samochodowe (to teraz wielka moda - niebezpieczne sporty dla old-boy'ów). A w razie czego w Radzie Dzielnicowej mam Andrzeja... Powinien mi to załatwić. Sam się już dochrapał bliźniaków.

- Look, Adam! - George maślanym wzrokiem spoglądał w kierunku baru.

- A red child. Tam jest dziecko!

Rzeczywiście było. Dosyć nieznośne, należące do jakiejś sympatycznej pary niemieckiej czy skandynawskiej. Biegało, broiło, pluło... jak to dziecko. Spojrzenia pasażerów biegły radośnie i

ciekawie za brzdącem, badawczo i podejrzliwie spoczywały na rodzicach: podróżowali z nami jacyś bardzo bogaci lub bardzo ustosunkowani ludzie. A może ów jasnowłosy, błądy ojciec to geniusz? Nagroda Nobla daje prawo do dwojga dzieci nielimitowanych... Pętał wybrał Georga, by mu się wdrapać na kolana. Ten kwitł z rozkoszy.

- Ja chcę mieć dziecko like this... Ja muszę, rozumiesz?

Męczyłem się. Pieniądze, tylko pieniądze decydowały u tych ludzi o tym najrzadszym, najwspanialszym wyróżnieniu - o posiadaniu potomstwa... Jeżeli nie dostanę przydziału, nie będę żałował: widać jest ktoś mądrzejszy, lepszy... czyjeś geny zaprogramują bogatszego osobnika... Oni tego nie rozumieją. Myślą tylko o przekazaniu swoich genów, swojej sztuki życia, swoich doświadczeń... W życiu nie byłem takim patriotą, jak w tej chwili. Dziecko, na które nie dostanę przydziału, będzie i tak własnością społeczeństwa, narodu, moją... będzie to wybrany z wybranych: geniusz matematyczny, wirtuoz, genialny ekonomista czy astronom... Moja ofiara nie pójdzie na marne...

A jednak dzieciak był fajny. Jadł pomidora i wypluwał skórki na marynarkę wniebowziętego Georga.

- Nie przeszkadza panu? - spytała miła, tęgawa mama.

- Wprost przeciwnie, jak najbardziej, absolutnie nie... - bełkotał mój towarzysz.

Nagle chłopiec (bo chyba był to chłopiec) znieruchomiał poblądł i nienaturalnie sztywno stoczył się z kolan Georga.

- My Godness! Rany Boskie! - wrzasnął George.

- Czy jest lekarz na pokładzie? - spytałem.

- On chyba jest ubezpieczony? - wtrącił ktoś.

Matka dziecka była już przy nim. - Peter, Peter! - wzywała męża rozdzierającym głosem, - on nie jest nakręcony!

Peter wydobył z kamizelki nieduży kluczyk i wsunąwszy go dziecku w lewą dziurkę od nosa, przekręcił kilkakrotnie.

Mały poróżowił, wstał i zrobił kupkę w przejściu.

- Przesadziłeś, Peter - mama spoglądała surowo - on ma przyspieszone przemiany organiczne...

- Mówiłem, wziąć tranzystorowego - mruknął sennie Peter i powlókł się do baru.

- To jest dobry model - starannie wykonany - tłumaczyła speszona mama - ale czasem zapominam o godzinach nakręcania... On jeszcze mały, trzeba co trzy godziny...

Mój przyjaciel George miał nieobecny, przygaszony wzrok.

- Czy on rośnie? - spytał.

- Do pewnego stopnia. Wymieniamy co dwa lata - tłumaczyła matka. - Wprowadza się korekty, w wyniku moich i męża doświadczeń życiowych...

- To nowy pomysł?

- Całkiem nowy... Prawie prototyp. Mąż mówił, że warto, bo póki nie ma reklamy, kosztuje tanio.

- Ile?

- 500 marek.

- Marka = 4 dolary 17... - mrugał George. - Trochę ponad dwa tysiące...

- Drogo - westchnąłem...

- Niedrogo - ożywił się George. - Czy sprzedaż wysyłkowa...

Pograżyli się w rozmowie, ale już nie słuchałem.

Z tym właśnie wynalazkiem jechałem do Nowego Jorku. Nasz byłby lepszy; nie plułby, nie rozrabił, w ogóle nie gadał, a w eksploatacji tani, bo na naftę.

Ubiegli mnie. Trzeba będzie dokładnie wyliczyć się z din. Przydział... nie, nie będzie przydziału...

Spojrzałem jeszcze na szalejącego brzdąca. No cóż, dobry pomysł, staranne wykonanie.

Przydziału nie będzie, ale może pozwolą skonstruować prototyp?

# Stanisław Lem

## KONGRES FUTUROLOGÓW

Ósmy światowy kongres futurologiczny odbył się w Costarikanie. Prawdę mówiąc, nie pojechałbym do Nounas, gdyby nie profesor Tarantoga, który dał mi do zrozumienia, że tego się po mnie oczekuje. Powiedział też (co mnie dotknęło), że astronautyka jest dziś formą ucieczki od spraw ziemskich. Każdy, kto ma ich dość, wyrusza w Galaktykę, licząc na to, że najgorsze stanie się pod jego nieobecność. Prawdą jest, że nieraz, zwłaszcza w dawniejszych podróżach, wracałem z lękiem, wypatrując przez okno Ziemi - czy nie przypomina upieczonego kartofla. Toteż zbytnio się nie opierałem, a jedynie zauważyłem, że się na futurologii nie znam. Tarantoga odparł, że na ogół nikt nie zna się na pompowaniu, a jednak spieszymy na stanowiska, usłyszawszy okrzyk „do pomp!”

Zarząd Towarzystwa Futurologicznego wybrał Costarikanę na miejsce obrad, ponieważ były poświęcone potopowi ludnościowemu i środkom jego zwalczania. Costarikana ma obecnie najwyższą stopę przyrostów demograficznych na świecie; pod presją takiej rzeczywistości mieliśmy skuteczniej obradować. Co prawda - ale tak mówili tylko złośliwcy - nowy hotel, jaki zbudowała korporacja Hiltona w Nounas, świecił pustkami, a na zjazd miało przybyć, oprócz futurologów, drugie tyle dziennikarzy. Ponieważ w toku obrad nie zostało z tego hotelu nic, mogę, nie bojąc się pomówień o reklamiarstwo, ze spokojnym sumieniem orzec, że był to Hilton znakomity. W moich ustach słowa te mają szczególną wagę, jestem bowiem sybarytą z urodzenia i tylko poczucie obowiązku skłaniało mnie do rezygnowania z wygod na rzecz astronautycznej mordęgi.

Costarykański Hilton wystrzelał na sto sześć pięter z płaskiego, czteropiętrowego cokołu. Na dachach niskiej części zabudowań mieściły się korty tenisowe, pływalnie, solaria, tory wyścigów gokartowych, karuzele, które były zarazem ruletkami, strzelnica do wypchanych osób (można tam było strzelać do kogo dusza zapragnęła - zamówienia specjalne realizowano w 24 godziny) oraz muszla koncertowa z instalacją do natryskiwania słuchaczy gazem łzawiącym. Dostał mi się apartament na setnym piętrze, z którego mogłem oglądać tylko górną powierzchnię sinobrunatnej chmury smogu, spowijającej miasto. Niektóre z urządzeń hotelowych zastanowiły mnie, na przykład trzymetrowy żelazny drąg, stojący w kącie jaspisowej łazienki, pomalowana barwami ochronnymi peleryna maskująca w szafie, czy worek z sucharami pod łóżkiem. W łazience obok ręczników wisiała grubym zwojem typowa lina wysokogórska, a na drzwiach, gdym po raz pierwszy wetknął klucz do zamku Yale, zauważyłem małą tabliczkę z napisem „Dyrekcja Hiltona gwarantuje brak BOMB w tym pomieszczeniu”.

Jak wiadomo, uczeni dzielą się dziś na stacjonarnych i jeżdżących. Stacjonarni po staremu prowadzą różne badania, jeżdżący zaś uczestniczą we wszechmożliwych konferencjach i kongresach międzynarodowych. Uczzonego tej drugiej grupy łatwo rozpoznać: w klapie nosi zawsze małą wizytówkę z własnym nazwiskiem i stopniem naukowym, w kieszeni - rozkład jazdy linii lotniczych, podpasuje się ściągaczem bez części metalowych a także jego teczka zamyka się na plastikowy zatrzask - wszystko, aby nie uruchamiać niepotrzebnie alarmowej syreny urządzenia, które na lotnisku prześwietla podróżnych i wykrywa broń sieczną oraz palną. Uczony taki studiuje fachową literaturę w autobusach linii lotniczych, w poczekalniach, w samolotach i w hotelowych barach. Nie znając, dla zrozumiałych przyczyn, wielu osobliwości ziemskiej kultury lat ostatnich, wywołałem w Bangkoku, w Atenach i w samej Costarikanie alarmy na lotnisku, czemu nie mogłem zapobiec w porę, ponieważ mam sześć metalowych plomb (z amalgamatu). Miałem zamiar zmienić je na porcelanę w samym Nounas, lecz udaremniły to niespodziewane wypadki. Co do sznura, drąga, sucharów i peleryny, jeden z członków amerykańskiej delegacji futurologicznej wyjaśnił mi pobłaźliwie, że hotelarstwo naszej doby podejmuje nieznane dawniej środki ostrożności. Każdy taki przedmiot, umieszczony w apartamencie, powiększa przeżywalność gości hotelowych. Słowom tym nie poświęciłem, przez lekkomyślność, właściwej uwagi.

Obrady miały rozpocząć się po południu pierwszego dnia, a już raniem dostarczono nam pełnego wydania materiałów konferencyjnych w pięknej szacie graficznej, z licznymi eksponatami. Zwłaszcza ładnie prezentowały się bloczki z satynowanego błękitnego papieru, opatrzone nadrukiem „Przepustki kopulacyjne”. Nowoczesne konferencje naukowe też ucierpiały od demograficznej eksplozji. Ponieważ liczba futurologów rośnie w tej samej potęgde, w jakiej się zwiększa cała ludzkość, na zjazdach panuje tłok i pośpiech. O wygłaszaniu referatów nie ma mowy: trzeba się zapoznać z nimi wcześniej. Co prawda z rana nie było na to czasu, ponieważ gospodarze podejmowali nas lampką wina. Ta mała uroczystość odbyła się niemal bez zakłóceń, jeśli nie brać pod uwagę obrzucenia zgniłymi pomidorami delegacji Stanów Zjednoczonych; już z kieliszkiem w ręku dowiedziałem się od Jima Stantora, znajomego dziennikarza z United Press International, że o świcie porwano konsula i trzeciego attache ambasady amerykańskiej w Costarikanie. Porywacze-ekstremiści żądali w zamian za zwolnienie dyplomatów wypuszczenia więźniów politycznych, aby zaś podkreślić wagę swych żądań, posyłali ambasadzie oraz czynnikom rządowym na razie pojedyncze zęby owych zakładników zapowiadając eskalację. Dysonans ten nie zakłócił jednak ciepłej atmosfery rannego koktajlu. Bawił na nim osobiście ambasador USA i wygłosił też króciutkie przemówienie o potrzebie współpracy międzynarodowej, tyle, że mówił otoczony przez sześciu barczystych cywilów, którzy trzymali nas na muszce. Wyznaję, że byłem tym nieco zdetonowany, zwłaszcza że stojący obok mnie ciemnoskóry delegat Indii ze względu na katar chciał sobie wytrzeć nos i sięgnął po chusteczkę do kieszeni. Rzecznik prasowy Towarzystwa Futurologicznego zapewniał mnie potem, że zastosowane środki były konieczne i humanitarne. Obstawia dysponuje wyłącznie bronią o dużym kalibrze z małą siłą przebijającą, tak samo jak strażnicy na pokładzie samolotów pasażerskich, dzięki czemu nikt postronny nie może być poszkodowany, w przeciwieństwie do dawnych dni, kiedy się zdarzało, że pocisk, kładąc trupem zamachowca, przechodził na wylot przez pięć, a nawet i sześć siedzących za nim, Bogu ducha winnych, osób. Niemniej widok człowieka, walącego się u waszych stóp pod skoncentrowanym ogniem nie jest miły, i to nawet, gdy idzie o zwyczajne nieporozumienie, które potem jest przyczyną wymiany dyplomatycznych not z przeprosinami.

Ale zamiast wdawać się w rozważania z zakresu humanitarnej balistyki powinienem był wyjaśnić, czemu nie mogłem się zapoznać w ciągu całego dnia z materiałami konferencji. Pomijając już ten przykry szczegół, że przyszło mi pospiesznie zmieniać zakrwawioną koszulę, wbrew swoim zwyczajom, jadłem śniadanie w barze hotelowym. Rano jem zawsze jajko na miękko, a hotel, w którym można je dostać w łóżku nie ścięte razem z żółtkiem w obrzydliwy sposób, jeszcze nie został wybudowany. Wiąże się to, naturalnie, z bezustannym wzrostem rozmiarów stołecznych hoteli. Gdy kuchnię oddziela od pokoju odległość półtorej mili, nic nie uratuje żółtka przed ścięciem. O ile wiem, problem ten badali specjaliści fachowcy Hiltona i doszli do wniosku, że jedynym środkiem zaradczym byłyby specjalne windy poruszające się z naddźwiękową szybkością, jednakże tak zwany „sonic boom” - grzmot, wywołany przebicciem bariery dźwięku, w zamkniętej przestrzeni gmachu wywołuje pęknięcie bębenków w uszach. Ewentualnie można żądać, aby automat kuchenny dostarczył surowych jaj, które w pokoju, przy gościu ugotuje na miękko automat kelnerski, lecz stąd już niedaleko do wozenia się po Hiltonach z kojcem własnych kur.

Dlatego właśnie udałem się z rana do baru. Obecnie 95 procent gości hotelowych tworzą uczestnicy wszelakich zjazdów i konferencji. Gość samotnik, turysta-soliter, bez wizytówki w klapie i teczki wypchanej szpargałami konferencyjnymi, jest rzadki jak perła na pustyni. Oprócz naszej, odbywała się akurat w Costarikanie konferencja kontestatorów młodzieżowych ugrupowania „Tygrysów”, zjazd wydawców literatury wyzwolonej, oraz towarzystwa filumenicznego. Zwykle przydziela się tym grupom pokoje na tych samych piętrach, lecz chcąc mnie uhonorować, dyrekcja dała mi apartament na setnym, ponieważ kondygnacja ta miała własny gaj palmowy, w którym odbywały się koncerty Bacha; orkiestra była żeńska i grając dokonywała zbiorowego strip-teasu. Na wszystkim tym raczej mi nie zależało, lecz nie było, niestety, żadnego wolnego pokoju, musiałem więc zostać tam, gdzie mnie ulokowano. Ledwo

zasiadłem na barowym stołku mego piętra, a już pleczysty sąsiad, brodacz kruczowłosa (mogłem odczytać z jego brody, jak z karty dań, wszystkie posiłki minionego tygodnia) podsunął mi pod nos ciężką, okutą dwururkę, którą miał zawieszoną przez plecy, i zaśmiawszy się rubasznie spytał, jak oceniam jego papieżówkę. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale wolałem się do tego nie przyznać. Najlepszą taktyką w przypadkowych znajomościach jest milczenie. Jakoż sam wyjawiał mi ochoczo, że dubeltowy sztucer, wyposażony w celownik z laserem, cyngiel-szneller oraz ładowarkę, jest bronią na papieża. Gadając bezustannie, wyciągnął z kieszeni złamane zdjęcie, na którym widniał, składając się do celu, jaki stanowił manekin w piusce. Osiągnął już, jak twierdził, szczytową formę i wybiera się właśnie do Rzymu, na wielką pielgrzymkę, aby ustrzelić Ojca Świętego pod Bazyliką Piotrową.

Nie wierzyłem ani jednemu jego słowu, lecz wciąż paplając, po kolei pokazał mi bilet lotniczy z rezerwacją, mszałik, oraz prospekt pielgrzymki dla amerykańskich katolików, jak również paczkę naboiz z rżniętą w krzyż główką. Dla oszczędności nabył bilet tylko w jedną stronę, ponieważ liczył na to, że wzburzeni pątnicy rozedrą go na sztuki. Perspektywa ta zdawała się wprawiać go w doskonały humor. Sądziłem zrazu, że mam do czynienia z wariatem lub zawodowym dynamitardem-ekstremistą, jakich nie brak obecnie, lecz i w tym się omyliłem. Gadając bez przerwy i złącząc wciąż z wysokiego stołka, bo strzelba odsuwała mu się na podłogę, wyjawiał mi, że jest właśnie gorącym, prawowiernym katolikiem, planowana zaś przezeń akcja (zwał ją „akcją P”) będzie z jego strony szczególną ofiarą; chodzi mu o wstrząśnięcie sumieniem ludzkości a cóż może wstrząsnąć nim lepiej nad czyn tak skrajny. Zrobi to samo, wykladał mi, co podług Pisma świętego miał zrobić Abraham z Izaakiem, tyle, że na odwrót, bo wszak nie syna położy, lecz ojca, i to na dobitkę świętego. Tym samym da dowód najwyższej ofiarności, na jaką może się zdobyć chrześcijanin, bo i ciało wyda na męki, i duszę na potępienie, wszystko, by otworzyć ludzkości oczy. Już to, pomyślałem, zbyt wielu jest amatorów tego otwierania oczu; nieprzekonany ową filipiką poszedłem ratować papieża, to jest, powiadomić kogoś o tym planie, lecz Stantor, który mi się napatoczył w barze 77 piętra, nie wysłuchawszy mnie nawet do końca, rzucił, że w podarkach jakie ofiarowała Hadrianowi XI ostatnia wycieczka wiernych amerykańskich były dwie zegarówki i beczułka, wypełniona nitrogliceryną zamiast wina mszalnego; zblazowanie jego pojąłem lepiej, usłyszawszy, że ekstremiści przysłali dopiero co do ambasady nogę, nie wiadomo tylko było jeszcze, czyją. Nie dokończył zresztą rozmowy, bo odwołano go do telefonu; podobno na Avenida Romana ktoś się właśnie podpalił na znak protestu.

Na 77 piętrze panowała w barze zupełnie inna atmosfera niż u mnie na górze; było wiele dziewczyn bosych, poubieranych w łańcuszkowe koszulki do pasa, niektóre przy szabli; niektóre miały długie warkocze, zawieszane, zgodnie z najnowszą modą, u szyi na breloczku lub na obróżce, wybijanej ćwieczkami. Nie jestem pewien, czy były to filumenistki, czy też sekretarki stowarzyszenia wyzwolonych wydawców; sądząc po barwnych fotosach, jakie oglądały, szło raczej o specjalne wydawnictwa. Zjechałem o dalsze 9 pięter niżej, gdzie zamieszkiwali moi futurologowie i w kolejnym barze wypilem drugiego drinka z Alfonsem Mauvinem z Agence France Presse; po raz ostatni spróbowałem ratować papieża, lecz opowieść moją przyjął ze stoicyzmem; mruknął tylko, że w ubiegłym miesiącu pewien australijski pątnik strzelał już w Watykanie, ale z zupełnie innych pozycji ideowych. Mauvin liczył na interesujący wywiad dla swej agencji z niejakim Manuelem Pyrhullo ściganym przez FBI, Surete, Interpol i szereg innych policji, był on bowiem założycielem usługowej firmy nowego typu: wynajmował się jako ekspert od zamachów środkami wybuchowymi (znano go pospolicie pod pseudonimem „Bombowiec”), szcycąc się nawet swoją bezideowością. Gdy piękna, rudowłosa dziewczyna w czymś, co przypominało koronkową koszulę nocną, gęsto przedziurawioną seriami broni maszynowej, podeszła do naszego stolika (była to właśnie wysłanniczka ekstremistów, która miała pilotować reportera do ich kwatery głównej), Mauvin, odchodząc, wręczył mi ulotkę reklamową Parhulla, z której dowiedziałem się, że najwyższy czas skończyć z wyczynami nieodpowiedzialnych amatorów, niezdolnych odróżnić dynamitu od melinitu, ani piorunianu rtęci do sznura Bickforda; w czasach wysokiej specjalizacji nie robi się niczego na własną

rękę, lecz polega się na zawodowej etyce i wiedzy sumiennych fachowców; na odwrócenie ulotki znajdował się cennik usług z przeliczeniami w walutach krajów najwyżej rozwiniętych.

Futurologowie jęli się właśnie schodzić do baru, gdy jeden z nich, profesor Mashkenase, wpadł błąd, roztrzęsiony, wołając, że ma zegarówą bombę w pokoju; barman, snąc zwyczajny takich rzeczy, automatycznie krzyknął „kryć się” i skoczył pod szynkwasy; wnet jednak detektywi hotelowi wykryli, że jakiś kolega zrobił Mashkenasemu głupi kawał, włożywszy do pudełka po keksach zwyczajny budzik. Wyglądało mi to na Anglika, oni bowiem kochają się w tak zwanych „practical jokes”, lecz puszczone rzecz w niepamięć, bo zjawili się J. Stantor i J. G. Howler, obaj z UPI, przynosząc tekst aide memoire rządu USA do rządu Costarikany, w sprawie porwanych dyplomatów. Było to sformułowane zwykłym językiem not dyplomatycznych i ani nogi, ani zębów nie nazywało po imieniu. Jim powiedział mi, że miejscowy rząd może uciec się do środków drastycznych; generał Apollon Diaz, sprawujący władzę, przychylił się do opinii „jastrzębi”, by gwałt odeprzeć gwałtem. Na posiedzeniu (rząd obradował w permanencji) padła propozycja przejścia do kontrataku - żeby więźniom politycznym, których zwolnienia żądają ekstremiści, wyrwać dwa razy tyle zębów, a ponieważ adres kwatery ekstremistów jest nieznany, zęby te prześle się im na Poste Restante. Lotnicze wydanie „New York Times” piórem Sulzbergera apelowało do poczucia rozsądku i wspólnoty gatunkowej człowieka. Stantor powiedział mi w dyskrecji, że rząd zarekwirował pociąg z tajnym materiałem wojskowym, będący własnością USA, który szedł tranzytem przez terytorium Costarikany do Peru.

Jak dotąd, ekstremiści nie wpadli na pomysł porywania futurologów, co z ich punktu widzenia nie byłoby głupie, ponieważ aktualnie w Costarikanie było więcej futurologów niż dyplomatów. Stupiętrowy hotel jest atoli organizmem tak ogromnym, i tak komfortowo odseparowanym od reszty świata, że wieści z zewnątrz dochodzą doń jakby z drugiej półkuli. Na razie nikt z futurologów nie okazywał paniki: własne biuro podróży Hiltona nie było obłożone przez gości rezerwujących miejsca na samoloty lecące ze Stanów Zjednoczonych czy gdzie indziej. Na drugą wyznaczono oficjalny bankiet otwarcia, a ja nie zdążyłem się jeszcze przebrać w wieczorową pidżamę, pojechałem więc do pokoju, a potem z największym pośpiechem zjechałem do Sali Purpurowej, na 46 piętrze. W foyer podeszły do mnie dwie czarujące dziewczyny w szarawarach topless, z biustami pomalowanymi w niezapominajki i śnieżyczki, by wręczyć mi lśniący folder. Nie spojrzawszy nań wszedłem do sali jeszcze pustawej i dech mi zaparły stoły, nie tym, że były suto zastawione, lecz szokujące były formy, w jakich podano wszystkie pasztety, przystawki i zakąski - nawet sałatki stanowiły imitację genitaliów. O złudzeniu optycznym nie było mowy, bo dyskretnie ukryte głośniki nadawały popularny w pewnych kręgach szlagier, zaczynający się od słów „Tylko głupiec i kanalia ma w pogardzie genitalia, bo najbardziej jest dziś modne, reklamować części rodne!”

Pojawili się pierwsi bankietowicze, o gęstych brodach i sumiastych wąsiskach, zresztą sami młodzi ludzie, w pidżamach albo i bez nich; gdy sześciu kelnerów wniosło tort, widząc tę najbardziej nieprzyzwoitą leguminę świata, nie mogłem już mieć wątpliwości; pomyliłem sale i mimo woli dostałem się na bankiet Wyzwolonej Literatury. Pod pretekstem, że zginęła mi sekretarka, wycofałem się czym prędzej i zjechałem piętro niżej, aby odetchnąć na właściwym miejscu. Purpurowa Sala (a nie Różowa, do jakiej się dostałem), była już pełna. Rozczarowanie, wywołane skromnością przyjęcia, ukryłem jak umiałem. Bufet był zimny, i stojący; aby utrudnić konsumpcję, wyniesiono z olbrzymiej sali wszystkie krzesła i fotele, tak że wypadało okazać zwykłą w podobnych okolicznościach zręczność, zwłaszcza że do półmisków co istotniejszych zrobił się fatalny tłok. Senor Cuillone, przedstawiciel sekcji costarikańskiej Towarzystwa Futurologicznego, tłumaczył z czarującym uśmiechem, że wszelka lukullusowość byłaby nie na miejscu, zważywszy, iż tematem obrad jest między innymi klęska głodu zagrażająca ludzkości.

Naturalnie znaleźli się sceptycy, którzy mówili, że Towarzystwu obcięto dotacje i tym jedynie można tłumaczyć tak drastyczne oszczędności. Dziennikarze, zawodowo zmuszeni do abnegacji, kręcili się



pośród nas, robiąc małe wywiady z luminarzami prognozyki zagranicznej; zamiast ambasadora USA zjawił się tylko III sekretarz ambasady z masywną obstawą, w smokingu, on jeden, bo kuloodporną kamizelkę trudno schować pod pidżamą. Słyszałem, że gości z miasta poddawano w hallu rewizji osobistej i miał się już tam piętrzyć spory stos znalezionej broni. Właściwie obrady wyznaczono dopiero na piątą, było więc dość czasu, by odetchnąć u siebie, toteż pojechałem na setne piętro. Po przesolonych sałatkach odczuwałem silne pragnienie, że jednak bar mojego piętra okupowali twardo kontestatorzy i dynamitardzi ze swoimi dziewczętami, a miałem już dość jednej rozmowy z brodatym papistą (czy antypapistą), zadowolilem się szklanką wody z kranu. Ledwom ją wychylił, zgasło światło w łazience i obu pokojach, telefon zaś, bez względu na to, jaki nakręciłem numer, łączył mnie wciąż tylko z automatem, opowiadającym bajkę o Kopciuszku. Chciałem zjechać na dół, lecz i winda nie działała. Słyszałem chóralny śpiew kontestatorów, którzy do taktu już strzelali: miałem nadzieję, że obok. Rzeczy takie trafiają się nawet w pierwszorzędnym hotelach, przez co zresztą nie są mniej irytujące, tym jednak, co mnie najbardziej zdziwiło, była moja własna reakcja. Humor, raczej podławy jeszcze od rozmowy z papieskim strzelcem, poprawiał się z każdą sekundą. Przewracając po omacku sprzęty, uśmiechałem się wyrozumiale w ciemność, i nawet kolano do żywego rozbite o walizy nie zmniejszyło mej życzliwej dla całego świata. Wymacawszy na nocnym stoliczku resztki posiłku, jakiego zażądałem między śniadaniem a lunchem do pokoju, wetknąłem w krążek masła strzęp papieru, wyrwany z foldera kongresowego, i gdy go zapalił zapalką, uzyskałem kopcającą wprawdzie, ale jednak świeczkę, w której blasku zasiadłem na fotelu, bo miałem wszak jeszcze ponad dwie godziny wolnego czasu, wliczając w to godzinny spacer po schodach (skoro winda była nieczynna). Moja pogoda duchowa przechodziła dalsze fluktuacje i zmiany, którym przyglądałem się z żywym zaciekawieniem. Było mi wesoło, wprost doskonale. Mogłem w lot wyliczyć roje argumentów na rzecz aktualnego stanu rzeczy. Wydawało mi się najsolennie, że apartament Hiltona, pogrążony w egipskich ciemnościach, pełen swędu i kopcia ogarka maślanego, odcięty od świata, z telefonem opowiadającym bajki automatem, jest jednym z najmiłszych miejsc na świecie, jakie można sobie wystawić. Ponadto odczuwałem przemożną chęć głaskania byle kogo po głowie, a przynajmniej uściśnięcia bliżniej ręki z głębokim, pełnym serdeczności zajrzeniem w oczy.

Ucałowałem z dubeltówki najzaciętszego wroga. Masło, roztapiając się, skwiercząc i dymiąc, wciąż gasło; to, że „masło” rymuje się ze „zgasło” wprawilo mnie w atak śmiechu, chociaż zarazem poparzyłem sobie palce zapalkami, usiłując wciąż od nowa zapalić papierowy knot. Maślana świeczka ledwie pełgała, ja zaś nuciłem półgłosem arie ze starych operetek, nie zważając ani trochę na to, że od swędu krztusiłem się i łzy płynęły mi z piekących oczu po policzkach. Wstając, przewróciłem się jak długi przez niedostrzeżoną walizkę na podłodze, lecz i guz, wielkości jajka, który wyskoczył mi na czole, jedynie polepszył jeszcze mój humor (o ile było to w ogóle możliwe). Zaśmiewałem się, na wpół uduszony śmierdzącym dymem, lecz i to nie odmieniało ani na jotę mego radosnego uniesienia. Położyłem się na łóżku, niepoświadczonym od rana, choć minęło dawno południe; o służbie, wykazującej takie niedbalstwo, myślałem, jak o własnych dzieciach: oprócz czułych zdrobnień i pieśczośliwych słówek nic nie przychodziło mi na myśl. Błysnęło mi, że nawet gdybym się tu miał zadusić, byłby to najzabawniejszy, najbardziej sympatyczny rodzaj śmierci, jakiego tylko można sobie życzyć. Ta konstatacja była już dostatecznie sprzeczna z całym moim usposobieniem, aby podziałała na mnie jak pobudka. W duchu mym doszło do zadziwiającego rozszczepienia. Nadal wypełniała go flegmatyczna jasność, rodzaj uniwersalnej życzliwości dla wszystkiego, co istnieje, ręce zaś miałem tak chciwe pieśczenia byle kogo, że w braku postronnych, jąłem się delikatnie gładzić po policzkach i filuternie pociągać za uszy; podałem też wielokrotnie prawą rękę lewej, dla wymiany krzepkiego uścisku. Nawet nogi mi drgały do pieśczoł. Przy tym wszystkim w głębi mego jestestwa zapaliły się jakby sygnały alarmowe; - „coś jest nie tak” krzyczał we mnie daleki, słaby głos, „Uważaj Ijonie, bądź czujny, strzeż się! Pogoda ta jest niegodna zaufania! Działaj, nuże! Hejże ha! Naprzód. Nie siedź rozwalony jak jakiś Onassis, zalany łzami od dymu i kopcia, z guzowatym czołem w powszechnej życzliwości! Ona jest objawem jakowejś czarnej zdrady!”

- Mimo te głosy, palcem nawet nie ruszyłem. Tyle, że zaschło mi w gardle.

Zresztą serce waliło mi od dawna, ale tłumaczyłem to sobie zbudzoną zniechęca wszechmiłością. Poszedłem do łazienki, tak okropnie chciało mi się pić, pomyślałem o przesolonej sałatce z bankietu czy raczej tego stojącego koktajlu, po czym zaś na próbę wyobraziłem sobie panów J.W., H.C.M., M.W. i innych moich najgorszych wrogów; stwierdziłem, że oprócz chętki wymienienia z nimi kordialnego uścisku, całusa, paru słów bratniej wymiany myśli, nie odczuwam żadnych innych emocji. To już było prawdziwie alarmujące. Z ręką na niklowej główce kranu, dzierżąc w drugiej pustą szklanekę, zamarłem. Powoli natoczyłem wody i wykrzywając twarz w dziwnym skurczu - widziałem tę walkę własnych rysów w lustrze - wylałem ją.

WODA Z KRANU. Tak. Od chwili, gdy ją wypilem, zaszły we mnie te zmiany. Coś w niej musiało być! Trucizna? Nie słyszałem jeszcze o takiej, która by... chociaż zaraz! Jestem wszak stałym abonentem prasy naukowej. Ostatnio w Science News pojawiły się notatki o nowych środkach psychotropowych z grupy tak zwanych benignatorów, które zniewalają umysł do bezprzedmiotowej radości i pogody. Ależ tak. Miałem tę notatkę przed oczami ducha. Hedonidol, Broefactoryna, Empathian, Euforazol, Felicytyna, Altruizan, Bono-Caressyna i cała masa pochodnych! Zarazem, przez podstawienie grup hydroksylowych amidowymi, syntetyzowano z tychże ciał Furyasol, Lyssynę, Sadystyzynę, Flagelinę, Agressium, Frustrandol, Amokolinę oraz wiele jeszcze preparatów rozwścieczających, z tak zwanej grupy biologicznej (nakłaniały bowiem do bicia i znęcania się nad otoczeniem, tak martwym jak żywym - przy czym prym miały wodzić Kopandol i Walina).

Te myśli przerwał dźwięk telefonu, jednocześnie zabłysło światło. Głos pracownika recepcji hotelowej uniżenie i solennie przeproszał za awarię, którą już właśnie usunięto. Otwarłem drzwi na korytarz, by przewietrzyć pokój; w hotelu, o ile mogłem się zorientować, panowała cisza; jakiś oczadziały, wciąż jeszcze z żywą ochotą udzielania benedykcji i pieszczot, zamknąłem drzwi na zatrask usiadłem na środku pokoju i jałem zmagać się z samym sobą. Stan mój z owej chwili jest niezwykle trudny do opisanie. Bynajmniej nie myślało mi się tak gładko ani tak jednoznacznie, jak to podają. Każda krytyczna refleksja była jakby zanurzona w miodzie, spowijał ją paraliżująco jakiś kogel-mogel głupekowego samozadowolenia, każda ociekała syropem dodatnich uczuć, duch mój zdawał się zapadać w najśłodszy z możliwych trzęsawisk, jak bym tonął w różanych olejkach i lukrach; siłą zmuszałem się do myślenia o tym, co tylko mi najwstrętniejsze, brodatym łotrze z przeciwpapieżową dubeltówką, o wyuzdanych wyzwolonej literatury i ich babilońsko-sodomskiej uczcie, znów o panach J.W., H.C.M., M.W. i wielu innych łotrach i oczajduszach, aby z przerażeniem stwierdzić, że wszystkich miłuję, wszystko wszystkim wybaczam, więcej, natychmiast, jak wańki wstańki, wyskakiwały z mych myśli argumenty biorące wszelkie zło i plugastwo w obronę. Potop miłości bliźniego wypełniał mi czaszkę; szczególnie zaś dolegało mi to, co najlepiej może określa słowa „parcie ku dobru”. Zamiast o truciznach psychotropowych, myślałem łąpczywie o wdowach i sierotach, jakimi z rozkoszą bym się zaopiekował, odczuwałem rosnące zdumienie, że tak mało poświęcałem im dotychczas uwagi. A biedni, a głodni, a chorzy, a nędznicy, wielki Boże! Złapałem się na tym, że klęczę nad walizką i wyrzucam z niej wszystko na podłogę w poszukiwaniu co porządniejszych rzeczy, by je ofiarować potrzebującym. I znów słabe głosy alarmu rozbrzmiewały w mej podświadomości! - „Uwaga! Nie daj się otumanić! Walcz! Tnij! Kop! Ratuj się!” - krzyczało coś we mnie słabo, lecz rozpaczliwie.

Byłem okrutnie rozdarty. Odczuwałem tak potężny ładunek imperatywu kategorycznego, że muchy bym nie ukrzywdził. Jaka szkoda, myślałem, że w Hiltonie nie ma myszy ani chociaż pajaków; jakżebym je dopieścił, ukochał! Muchy, pluskwy, szczury, komary, wszy, kochane stworzonka, mocny Boże! Przelotnie błogosławiłem stół, lampę i własne nogi. Lecz szczątki trzeźwości już mnie nie opuszczały, toteż niezwłocznie palnąłem lewicą prawą, rozdającą błogosławieństwa ręką, aż mnie ból skręcił. To było niezłe! To mogło być, kto wie, zbawienne! Na szczęście, parcie ku dobru miało charakter odśrodkowy; innym życzyłem daleko lepiej niż sobie. Na początek dałem sobie parę razy po gębie, aż mi kręgosłup

zaskrzybiał, a w oczach wyskoczyły gwiazdy. Dobrze, tylko tak dalej! Kiedy mi twarz zdrętwiała, jałem się kopać w kostki. Całe szczęście, że miałem buty ciężkie, o cholernie twardej podeszwie. Po kuracji, złożonej z wściekłych kopnięć, zrobiło mi się na mgnienie lepiej, tj. gorzej. Ostrożnie próbowałem pomyśleć, jakby to było, gdybym tak kopnął też pana H. C. M. Nie było to już tak kompletnie niemożliwe! Kostki obu nóg bolały jak wszyscy diabli i chyba dzięki tej automaltretacji zdołałem sobie wyobrazić nawet szturchańca wymierzonego M. W. Nie zważając na dotkliwy ból, kopałem się dalej. Przydatne było wszystko kończyste, zastosowałem tedy widelec a potem szpilki, które wyciągnąłem z jeszcze nieużywanej koszuli. Nie szło to wszakże prosto, raczej falowało, przez parę minut znów gotów się byłem podpalić dla lepszej sprawy, znów buchnął we mnie gejzer szlachetności wyższej i cnotliwego zapamiętania. Nie miałem atoli wątpliwości. Coś było w wodzie z kranu. Prawda!!! Miałem w walizce od dawna wożony, nigdy nie używany środek nasenny, który wprowadzał mnie zawsze w ponure i agresywne usposobienie, dlatego właśnie go nie używałem, szczęście, że go się nie pozbył. Łyknąłem tabletkę, przegryzając ją zakopconym masłem (bo od wody stroniłem jak od dzumy), potem wdławiłem z wysiłkiem dwie pastylki kofeinowe, aby przeciwdziałać wpływowi nasennemu, usiadłem na fotelu i czekałem ze strachem, ale i z miłością bliźniego na wyniki walki chemicznej w moim organizmie. Miłość ta gwałciła mnie wciąż jeszcze, byłem udobruchany, jak jeszcze nigdy w życiu. Zdaje się, że chemikalia zła zostały definitywnie przewyciężone przez preparaty dobra; gotów byłem nadal do czynności opiekuńczych, ale już nie bez wyboru. Wolałbym co prawda być na wszelki wypadek ostatnim łotrem, przynajmniej przez jakiś czas.

Po kwadransie jakby mi przeszło. Wziąłem prysznic, wytarłem się szorstkim ręcznikiem, od czasu do czasu na wszelki wypadek waląc się po gębie, ot, tak, dla ogólnej profilaktyki, okleiłem plastrami poranione kostki, palce, policzyłem siniaki (doprawdy zbiłem się w toku tych zmagani na kwaśne jabłko), włożyłem świeżą koszulę, ubranie, poprawiłem przed lustrem krawat, obciągnąłem surdut, przed wyjściem dałem sobie pod żebro, dla animuszu, ale i dla kontroli, i wyszedłem w samą porę, bo już dochodziła piąta. Wbrew mym oczekiwaniom w hotelu nie działo się nic niezwykłego. W barze mego piętra, do którego zająłem, było niemal pusto; oparta o stolik stała papieżówka, dwie pary nóg wystawały spod szynkwasa, jedna była bosa, lecz widoku tego nie trzeba było bezwzględnie interpretować w wyższych kategoriach; paru innych dynamitardów grało w karty pod ścianą, jeden zaś grał na gitarze i śpiewał wiadomy przebój. Na dole, w hallu, było tłoczno od futurologów: właśnie szli na otwarcie obrad nie opuszczając zresztą Hiltona, ponieważ sala wynajęta znajdowała się w niskiej części budynku. Zrazu zdumiało mnie to, ale po zastanowieniu pojałem, że w takim hotelu żaden gość nie pije wody z kranu; spragnieni sięgają po colę, schwepsa, w ostateczności po sok owocowy, herbatę lub piwo. Także do długich drinków używa się gorzkich wód mineralnych czy innych butelkowych; a gdyby nawet ktoś przez nieostrożność powtórzył mój błąd, wił się teraz zapewne w czterech ścianach zamkniętego na klucz apartamentu, w skurczach wszechmiłosnego zapamiętania. Uznałem, że w tym stanie rzeczy lepiej nie zająknąć się nawet o własnych przejściach, bo wszak byłem tu człowiekiem obcym, jeszcze by mi nie dano wiary i posądzono o jakąś aberrację bądź halucynację. Cóż prostszego nad posądzenie o skłonność do narkotyków?

Robiono mi później zarzuty, że zastosowałem tę politykę ostrzygi czy strusia, bo gdybym wszystko ujawnił, może nie doszłoby do wiadomych nieszczęść, lecz mówiący tak popełniają oczywisty błąd; najwyżej ostrzegłbym gości hotelowych, lecz to, co się działo w Hiltonie, nie miało jednak najmniejszego wpływu na perypetie polityczne Costarikany.

Po drodze na salę obrad kupiłem w hotelowym kiosku plik miejscowych gazet, jak to mam we zwyczaju. Nie kupuję ich, zapewne, wszędzie, lecz człowiek wykształcony może domyślić się sensów w hiszpańskim nawet, choć nie włada tym językiem.

Nad podium widniała umajona tablica z porządkiem dziennym; punkt pierwszy dotyczył katastrofy urbanistycznej świata, drugi - ekologicznej, trzeci - atmosferycznej, czwarty - energetycznej, piąty -

żywnościowej, po czym miała nastąpić przerwa. Katastrofę technologiczną, polityczną i militarystyczną przeniesiono na dzień następny razem z wolnymi wnioskami. Każdy mówca dysponował czterema minutami czasu dla wyłożenia swych tez, co i tak było sporo, zważywszy, że zgłoszono 198 referatów z 64 państw. Aby przyspieszyć tempo obrad, referaty należało poznać na własną rękę przed posiedzeniem, orator zaś mówił wyłącznie cyframi, nazywając kluczowe ustępy swej pracy; dla ułatwienia recepcji tak bogatych treści wszyscyśmy nastawili swoje podręczne magnetofony oraz komputerki - między tymi ostatnimi dojść miało potem do zasadniczej dyskusji. Stanley Hazelton z delegacji USA zaszokował od razu salę powtarzając z naciskiem: - „4, 6, 11, z czego wynika 22; 5, 9, ergo 22; 3, 7, 2, 11, skąd wynika znowuż 22!”. Ktoś wstał, wołając, że jednak 5, ewentualnie 6, 18 i 4; Hazelton odparował zarzut błyskawicznie, tłumacząc, że tak czy owak 22. Poszukałem w jego referacie klucza numerycznego i dowiedziałem się, że cyfra 22 oznacza katastrofę ostateczną. Następnie Japończyk Hayakawa przedstawił nowy, wykonany w jego kraju model domu przyszłości, osiemsetpiętrowego, z klinikami położniczymi, żłobkami, szkołami, sklepami, muzeami, zoologami, teatrami, kinami i krematoriami; projekt uwzględniał pomieszczenia podziemne na popioły zmarłych, telewizję czterdziestokanałową, izby upojeń i wytrzeźwień, sale podobne do gimnastycznych do uprawiania grupowego seksu, ze względu na postępowe przekonania projektantów, oraz katakumby dla nieprzystosowanych ugrupowań subkulturowych.

Pewnym novum była myśl, aby każda rodzina każdego dnia przeprowadzała się z dotychczasowego mieszkania do innego, przy czym w grę wchodziły przeprowadzki albo ruchem szachowego pionka, albo konia. Miało to zapobiec nudzie oraz frustracji, lecz na wszelki wypadek ów gmach o kubaturze siedemnastu kilometrów sześciennych, osadzony na dnie oceanu a sięgający stratosfery, miał przewidziane własne komputery matrymonialne swatające na zasadzie sadomasochizmu (małżeństwa sadystów z masochistkami i na odwrót są statystycznie najtrwalsze, bo każdy partner ma w nich to, o czym marzy) oraz ośrodek terapii przeciwsamobójczej. Hayakawa, drugi delegat japoński, zademonstrował nam makietę takiego domu w skali 1: 10 000, z własną rezerwą tlenu, ale bez rezerw wody i żywności, ponieważ dom był planowany z obiegiem zamkniętym; wszelkie wydaliny miano regenerować, wychwytyjąc nawet poty śmiertelne i inne cielesne sekrecje. Hayakawa, trzeci Japończyk, odczytał listę smakołyków, regenerowalnych z wydaliny całego gmachu. Były tam, między innymi, sztuczne banany, pierniki, krewetki, ostrygi i nawet sztuczne wino, które mimo pochodzenia budzącego niemiłe asocjacje, nie ustępowała ponoć w smaku najlepszym winom Szampanii. Na salę dostarczono próbki w estetycznych buteleczkach oraz po paszteciku w opakowaniu z folii, ale jakoś nikt się nie kwapił do picia a paszteciki upychano dyskretnie pod fotelami, więc i ja tak zrobiłem. Pierwotny plan, żeby taki dom mógł latać dzięki potężnym wirnikom i tym samym umożliwiać wycieczki zbiorowe - upadł; raz, że takich domów miało być w pierwszym rzucie 900 milionów, a dwa, ponieważ przenosiny byłyby bezprzedmiotowe. Gdyby nawet dom miał 1000 wyjść i gdyby mieszkańcy używali wszystkich, i tak nigdy by nie wyszli, bo nim ostatni opuściłby dom, już zdążyłyby podrosnąć urodzone w międzyczasie dzieci.

Japończycy zdawali się wielce zadowoleni ze swego projektu. Po nich zabrał głos Norman Youhas z delegacji USA, który zaproponował dziesięć różnych metod zahamowania eksplozji demograficznej, a mianowicie zniechęcanie perswazyjne i policyjne, deerotyzację, przymusową celibatyzację, onanizację, subordynację, a wobec niepoprawnych - kastrację. Każde małżeństwo miało się ubiegać o prawo posiadania dziecka, składając odpowiednie egzaminy trzech kategorii, to jest: kopulacyjny, edukacyjny, i bezkolizyjny. Nielegalne urodzenie dziecka podlegało karom; premedytacja i recydywa groziły winnym dożywociem. Do tego referatu odnosiły się owe ładne foldery i bloczki z kuponami do odrywania, jakie dostaliśmy w materiałach kongresowych. Hazelton i Youhas postulowali nowe rodzaje zawodów, a mianowicie inwigilatora matrymonialnego, zakazywacza, rozdzielacza i zatykacza; projekt nowego kodeksu karnego, w którym zapładnianie stanowiło delikt główny o wyjątkowej szkodliwości społecznej,

rozdano nam niezwłocznie. Podczas rozdawania doszło do incydentu, ktoś bowiem z galerii dla publiczności rzucił na salę koktajl Mołotowa. Pogotowie (było na miejscu, dyskretnie schowane w kularach) zrobiło swoje, a służba porządkowa czym prędzej zasłoniła pogruchotane fotele i resztki wielką nylonową płachtą, pomalowaną w wesołe, estetyczne wzory; jak z tego widać, o wszystkim z góry pomyślano. Między poszczególnymi referatami próbowałem studiować moje gazety miejscowe, a choć rozumiałem ich hiszpańszczyznę zaledwie piąte przez dziesiąte, i tak dowiedziałem się, że rząd ściągnął do stolicy jednostki pancerne, postawił całą policję w stan ostrego pogotowia oraz wprowadził stan wyjątkowy. Zdaje się, że prócz mnie nikt na sali nie orientował się w powadze sytuacji za murami.

O siódmej była przerwa, podczas której każdy mógł się posilić, na własny koszt oczywiście, ja zaś, wracając na salę, kupiłem kolejne, nadzwyczajne wydanie pisma rządowego Nation oraz kilka popołudniowych dzienników ekstremistycznej opozycji. Choć miałem z hiszpańskim trudności, przecież lektura tych gazet wprawiła mnie w zdumienie, bo z artykułami pełnymi optymistycznobłogich rozważań na temat międzyludzkich więzi miłosnych jakie są gwarantkami powszechnego szczęścia, sąsiadowały inne, pełne zapowiedzi krwawych represji i w podobnym tonie utrzymanych pogroźek ekstermistów.

Tej łaciatości nie umiałem sobie wytłumaczyć inaczej jak tylko sięgając do hipotezy, że jedni dziennikarze pili tego dnia wodę wodociągową, a inni nie. W organie prawicowym pito jej naturalnie mniej, ponieważ pracownicy redakcyjni jako lepiej płatni od opozycjonistów, pokrzepiali się w czasie pracy droższymi trunkami; ale i ekstremiści, choć skłonni, jak wiadomo, do niejkiej ascezy w imię wyższych haseł i ideałów, gasili pragnienie wodą tylko w szczególnych okolicznościach, jeśli zważyć, że quartozupio, napój ze sfermentowanego soku rośliny melemenole, jest w Costarikanie wprost niezwykle tani.

Ledwośmy się zagłębili w miękkich klubowcach, a profesor Dringenbaum ze Szwajcarii wypowiedział pierwszą cyfrę swego przemówienia, dały się słyszeć głucho detonacje; gmach zadrgał lekko w fundamentach, zabrzęczały szyby, ale optymiści wołali, że to tylko trzęsienie ziemi. Ze swej strony skłonny byłem sądzić, że to jakaś grupa kontestatorów pikietujących hotel od początku obrad cisnęła w hallu petardy. Z mniemania tego wywiódł mnie huk i grzmot znaczniejszej siły; dały się też słyszeć karabiny maszynowe z charakterystycznym staccato. Nie można już się było dłużej łudzić; Costarikana weszła w fazę walk ulicznych. Jako pierwsi ulotnili się z sali dziennikarze, których strzelanina zerwała na równe nogi niczem pobudka. Pognali na ulicę wezwani obowiązkiem zawodowym. Profesor Dringenbaum próbował jeszcze przez parę chwil kontynuować prelekcję w tonie dosyć pesymistycznym, utrzymywał bowiem, że następną fazą naszej cywilizacji jest kanibalizacja. Powołał się na znaną teorię Amerykanów, którzy obliczyli, że jeśli wszystko pójdzie na Ziemi tak jak dotąd, za czterysta lat ludzkość będzie stanowiła żywą kulę ciał, powiększającą się z szybkością światła.

Lecz nowe eksplozje przerwały wykład. Zdezorientowani futurologowie jęli wychodzić z sali, mieszając się w hallu z uczestnikami kongresu wyzwolonej literatury, których, jak świadczył ich wygląd, wybuch walk przychwycił w toku czynności wyrażających zupełną obojętność dla groźby przeludnienia. Za redaktorami domu wydawniczego A. Knopfa, sekretarki (nie nazwałbym ich roznegliżowanymi, skoro oprócz wymalowanych na skórze deseni w stylu OP, nie miały na sobie nic zgoła) niosły poręczne fajki wodne i narghile, w których paliła się modna mieszanka LSD, marihuany, yohimbiny i opium. Reprezentanci wyzwolonej literatury spalili właśnie, jak usłyszałem, in effigie Ministra Poczty USA, za to, że nakazał swym placówkom niszczenie druków, wzywających do masowego uprawiania kazirodu; zszedłszy do hallu, zachowywali się bardzo niewłaściwie, zwłaszcza gdy uwzględnić powagę sytuacji. Publicznej moralności nie naruszali już tylko ci spośród nich, którzy opadli całkiem z sił albo trwali w narkotycznym odrętwieniu. Słyszałem krzyki dobiegające z kabin, w których napastowali telefonistki hotelowe, a jakiś brzuchacz w lamparciej skórze, z pochodnią haszyszową w ręku, szalał między szeregami garderoby atakując cały jej personel. Ledwo go unieszkodliwili urzędnicy z recepcji przy pomocy portierów.

Z półpiętra ciskał ktoś na nasze głowy naręcza barwnych zdjęć, obrazujących dokładnie to, co pod wpływem chuci może zrobić jeden człowiek z drugim, a nawet znacznie więcej. Gdy na ulicy pojawiły się widoczne doskonale przez szyby, pierwsze czołgi, windy bluznęły tłumem przerażonych filumenistów i kontestatorów; depcząc wiadome pasztety i przystawki, przyniesione przez wydawców, a zalegające teraz podłogę hallu, przybysze rzucali się na wszystkie strony. Rycząc jak oszalały bawół oraz waląc kolbą papieżówki każdego, kto stał mu na drodze, przebijał się przez ciżbę brodaty antypapista; wybiegł, jak widziałem na własne oczy, przed hotel tylko po to, aby zza węgła otworzyć ogień do przebiegających sylwetek. Widać, jako prawdziwemu ideowcowi ekstremizmu w najradykałniejszej postaci, było mu w gruncie rzeczy wszystko jedno do kogo strzela. W hallu pełnym krzyków trwogi i rozpusty powstało istne pandemonium, kiedy prysnęły ze szklanym grzechotem pierwsze ogromne szyby; usiłowałem odszukać znajomych dziennikarzy, a widząc, że wymykają się na ulicę, poszedłem w ich ślady, ponieważ atmosfera wewnątrz Hiltona stała się doprawdy już nazbyt przytłaczająca. Za betonowym ocembrowaniem samochodowego podjazdu, pod okapem hotelowym, przyklekło paru fotoreporterów filmując zawzięcie okoliczny plac, zresztą bez większego sensu, ponieważ, jak to bywa zawsze, najpierw podpalono auta z zagraniczną rejestracją i z parkingu przyhotelowego buchły płomienie oraz chmury dymu. Mauvin z AFP, który znalazł się obok mnie, zacierał ręce z zadowolenia, że przyjechał samochodem wynajętym u Hertza; toteż widok ognia, w jakim skwierczał jego Dodge, przyprawiał go o wybuchy śmiechu, czego nie można było powiedzieć o większości amerykańskich dziennikarzy.

Zauważyłem ludzi usiłujących gasić płonące auta; byli to przeważnie jacyś ubogo odziani staruszkowie, noszący wodę kubekami z pobliskiej fontanny. Już to mogło dać nieco do myślenia. W dali, w wylotach Avenida del Salvation i del Resurrection, błyszczały niewyraźnie kaski policyjne; zresztą plac przed hotelem, jak i okalające go trawniki z masywnymi palmami, były w tej chwili puste. Staruszkowie schrypłymi głosami zagrzewali się do akcji ratowniczej, choć wiek podcinał im sterane nogi; taka ofiarność wydała mi się wprost zdumiewająca, ażem nagle wspomniał ranne przeżycia i od razu podzieliłem się mymi podejrzeniami z Mauvinem. Grzechot broni maszynowej, zagłuszany basowymi wybuchami, utrudniał porozumienie; na bystrej twarzy Francuza malowała się przez chwilę kompletna dezorientacja, aż nagle błysk pojawił się w jego oku. - A! - ryknął przekrzykując zgiełk - woda... woda wodociągowa, co? Wielki Boże, po raz pierwszy w historii... KRYPTOCHEMOKRACJA! - z tymi słowami, jak żgnięty pognął do hotelu. Oczywiście, aby zająć miejsce przy telefonie; i tak dziwne było, że łączność jeszcze działa.

Przyłączył się do mnie profesor Trottelreiner ze szwajcarskiej grupy futurologicznej, gdy tak stałem na podjeździe, i wtedy zaszło to, co właściwie już od dawna powinno było zajść: rozwinięty kordon policjantów w czarnych hełmach, czarnych tarczach napiersnych, maskach gazowych, z bronią w rękę, jął otaczać cały kompleks Hiltona, aby stawić czoła tłumowi, który właśnie wynurzył się z parku, oddzielającego nas od zabudowań teatru miejskiego. Oddziały specjalne z wielką wprawą ustawiły miotacze granatów i pierwsze ich salwy skierowano w tłum; eksplozje były dziwnie słabe, wyzwalały za to całe chmury białawego dymu; zrazu pomyślałem, że to gaz łzawiący, lecz tłum, zamiast uciekać czy zareagować pełną wściekłości wrzawą; jął się wyraźnie garnąć do owych mglistych oparów; krzyki ścichły szybko, zamiast nich zaś posłyszałem jakby litanijne czy modlitewne pienia. Dziennikarze, miotający się z kamerami i magnetofonami między kordonem a wejściem hotelowym, w głowę zachodzili, co też to być może, ale ja się już domyślałem; najwyraźniej policja zastosowała środki chemicznego dobruchania w formie aerozolowej. Lecz od Avenida del już nie pamiętam, co, wyszła inna kolumna, której się te granaty jakoś nie chciały imać, a może to tylko tak wyglądało; mówiono później, że kolumna ta szła dalej, aby się zbratać z policją, nie zaś rozerwać ją na sztuki, lecz któż mógł dochodzić tak subtelnych różnic w panującym chaosie? Granatniki przemówiły salwami, po nich odezwały się najpierw z charakterystycznym szumem i syczeniem armatki wodne, wreszcie rozległy się serie maszynowej broni i w jednej chwili powietrze zagrało pianiem pocisków.

Tu już nie było żartów; padłem za betonowym murkiem podjazdu niczym za brustwerą okopu, między Stantorem a Haynesem z Washington Post; w paru słowach uświadomiłem ich, oni zaś, oburzywszy się na mnie zrazu za to, że jako pierwszemu zdradziłem tak nagłówekowy sekret reporterowi z AFP, poczołgali się biegiem do hotelu, lecz niebawem wrócili z zawiedzionymi minami; łączności już nie było. Stantor dopadł jednak oficera, który kierował obroną hotelu i od niego dowiedział się, że za chwilę nadlecą samoloty załadowane bombami, to jest Bombami Miłości Bliźniego (BMB); jakoż kazano nam opuścić plac, wszyscy zaś policjanci co do jednego nałożyli maski gazowe ze specjalnymi pochłaniaczami. I nam też je rozdano.

Profesor Trottelreiner, który, jak chciał przypadek, jest specjalistą właśnie w zakresie farmakologii psychotropowej, ostrzegł mnie, żebym się maską gazową w żadnym wypadku nie posługiwał, ponieważ przestaje ona działać ochronnie przy większych stężeniach aerozolu; powoduje to zjawisko tak zwanego „przeskoku” przez pochłaniacz i w jednym momencie można wówczas łyknąć dawkę większą niż gdyby się zwyczajnie oddychało otaczającym powietrzem. Na moje pytania odpowiedział, że jedynym zbawiennym środkiem jest aparat tlenowy; poszliśmy więc do hotelowej recepcji i znalazłszy jeszcze ostatniego pracownika na posterunku, odszukaliśmy za jego wskazaniem pomieszczenia przeciwpożarowe, gdzie istotnie nie brakowało aparatów tlenowych systemu Draegera z zamkniętym krążeniem. Tak zabezpieczeni, wróciliśmy z profesorem na ulicę w momencie, gdy przeraźliwy gwizd rozcinanego powietrza zwiastował nalot pierwszych samolotów. Jak wiadomo, Hilton został omyłkowo zbombardowany w parę chwil po rozpoczęciu powietrznego uderzenia; jego skutki okazały się straszne. Bomby trafiły co prawda tylko do odległego skrzydła niższej części zabudowań, w której na wynajętych stoiskach znajdowała się wystawa urządzona przez zjednoczenie wydawców wyzwolonej literatury, tak że z gości hotelowych na razie nikt nie odniósł szwanku, lecz za to paskudnie dostało się strzegącej nas policji. Po minucie paroksyzmy miłości bliźniego przybrały w jej szeregach charakter masowy. W moich oczach policjanci, zdarłszy maski z twarzy, zalewając się gorącymi łzami skruchy na kolanach błagali demonstrantów o wybaczenie, wtykali im siłą swe solidne pałki, dopraszając się możliwie silnego bicia, a po dalszym bombardowaniu, kiedy stężenie aerozolu wzrosło jeszcze bardziej, rzucali się jeden przez drugiego, aby pieścić i miłować każdego kto się tylko nawinął.

Przebieg wypadków udało się zrekonstruować, a i to jedynie częściowo, w kilka tygodni po całej tej tragedii. Rząd postanowił z rana zdławić w zarodku szykujący się zamach stanu, wprowadzając do wieży ciśień około 700 kilogramów dwuładgodku superdobryny oraz karessyny z felicytolem: odcięto zapobiegawczo dopływ wody do koszar policyjnych i wojskowych, lecz, dla braku rzeczoznawców, akcja ta musiała spalić na panewce: nie uwzględniono ani zjawiska przeskoków aerozoli przez filtry masek, ani tym bardziej tego, że rozmaite grupy społeczne wybitnie niejednakowym sposobem korzystają z wody pitnej.

Konwersja policji zaskoczyła tedy czynniki rządowe tym okrutniej, że, jak mi wyjaśnił Trottelreiner, działanie benignatorów jest tym potężniejsze, w im słabszym stopniu poddany im człowiek podlegał dotąd naturalnym, przyrodzonym impulsom życzliwości i dobra. To wyjaśnia fakt, że kiedy dwa samoloty następnej fali zbombardowały siedzibę rządu, wielu najwyższych funkcjonariuszy policyjnych oraz wojskowych popełniło samobójstwa, nie mogąc wytrzymać okropnych wyrzutów sumienia w związku z uprawianą dotąd polityką. Gdy jeszcze dodać, że sam generał Diaz, nim skończył ze sobą wystrzałem rewolwerowym, kazał otworzyć bramy więzień i wypuścić wszystkich politycznych więźniów, łatwiej można zrozumieć wyjątkowe nasilenie walk, do jakich doszło w ciągu nocy. Oddalone od miasta bazy lotnicze były wszak nietknięte, a oficerowie ich mieli swe rozkazy, których trzymali się do ostatka; obserwatorzy zaś wojskowi i policyjni w swoich hermetycznych bunkrach, widząc, co się dzieje, uciekli się wreszcie do ostateczności, która całe Nounas pogrążyła w szale uczuciowego pomieszania. O wszystkim tym nie mieliśmy naturalnie w Hiltonie pojęcia.

Dochodziła jedenasta w nocy, gdy na wojennym teatrze, jaki stanowił teraz plac razem z otaczającymi

parkami palmowymi, zjawily się pierwsze pancerne jednostki armii: musiały zdławić miłość bliźniego, jaką okazywała policja i uczyniły to, nie szczędząc krwi. Biedny Alphonse Mauvin stał o krok od miejsca, w którym wybuchł granat udobruchający; siła eksplozji oderwała mu palce lewej ręki i lewe ucho, on jednak zapewniał mnie, że ta ręka od dawna była mu na nic, a o uchu szkoda w ogóle mówić, a gdybym tylko chciał, zaraz mi ofiaruje drugie; wydobył nawet z kieszeni scyzoryk, ale mu go odebrał łagodnie i zaprowadziłem go do zaimprovizowanego punktu opatrunkowego, gdzie się nim zajęły sekretarki wyzwolonych wydawców, wszystkie zresztą łkające jak bobry wskutek chemicznego nawrócenia; mało że się poubierały, ale chodziły nawet z zaimprovizowanymi czarczafami na twarzach, by nie kusić nikogo do grzechu; niektóre, co mocniej wzięte, poobcinały sobie włosy do samej skóry, nieszczęsne istoty. Wracając z sali opatrunkowej, miałem fatalnego pecha natknąć się na grupę wydawców. Nie poznałem ich zrazu; poodziewali się w jakieś stare jutowe worki, przepasywali sznurami, które służyły im też do biczowania, i krzycząc jeden przez drugiego zmiłowania, pokłękali przede mną, bym zechciał należycie wysmagać ich za deprawowanie społeczeństwa.

Jakież było moje zdumienie, kiedy przyjrawszy się im dokładniej rozpoznałem w tych flegellantach wszystkich pracowników PLAYBOYA wraz z redaktorem naczelnym. Ten ostatni zresztą nie dał mi się wymknąć, tak mu dopiekało sumienie. Błagali mnie, pojmując, że dzięki aparatowi tlenowemu tylko ja jeden mogę im skrzywić włos na głowie; wreszcie, wbrew woli, zgodziłem się dla świętego spokoju spełnić ich prośby. Ręka mi zemdliała, duszno mi się zrobiło w masce tlenowej, obawiałem się, że nie znajdę innej, pełnej butli, gdy ta mi się skończy, ale oni, ustawivszy się w długi ogonek, nie mogli się doczekać swej kolei.

Aby się od nich odczepić, kazałem im wreszcie pozbierać wszystkie te olbrzymie plansze barwne, które wybuch bomby w bocznym skrzydle Hiltona rozrzucił po całym hallu, tak że wyglądało w nim niczem w Sodomie i Gomorze; na moje polecenie wzniesli z owych papierzyk ogromny stos przed wejściem i podpalili go. Niestety, artyleria, stacjonująca w parku, wzięła płonący stos za jakąś sygnalizację i skoncentrowała na nas ogień. Czmychnąłem jak niepyszny, tylko by w suterenie dostać się w ręce pana Harveya Simwertha, tego pisarza, który wpadł na pomysł przerabiania bajek dziecinnych na utwory pornograficzne (to on napisał „Długi Czerwony Kapturek” jako też „Ali Babę i czterdziestu zboczeńców”), potem zaś zbił majątek na przeinaczaniu klasyki światowej; stosował prosty chwyt dopełniania tytułu każdego dzieła przydawką „Życie Płciowe” (np. - „Krasnoludków z sierotką Marysią”, „Jasia z Małgosią”, „Alladyna z lampą”, „Alicji w krainie czarów”, „Guliwera” itd. bez końca). Darmo mu się wymawiałem, że już ręką nie mogę ruszyć. Wobec tego krzyczał, łkając, muszę go przynajmniej skopać. Cóż było robić uległem raz jeszcze. Po tych przejściach byłem tak wyczerpany fizycznie, że ledwo dotarłem do pomieszczeń przeciwpożarowych, gdzie na szczęście znalazłem jeszcze parę nietkniętych tlenowych butli. Siedział tam na zwiniętym hydrancie prof. Trottelreiner, zatopiony w lekturze referatów futurologicznych wielce rad z tego, że znalazł wreszcie chwilę czasu w swej karierze zawodowego objeżdźacza kongresów. Tymczasem bombardowanie trwało w najlepsze. Prof. Trottelreiner radził stosować w ciężkich wypadkach porażenia miłością (okropny był zwłaszcza napad życzliwości powszechnej, przebiegający z pieszczotliwymi drgawkami) kataplazmy, oraz duże dawki rycyny na przemian z płukaniem żołądka.

W ośrodku prasowym Stantor, Wooley z Haralda, Sharkey i Kiintze, fotoreporter pracujący chwilowo dla Paris Match'a, grali, z maskami na twarzach, w karty, bo dla braku łączności nie mieli nic lepszego do roboty. Gdy zacząłem im kibicować, przybiegł Jo Missinger, senior dziennikarstwa amerykańskiego wołając, że policji rozdano pastylki Furyasolu, aby przeciwdziałać benignatorom. Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać; pognaliśmy do piwnic, niebawem wyjaśniło się jednak, że pogłoska była fałszywa. Wyszliśmy więc przed hotel; melancholijnie stwierdziłem, że brakuje mu wyższych kilkudziesięciu pięt, lawina gruzu pochłonęła mój apartament ze wszystkim, co się tam znajdowało, luna ogarniała trzy czwarte nieba. Barczysty policjant w hełmie gnał za jakimś wyrostkiem krzycząc: -



„Stój, dlaboga, stój przecież ja CIĘ KOCHAM!” - lecz tamten puścił te zapewnienia mimo uszu. Jakoś ucichło, a dziennikarzy korciła zawodowa ciekawość, ruszyliśmy więc ostrożnie w stronę parku, odbywały się w nim, ze znacznym udziałem tajnej policji msze czarne, białe, różowe i mieszane. Obok stał olbrzymi tłum ludzi płaczących jak bobry; trzymali nad głowami tablicę z ogromnym napisem „LŻYJCIE NAS, MYŚMY PROWOKATORZY!” Sądząc podług ilości tych nawróconych Judaszów, wydatki rządowe na ich etaty musiały być spore i wpłynęły ujemnie na sytuację ekonomiczną Costarikany.

Wróciwszy do Hiltona ujrzeliśmy przed nim inny tłum. Wilczury policyjne, przedzierzgnąwszy się w psy z góry świętego Bernarda, wносиły z hotelowego baru najdroższe trunki i rozdawały je wszystkim bez wyboru; w samym zaś barze, przemieszawszy się, policjanci i kontestatorzy śpiewali na przemian pieśni wywrotowe i zachowawcze. Zajrzałem do piwnicy, lecz sceny nawróceń, dopieszczień, pokajań i umiłowań, które tam zobaczyłem, tak mnie zniesmaczyły, że udałem się do sekcji przeciwpożarowej, gdzie, jak wiedziałem, siedział prof. Trottelreiner. I on, ku memu zdziwieniu, dobrał sobie trzech partnerów, z którymi grał w brydża. Docent Quetzalcoatl zagrał spod atutowego asa, co tak rozgniewało Trottelreiner, że wstał od stołu; gdym go z innymi uspokajał, przez drzwi wsadził głowę Sharkey, by powiedzieć nam, że złapał na tranzystorze przemowę generała Aquillo: zapowiedział on krwawe zdławienie rokосу konwencjonalnym bombardowaniem miasta. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy wycofać się do najniższej kondygnacji Hiltona, to jest kanalizacyjnej, umieszczonej pod schronami. Ponieważ kuchnia hotelowa legła w gruzach, nie było co jeść; zgłodniaли kontestatorzy, filumeniści i wydawcy zapychali się czekoladowymi pastylkami, odżywkami i galaretkami wzmacniającymi potencję, które znaleźli w opustoszałym CENTRO EROTICO, zajmującym narożnik hotelowego skrzydła; widziałem jak mienili się na twarzach, gdy podniecające afrodyzjaki i lubczyki mieszały się w ich żyłach z benignatorami; strach było pomyśleć, do czego ta chemiczna eskalacja doprowadzi. Widziałem bratanie się futurologów z indiańskimi pucybutami, tajnych agentów w objęciach służby hotelowej, fraternizację ogromnych tłustych szczurów z kotami - nadto wszystkich bez różnicy lizały psy policyjne. Nasza powolna wędrówka - musieliśmy bowiem przebijać się z trudem przez ciżbę - dała mi się we znaki, zwłaszcza, że niosłem, zamykając pochód, połowę zapasu butli tlenowych. Głaskany, całowany po rękach i nogach, adorowany, dusząc się od uścisków i pieszczot, uparcie brnąłem przed siebie, aż posłyszałem okrzyk triumfu Stantora; znalazł wejście do kanału!

Ostatnim zrywem sił podźwignęliśmy ciężką klapę i po kolei jęli się opuszczać do betonowej studzienki. Podpierając profesora Trottelreiner, któremu noga ześliznęła się po szczeblu żelaznej drabinki, spytałem go, czy tak sobie wyobrażał ten kongres. Zamiast odpowiedzieć, usiłował pocałować mnie w rękę, co od razu wzbudziło moje podejrzenia, jakoż okazało się, że wskutek przekrzywienia maski łyknął nieco zadżumionego dobrocią powietrza. Zastosowaliśmy natychmiast męki, oddychanie czystym tlenem i czytanie na głos referatu Hayakawy - to była myśl Howlera. Odzyskawszy przytomność, co udokumentował serią soczystych przekleństw, profesor kontynuował marsz wraz z nami. Niebawem ukazały się w mdłym świetle latarki oleiste plamy na czarnej powierzchni kanału; widok ten przyjęliśmy z najwyższą radością, jako że obecnie od powierzchni bombardowanego miasta oddzielało nas dziesięć metrów ziemi. Jakież było nasze zdumienie, gdy okazało się, że o tym azylu pomyślał już ktoś przed nami. Na betonowym progu siedziała w komplecie dykcja Hiltona; przezorni menadżerowie zaopatrzyli się w plastikowe nadymane fotele z basenu hotelowego, radia, baterię whisky, schwepsa i cały zimny bufet. Ponieważ i oni używali aparatów tlenowych, nie było nawet mowy o tym, by chcieli się z nami czymkolwiek podzielić. Przybraliśmy jednak groźną postawę, a że mieliśmy przewagę, udało się nam ich przekonać. W z lekka wymuszonej zgodzie wzięliśmy się do pałaszowania homarów; tym nieprzewidzianym przez program posiłkiem zakończył się ósmy zjazd futurologiczny.

# Sławomir Mrozek

## INTERWAŁ

Nastąpiła długo oczekiwana walka między dwoma wielkimi zapaśnikami. Spotkali się: Szatan-Maty i Gross-Pyton. Już na początku widzowie zauważyli, że żaden z nich nie może uzyskać decydującej przewagi. Równego ciężaru, podobnej budowy, obaj dotychczas nie zwyciężeni, obaj w ataku spotykali się z równie potężną obroną, obaj w obronie dorównywali gwałtowności ataku. Ruchy ich, szybkie na początku spotkania, stawały się powolniejsze w miarę, jak oplatali się wzajemnie, jak ich ciała tworzyły sploty coraz bardziej zawile. Rzekłbyś, że to nie dwaj mężczyźni walczący ze sobą, ale jeden potwór, obdarzony podwójną ilością tych członków, jakimi zwykle rozporządza człowiek. Do pewnej jeszcze chwili sędzia, spełniając swoje obowiązki, dociekał, która stopa lub palec należy do którego zapaśnika. Ale potem, na skutek ogólnej zawilości, pełnienie roli rozjemcy stało się niemożliwe bez uciekania się do pomocy szpilki, którą sędzia nakłuwiał wątpliwą część, żeby po okrzyku bólu rozpoznać jej właściciela. Zauważyli to jednak humaniści i udaremнили. Dalsze sędziowanie stało się wręcz czczą formalnością.

Publiczność, która po brzegi wypełniła halę pod wielką kopułą, początkowo zachłystywała się potęgą tego spotkania, unosila się z miejsc, krzyczała, na wszelkie sposoby dając wyraz swoim namiętnościom. Jednak po upływie długiego czasu, kiedy szansę obu zapaśników nadal były równe i oczekiwanie na jakąś nagłą zmianę w układzie sił nie przynosiło wyniku, tu i ówdzie dawały się zauważyć oznaki, jeżeli nie zubożenia, to w każdym razie znużenia. Widowisko stawało się doprawdy nazbyt statyczne. Na ringu, w białym świetle, nieruchomiła coraz bardziej kula napiętych do ostateczności mięśni, od czasu do czasu nieznacznym drgnięciem, przemieszczeniami ledwo dostrzegalnymi, i to coraz rzadziej, dająca znać o niesłychanym wysiłku dziejącym się w niej. Pierwsze objawy niezadowolenia zaczęły okazywać ludzie o ubogim życiu wewnętrznym, potrzebujący gwałtownych podnieć, ale już inteligencja także zaczęła wyrażać nieśmiało sprzeciwy. Godziny przedłużały się, aż nadeszła chwila, kiedy kula na ringu, niczym - poza coraz silniejszym blaskiem potu: jakby niklowana - nie objawiała tragicznego, a stale wzrastającego napięcia walki. Tymczasem była już najwyższa pora, żeby pójść na kolację i do łóżka.

Miała to być walka aż do skutku, do ostatecznej przegranej jednej ze stron, ciekawość trzymała jeszcze widzów na miejscu, gdyż o przerwaniu rozgrywki nie mogło być mowy. Powszechne niezadowolenie, zmęczenie, głód doskwierający tłumom, nieprzyjemna myśl o bardzo późnym powrocie do domu - wszystko to gromadziło się z wolna przeciw władzom sportowym. Już i okrzyki jakieś padły, już i sędziemu coś tam krzyknięto przykrego. W tych okolicznościach, kiedy walka ani nie mogła trwać dalej, ani nie można było jej przerwać - należało znaleźć jakieś trzecie wyjście.

Po krótkiej naradzie sędziowie ogłosili przez głośniki, że takie wyjście znaleziono. Walka będzie wznowiona w dniu jutrzejszym. Jak jednak zapewni się walczącym dokładnie tę samą pozycję, w której mecz zostanie dziś zawieszony? Jak sprawiedliwie zachowa się te przewagi, względnie ustępstwa, jakie dotychczas wywalczyli na sobie wzajemnie zawodnicy? Obaj zostaną opieczętowani tak, jak są, i pozostawieni na ringu aż do wznowienia. Nazajutrz, po zerwaniu plomb, nastąpi rozstrzygnięcie.

Rozwiązanie przyjęto oklaskami. Tłum zapełnił wyjścia, a komisja przystąpiła do opieczętowania zawodników.

Sala opustoszała, światła w większości pogasły. Jeszcze tylko sprzątaczkę krzątały się w głębi, ale wkrótce i one opuściły pałac sportu. Na ringu pozostała kula, złożona z zawodników, starannie pokryta pieczęciami.

Ponieważ ich głosy znajdowały się wewnątrz tej konstrukcji, jaką stworzyli w wyniku całodniowych zmagania, więc mogli porozumiewać się względnie łatwo, nie podnosząc głosu. W stanie rozprostowanym obydwoj zaskakiwali olbrzymim wzrostem, nietrudno było jednak wtedy zauważyć, że czaszki mieli

nieproporcjonalnie małe. Zaprawieni w walkach, nigdy nie wdawali się w żadne rozważania, praca umysłu była dla nich dziedziną nieznaną, w zamian za co osiągnęli tak wspaniałe wyniki w zmaganiach. Teraz, dopóki rządził nimi jeszcze zapał, choć unieruchomieni, wydawali wciąż piersiowe pochrapywania i wyzwiska, które w opuszczonej sali głuchym echem odbijały się pod kopułą. Jednak, jakkolwiek bardzo silny był duch walki, okoliczności zaczęły brać nad nimi górę.

Głód powoli wkradał się do wielkiej, pustej i mrocznej sali, razem z obecnością widzów utracili źródło podniecia. Stygli powoli i wreszcie po ostatnim przekleństwie nastąpiła przedłużająca się cisza. Wtrąceni w nowe, nieznane im warunki, ciężko dysząc, szukali czegoś w sobie.

- Pyton... - odezwał się wreszcie Szatan-Maty.

- Co? - odpowiedział Gross-Pyton.

- Jesteś?

- Jestem.

- Ja też - na to Szatan i znowu zapadło milczenie.

Jednak czy to niemożność dłuższego trwania obok siebie dwóch istot bez wzajemnych kontaktów jakiegokolwiek rodzaju, czy to Gross-Pyton pozazdrościł przeciwnikowi pierwszeństwa w artykułowaniu, dość, że po chwili rozległ się głos Pytona, który złożoną drogą, wśród barków, goleni, stóp, łądźwi, tricepsów i mięśni kapturowych, dotarł do ucha Szatana-Maty.

- Ja, to ja... - stwierdził stanowczo Pyton.

Szatan-Maty zdziwił się.

- Ja, to ja - wyraził sprzeciw - a nie ty. Ty, to całkiem co innego.

- Już wiem? - ucieszył się tym odkryciem Gross-Pyton. - Po prostu jest nas dwóch.

- To możliwe, ale za to mnie się też coś przypomina - zastanowił się Szatan-Maty. - Dwa... zaraz... zaraz... - i zamyślił się aż do bólu. - Duże pomieszczenie, ja w nim, całkiem mały, dziecko, otwarte okna, wiosenny dzień i kobieta koło czarnej powierzchni, rodzaj tablicy, coś na niej pisze... Były tam także inne dzieci...

- Może to jeszcze z wojska? - próbował mu pomóc Gross-Pyton.

- Nie, to było wcześniej.

- Już wiem! - zawołał Gross-Pyton w olśnieniu. - To szkoła! Chodzi o dwa więcej dwa!

- Skąd wiesz? - zapytał nieufnie Szatan-Maty. - Rzeczywiście! Teraz przypomniałeś mi, że ona to pisała na tablicy czymś, jakby białym kamyczkiem... Ale skąd wiesz doprawdy?

- Sam nie wiem... - zawstydził się dumnie Pyton. - Tak mi jakoś przyszło do głowy.

Rozmowa toczyła się dalej. To jasne. Żeby zabić nudę długich, nocnych godzin opieczętowania, wypełnić czymś pustkę, którą stworzyła beczynność mięśni, rozprawiali trochę. Inaczej trudno by im było znieść chłód i ciszę panującą pod ogromną kopułą. Słabe, awaryjne światło wydobywało z ciemności tylko ring z ową kulą splecioną z ludzkich członków, pokrytą gęsto czerwonymi plamami pieczęci. Po północy oziębiło się jeszcze i na kuli można było dojrzeć wyraźnie gęsią skórę.

Głos w jej wnętrzu mówił:

- Pyton, ty mi powiedz. Jeżeli kupiec kupił pół tuzina jabłek po trzy grosze, sprzedał dwa jabłka po pięć groszy, a resztę po cztery, to ile zarobił?

- Zaraz odpowiem, ale ty mi najpierw powiedz o dwóch pociągach.

- Jakich pociągach?

- Z punktu A wyjeżdża jeden pociąg i jedzie. Drugi wyjeżdża z punktu B i jedzie tamtemu naprzeciw. Ten z punktu A jedzie pięćdziesiąt trzy kilometry na godzinę, a ten z punktu B - siedemdziesiąt pięć. W którym miejscu się spotkają i po jakim czasie, jeżeli odległość pomiędzy punktami A i B wynosi czterysta osiemdziesiąt kilometrów?

Samotna ćma wpadła do hali i trzepotała się wokół reflektora, nie zwracając uwagi na kulę. A ta gwarzyła coś do siebie, szeptała, spierała się o coś.

Mijały godziny w ciszy, chłodzie, ciemności. Bryła na ringu odpowiadała sobie, ledwo słyszalny, daleko gdzieś w jej wnętrzu stłumiony głos pulsował, opadał, cichł, podnosił się. Poruszano różne sprawy, rozmaite padały pytania i odpowiedzi, niektóre coraz trudniejsze. Wysoko, pod kopułą, gdzie dach był szklany, stała już blada, wątpiąca poświata.

- Pyton, co jest lepiej: być - czy też nie być? - zagadnął wreszcie Szatan-Maty.

- To zależy - na to z zastanowieniem Gross-Pyton. - Co jest szlachetniejsze - to znaczy przewycięzać trudności i mimo wszystko kontynuować, czy też sprowokować koniec, choćby za pomocą kawałka żelaza.

- Najgorsza jest ta niepewność - podjął Szatan-Maty przy niemym akompaniamencie świata, który coraz wyraźniej wypełniał przestrzeń pod kopułą. - Bo nie wiadomo, co potem. Gdyby to było wiadomo, to kto by znosił to dokuczanie ze strony osób o złym charakterze, nieposzanowanie prawa czy też bezczelność władzy.

Już coraz niżej sięgało światło poranka, gwałtownie mizerniały lampy ringu. Namiętny szept Pytona wydobywał się spod pieczęci:

- A jakby tak wziąć masę i dać ją do kwadratu, a potem: trzask! - pomnożyć ją przez prędkość światła, to by ci było dopiero!...

Ale było już za późno. Pierwsi odźwierni wchodzili na sale.

Myślę, że warto w końcu napisać jeszcze jedno opowiadanie, aby się w nim zająć życiem erotycznym hrabiny de Strogoff.

Pani Giselle wspominała mi nieraz, że kapitan Strogoff był jej piątym mężem z kolei, opowieści o pierwszym i drugim mężu, często powtarzane, słyszałem wielokrotnie, polegiwała wtedy najczęściej na swoim łożu rozbebeszonym nosami leniwych jamników albo krzątała się po kuchni i częstując mnie kolacją opowiadała tamte odległe wydarzenia. Odbywało się to wcale nierzadko w obecności kapitana, któremu w ten sposób dawała jakby przestrożę, że i jego małżeństwo może skończyć się podobnie, choć było zupełnie jasne (ze względu na jej lata), iż pan Strogoff może być o to spokojny. Lecz z drugiej strony nie mogła się powstrzymać, aby mu nie wymówić tego czy owego; najczęściej przy ładyszkach wypominała biednemu kapitanowi (i to nierzadko w obecności znajomych!), że do miłości francuskiej nigdy nie potrafił się nagiąć i że nie zdołała go jednak namówić ani razu na tę intymność.

Gdy była młodziutką dziewczyną - opowiadała pani Giselle - wydali ją rodzice za pana Croulebarbe. Był on dobrym człowiekiem, ale podniecał się jedynie widokiem krwi swojej żony, stąd przy pieszczotach nacinał ją z lekka żyłką, starczała nawet kropelka (zlizywał ją lub wysysał), i po rocznym pożyciu miała maleńkie blizny na wszystkich częściach ciała. Wreszcie zdecydowała, że pora skończyć tortury: Croulebarbe znalazł pewnego ranka list na samowarze (stojącym ponoć zawsze na kominku przed lustrem), zawarła w nim żądanie, aby wyniósł się z jej mieszkania w ciągu najbliższej doby. Został co prawda sześć godzin dłużej, niż to przewidywały postawione warunki, ale znikł definitywnie (była to wersja pierwsza - innym razem opowiedziała mi, że panu Croulebarbe wystawiła walizki na klatkę schodową i kiedy wrócił z pracy - był maklerem giełdowym - nie wchodził już do domu, lecz od razu ze schodów znosił walizki na dół, dorożka podjechała i więcej w życiu nigdy go nie zobaczyła).

Opowieść o drugim mężu, krótsza i banalniesza, miała wariant podobny: ten tenor operowy stale ją po prostu zdradzał. Kiedyś go poprosiła, by zszedł do episjera, był tylko w marynarce z pustą butelką pod pachą, bo miał jej przynieść wino, a wrócił dopiero po dwóch latach. Pani Giselle, otwierając, spytała: „A gdzie moje wino?” Zjedli dobrą kolację, wino też miała w domu i poszli do sypialni, ale nazajutrz rano stał list na samowarze (była to pierwsza wersja - wedle drugiej powtórzyła historię z walizkami, kiedy w południe wyszedł na próbę do opery).

Nigdy natomiast nie usłyszałem opowieści o trzecim i czwartym mężu, bo piątym był kapitan Strogoff. Lecz dowiedziałem się o nich pośrednio z ust kuzynki pani Giselle, młodej dziewczyny o imieniu Mireille.

Bohater „Kartoteki” Tadeusza Różewicza robi podobnie: idzie po papierosy i wraca po piętnastu latach, papierosy przynosi, lecz mimo to bohaterka (Olga) powiada: „Wiktorze, zawiodłam się na tobie. Jesteś świnią i oszustem”. Pani Giselle okazała o ileż wyższą klasę w swoim postępowaniu. i nawet dużych zdolnościach, lecz według mojego zdania zupełnie wyzbytej wstydu. Niech czytelnikowi wystarczy, że kiedy przychodziła i jadła czasem kolację w kuchence państwa Strogoff, opowiadała dokładnie o swoich aktualnych przygodach (kapitan tego nie lubił), uzupełniała je nawet sprośnymi rysunczkami, by uzasadnić obrazowo swój wybór, a rysowała dobrze, pracowała w teatrze jako asystent reżysera. Działy u niej widać schematy spowiedzi dziecięcych i rachunku sumienia, bo cyfry (ile razy) grały tu dużą rolę, na przykład zwierzała mi się kiedyś, że bieżącego amanta, w którym serio się kochała licząc na zamążpójście (dyrektora teatru i głównego podmiotu tych-ad hoc - ilustracji, nie był on wprawdzie żonaty, ale, jak bywa we Francji, z kimś na stałe związany), tego więc dyrektora zdradziła dwadzieścia trzy razy, a jednak żadna z przygód nie dała jej zadowolenia. Stwierdzała jednocześnie

symptomy bardzo ciekawe dla jakiegoś badacza: otóż w sensie dosłownym najsilniej ją podniecała świadomość, że mężczyzna, z którym się właśnie zadaje (a mógł on być dużo starszy i uroda nie grała żadnej roli) ma bardzo duże pieniądze; im większe, tym podniecenie silniej się objawiało. Na moją uwagę z boku, że jest to zapewne dość rzadko spotykane, odparła nie zmieszana: „Nie jest to takim wyjątkiem, jak sobie wyobrażasz, kilka znajomych dziewczyn mówiło mi to samo”. I bez tego wiedziałem, że ja u niej nie miałbym szans najmniejszych (choć mnie pociągała bezwstydem i urodą), bo z każdym frankiem zawsze się bardzo liczyłem.

Ale zacząłem o życiu erotycznym hrabiny de Strogoff, a piszę o przygodach Mireille, która, będąc artystką, wiodła życie bohemy i miała do tego prawo. Wprowadziłem jej postać bynajmniej nie dla niej samej: jak więc naprawdę było z owymi mężami obecnej pani Strogoff? Mireille opowiedziała mi, że za trzeciego przez pewien czas uchodziła nieduża aktoreczka mająca drobne kosteczki i kruczoczarne włosy, do niej to pani Giselle wzdychała platonicznie, pisała nawet wiersze i nigdy nie zbadano, czy doszło do zbliżenia, co na pewno się stało w wypadku męża czwartego, młodej Angielki, szczupłej i bardzo męskiej, zarabiającej na życie ujeżdżaniem wierzchowców w alejach Lasku Bulońskiego; zajmowała się końmi wyścigowymi, a więc ranne maneże, bywała wolna dopiero popołudniami. Gdy zamieszkały razem, pani Giselle spełniała w domu funkcje kobiece, prała i prasowała, cerowała rankami garderobę, do czego Ewelina (nazywała się Deadmen) nie miała najmniejszych dyspozycji; kiedy okazało się, że na skutek zmęczenia i niezdrowego klimatu nad Sekwaną odezwała się u niej jakaś dawna gruźlica, już zaleczona w Anglii, zabrała panią Giselle i pojechały razem w okolice Mentony. Aby nie stać w hotelu, bo było to za drogie, znalazły - wysoko w górach - opuszczony drewniany domek, tak zwaną kabanekę, gdzie obie zamieszkały. Była tanio na zbyciu i - bodaj drogą licytacji - Evelyn ją kupiła wraz z kawałeczkiem ziemi, choć po prawdzie była to lita skała. Przypuszczam, że miały tam kotkę, bo pani Strogoff opowiadała mi kiedyś, że za młodu w Mentonie, gdy pilnowała pałacu bogatej cudzoziemki, współżyła z tygrysią, którą tamta trzymała i - wyjeżdżając na dłużej do Ameryki - oddała jej pod opiekę. Zwierzak już oswojony, jednak z natury dziki, trudny był do chowania. Wspominała, że mając go w domu świetnie była chroniona od nieproszonych wizyt (mieszkała zupełnie sama w pałacu, służbę zwolniła) oraz od nagabywań adoratorów: nawet wpuszczeni czasami na pokoje poprawnie się zachowywali, gdy Cathy była w domu. Zwierzę siedziało na kanapie w stylu Ludwika XV w największym z trzech salonów albo na perskim dywanie, czasami - ziewając - pokazywało wnętrze swojej różowej paszczy z dwoma ostrymi kłami, wysuwało pazury, i to już wywoływało odpowiednie wrażenie.

W tym czasie pani Giselle pisywała poezje o tematyce miłosnej, a Ewelina, nie pozbawiona talentów translatorskich, chętnie przekładała je na angielski; kiedy po sześciu latach wróciła do Londynu, tam owe wiersze wydała, ale pod własnym nazwiskiem, stając - podobno - od razu w poetyckiej czołówce młodego pokolenia. Jedynie skromniutką dedykacją („To Giselle”) zrobiła niezbyt jasną aluzję, że i swojej przyjaciółce ma coś do zawdzięczenia. Był to niebagatelny powód do zerwania stosunków, mimo że Evelyn przysłała prawdziwej autorce wierszy jedną trzecią dochodu, a także, jak mi się zdaje, scedowała kabanekę w okolicach Mentony. Mimo to pani Strogoff z niemałą zawziętością musiała ścigać Ewelinę, skoro groziła jej procesem (nie wiem, czy mogła wygrać, raczej o tym powątpiewam, bo przecież swoich poezji nigdy nie ogłosiła drukiem), ale doprowadziła podobno aż do tego, że panna Deadmen, by uniknąć skandalu, uciekła z Anglii, nie bacząc na sukcesy - wersja pani Giselle - i zamieszkała na stałe w Argentynie.

Kapitan Gieorgij Strogoff byłby więc mężem piątym, tym razem niewątpliwym, bo wzięli ślub - przy świadkach - najpierw w merostwie Piętnastej Dzielnicy, a później, po raz drugi, w cerkwi przy Avenue Hoche, działo się to parę miesięcy przed wojną. Kapitan zaprosił mnie pewnego razu na bardzo skromne śniadanie do restauracyjki rosyjskiej o nazwie „Coq d’Or”, tuż koło Luksemburga, po schodkach, wejście z podwórza, znanej w tamtym okresie przyjeżdżającym Polakom dlatego, że kupowano tu kawior. Nawet jeśli był niezbyt świeży po długiej podróży z Moskwy via Warszawa (Delikatesy), jeden z kelnerów brał

pudełko na własny rozrachunek, bo właścicielka, staruszka, prawie już nic nie widziała, pewno ją oszukiwał.

Tutaj, słuchając popisów dwóch leciwych muzyków rzępolących na skrzypcach romanse czarnomorskie, patrząc na średniowieczne Kremle zdobiące ściany lokalu, kapitan, wypiwszy nieco wódki Smirnoff, pozwolił sobie przede mną na chwilę szczerości, wspominał swoje życie i swoje rozczarowania. Zaczął od rewolucji i co wtedy porabiał, lecz tutaj nie jest miejsce na relacje tego rodzaju; internowany w Turcji przedostał się do Marsylii, a potem do Paryża. Mówił o swoich kobietach (bo jego pierwsza żona, hrabina Strogoff, z domu księżniczka Błagocerkwiewskaja, zginęła mu z oczu w Odessie i już się nie odnalazła), aż po małej godzinie doszło do znajomości i ślubu z panią Giselle: „Niech sobie pan wyobrazi, że w pierwszych miesiącach małżeństwa codziennie rano, nim jeszcze wyszedłem do pracy, gdy myłem się w łazience albo się ubierałem, to przybiegała do niej jakaś młodzianka Holenderka i pruća prosto do łóżka, czasami się rozbierała od razu w przedpokoju. Wiele mnie to kosztowało, były płacze i krzyki, ale zrobiłem z tym koniec.”

Tak to się przedstawiało w relacji kapitana. Ale znów pewna znajoma z paryskiej Polonii nazwijmy ją umownie „panią Zofią” mówiła mi, że kiedyś wpadła do nich po kota, dla znajomych, państwo de Strogoff nie mieli telefonu, a było dosyć późno, nie mogła zapowiedzieć i para gospodarzy leżała już w szerokim łóżu pośród jamników. Pani Giselle zaprosiła ją na noc, pokazywała miejsce w środku, pomiędzy nimi: „Kochana pani Zofio, prosimy tu do nas na sandwicza”, dodając, że o tej porze metro już nie kursuje, jak więc wróci do domu? (była dopiero dziesiąta, a chodzi do północy!). To jedno, ale przecież, zazdrosna o męża, bała się, by jej nie zdradzał. Tę samą „panią Zofię” na przykład, kobietę dużej urody, ostrzegła raz mimochodem, że kapitan ma za duże organy.

Tu muszę znów odwołać się do świadectwa Mireille, bo mi opowiadała, że pani Giselle nie tak dawno zajęła się pewnym Murzynem, dosyć nawet wiekowym, pan Francois Voiture dobiegał osiemdziesiątki; może z tego powodu, a może z innych przyczyn zachował się z rezerwą; by sobie powetować, hrabina postawiła kapitanowi warunek, że go będzie dopuszczać do siebie wtedy jedynie, kiedy się pomaluje, pan Strogoff czernił słabiznę przez jakie dwa tygodnie, dopóki się jej nie znudziło. Mireille, dziewczyna wyzbyta wstydu, mówiła mi, że i jamniki leżące stale w betach pani Giselle też grały pewną rolę, miała się podobno smarować czymś, co pieski lubiły, ale tę rewelację potraktowałem od razu jako niemądry wymysł.

Po cóż miała się uciekać do tego typu namiastek, skoro nigdy jej nie brakło prawdziwych adoratorów. Przychodziło ich do niej za mojej pamięci niemało, a w pierwszym rzędzie pewien lekarz psychiatra, był Turkiem z pochodzenia. Spotkałem go raz przy metrze idąc do pani Strogoff i szliśmy dalej razem. Kiedy nacisnął dzwonek, myślałem, że jak zawsze bywało, odezwie się po chwili skrzekliwy głos hrabiny w dziurkach niedużego głośnika przykręconego do drzwi od wewnętrznej ich strony, lecz tym razem gospodyni otworzyła drzwi sama: „Przepraszam, ale się myję” - powiedziała w półmroku korytarza i kiedy wchodziliśmy umykała w głąb domu, bo była całkiem goła, kłapała pantoflami wśród piszczących jamników, dostrzegliśmy jedynie ogromne kłęby zadu. Za chwilę, w jedwabnym szlafrocuku różowego koloru, podała nam herbatę; dodam, że cały bok szlafroka od pachy aż po udo był rozpruty, a lekarza psychiatrę tak to zafascynowało, że zerkał co chwila, choć miała gąbczaste ciało, a potem wsunął tam rękę, gdy byłem odwrócony. Zauważywszy te ruchy kątem oka, szybko dokończyłem herbaty i począłem się żegnać.

Wiedziałem, że prócz lekarza psychiatry często bywał w domu państwa de Strogoff adwokat o dużej renomie, prowadził im za darmo bardzo kosztowne procesy, w które się zaplątali, a pewien finansista, baron de Bas-Monceaux, przynosił dla pani Giselle toalety swej żony wyszłe już z mody, pożyczał także pieniędzy, kiedy im brakowało. Bogaty antykwariusz, pan Piradou-Farady, ofiarował raz pani Giselle piękny komplet talerzy rozentalowskich, jednak zgnięwało to kapitana do tego stopnia, że wytlukł wszystkie co do jednego, rzucając nimi kolejno o ziemię. Bywali i inni panowie, lecz wszystkich nie

poznałem.

To byłyby główne zarysy historii życia erotycznego hrabiny de Strogoff, będę kończył opowieść, bowiem - gdy byłem już w Polsce - pewnego lata sprzedali swoje mieszkanie a rzeczy częściowo pozbyli się między znajomymi, częściowo załadowali na całym płaski dach wozu kapitana (model 1930, obracał nim trzy razy) i wyjechali w okolice Mentony. Za uzyskane pieniądze postawili nieduży lecz murowany domek w miejscu spróchniałej kabanki i tam osiedli na stałe; chciałbym kiedy opisać, jak im się żyje na Lazurowym Wybrzeżu, lecz wątpię, czy tam dojadę.

Mieszkanie paryskie hrabiosstwa, de Strogoff kupiła owa osoba nazwana przez nas umownie „panią Zofią”, dysponującą podówczas pewnym kapitałem, i kiedy dwa lata potem znowu byłem w Paryżu jakoś po Nowym Roku, pobiegłem z życzeniami oraz aby podrzucić niewielką, lecz ciężką paczuszkę, z którą przysłała na Dworzec Gdański w Warszawie jej siostrzenica, studentka geologii. Gdy nacisnąłem dzwonek, „pani Zofia” otworzyła przez łańcuch, przyjrzała mi się dokładnie, zanim wpuściła, była bardzo wzburzona. Pozwolą czytelnicy, że przytoczę jej słowa: „Niech sobie pan wyobrazi, przeżyłam dosłownie przed chwilą niespotykaną historię. Robiłam w kuchni śniadanie, a tutaj słyszę dzwonek, tak samo, jak pański przed chwilą. Nie zapalałam światła w korytarzu, bo kontakt jest z tamtej strony, podeszłam od razu do drzwi, otwieram, nagle ktoś krzyczy „a kuku!”, łapie mnie, obcałowuje, ledwo mu się wyrwałam i zaraz do kontaktu, światło się zapaliło. I da pan wiarę, co się okazało? Że był to listonosz, w mundurze, od pneumatyków; nie znał mnie osobiście, bo założyłam telefon i nie przychodzą tutaj żadne pneumatyki, wie pan, co on mi powiedział? Że zawsze raz do roku w okolicach Trzech Króli dostawał od hrabiny de Strogoff takie wspaniałe „cadeau”, liczył, że dziś też dostanie. Słyszał pan coś podobnego?”

Przeszliśmy z „panią Zofią” do saloniku i tam ją uspokajałem, oddając przesyłkę z Polski (była to puszka z kawiozem); skłamałbym, gdybym napisał, że to popołudnie spędziłem jedynie na rozmowie. Pojęcia nie mam, może miała coś w sobie atmosfera tych murów.



# Janusz Osęka

## SKRZYDŁA

Heldenmut w ekstazie spoglądał ku niebu przenosząc wzrok z chmurki na chmurkę, a kiedy otwierała się przestrzeń niebieska i nieskończona, szybował jeszcze wyżej tam, gdzie w nocy świecą gwiazdy.

- Zapuszczę skrzydła, Sabino - powiedział do żony.

- Tak jak się zapuszcza wąsy czy brodę? - spytała.

- Tak, mniej więcej - wyjaśnił pokrótce.

Ujął jej ręce w swoje dłonie i nie panując nad wewnętrznym wzburzeniem, mówił:

- Czy ty wiesz, co dla zatrudnionego przy dzienniku podawczym człowieka znaczy wzbić się w przestworza, rozpostrzeć skrzydła ponad dachami domów i uganiać się za jaskółkami? Dla mnie, Sabino, przywiązanego od dwudziestu lat do biurka, fruwanie stało się koniecznością!

Powiedziawszy, to, stanął przed lustrem, zdjął koszulę i chwyciwszy prawą ręką skórę na lewej łopacie naciągnął ją znacznie.

- Skóry starczy - stwierdził - musisz mi ją tylko rozwałkować, abym uzyskał potrzebną do formowania skrzydeł powierzchnię.

- Za stary jesteś na zapuszczenie skrzydeł - mitygowała ostrożnie. - Nie pofruniesz już daleko.

Spojrzał na nią z pogardą.

- Zapamiętaj sobie, że właśnie starzy czują najbardziej potrzebę latania. Młodzież nie zdaje sobie sprawy z braku skrzydeł.

Rozwałkowała mu plecy, skóry przybyło nieco, ale można było uformować z tego zaledwie niewielkie skrzydełka, jak dla ptaszka kiwi.

- Skrzydła usztywnimy teraz za pomocą wcierania wyciągu z fiszbinów - rzekł Heldenmut.

- Boję się, Karolku, że staniesz się aniołem - sarknęła żona.

Nagotował fiszbinów, precedził i tym naparem kazał sobie posmarować skrzydełka. Potem włożył na stołek i skoczył dla próby, jednak skrzydła nie odegrały właściwej roli. Zwicznął sobie nogę.

- Powierzchnia nośna za mała - skonstatował. - Trzeba nad tym dłużej popracować. Zapuścić skrzydła to nie to samo, co zjeść bułkę z masłem.

- Nie wiem, czy dobrze jest mieć męża sputnika - wahała się pani Heldenmut.

- Jesteś istotą przyziemną. Nigdy nie będziesz ptaszkiem, nigdy nie będziesz ćwierkać w szuwarach - wytykał jej Heldenmut nie przerywając pracy nad podręczną walcownią do rozciągania skóry na skrzydła.

A ona:

- Zniszczysz mi wyzymaczkę, Karolku...

Urzędując w biurze, Heldenmut rażno wciągał do dziennika korespondencję przychodzącą i wychodzącą, bo miał przed sobą przyszłość. Nawet w pochmurny dzień przez brudne szyby swego pokoju widział gwiazdy.

- Zmizerniał pan, panie Heldenmut - mówił naczelnik przypatrując mu się badawczo.

- Zapuszczam skrzydła. To duży wysiłek dla organizmu - tłumaczył skromnie.

- O! - dziwił się naczelnik, a z jego oczu biła troska. - „Żeby mi tylko nie poplamiał dziennika podawczego” - myślał skrycie.

Kiedy nikt z dyrekcji nie widział, koledzy przychodzili do niego z propozycjami:

- Przefruń na drugą stronę ulicy, Heldenmut! Przefruń chociaż korytarzem do ubikacji i z powrotem!

On nie dał się jednakże sprowokować.

- Poczekajcie jeszcze trochę - mawiał. - Trochę cierpliwości i zobaczycie!

Wracając do domu, zaczepiał sznurkiem wystające kielki skrzydeł, sznurek przekładał przez blok na

suficie i umocowując z drugiej strony sznura ciężarki, odtąd sypiał zawsze ze skrzydłami na wyciągu. Skrzydła powiększały się ciągle, a napar z fiszbinów wcierany systematycznie nadawał im coraz doskonalszą sztywność i elastyczność.

Pewnego dnia Heldenmut zadzwonił na lotnisko, zbadał warunki lotu i przyczepiając paczuszkę z drugim śniadaniem do guzika płaszcz oznajmił żonie.

- Dzisiaj lecę...

Otuliła mu szyję szalikiem, zapięła guzik pod brodą..

- Uważaj tam na meteoryty - zawołała za nim, gdy już był na schodach.

Heldenmut ruszył w kierunku placu, gdzie znajdował się kościół z najwyższą wieżą w mieście. Ludzie oglądali się za nim na ulicy przypatrując się odstającemu na plecach paltu: niektórzy litowali się myśląc, że to garb, życie bowiem nie dało im okazji do oglądania skrzydeł, garbatych zaś widzieli mnóstwo. Tyłka stojący w bramie osobnik, który obserwował ulicę przez wypaloną papierosem w gazecie dziurkę, domyślał się pod płaszczem Heldenmuta worka z kokainą, ponieważ za garby mu nie płacono.

Przed kościołem Heldenmut zatrzymał chwilę wzrok na ciężkich, kamiennych aniołach, przylepionych cementem do marmurowej ściany, i wszedł do środka, kierując się ku drzwiom prowadzącym na wieżę.

- Dokąd zdążasz, synu? - spytał go ktoś w półmroku.

- Idę na wieżę, żeby pofrunąć - odparł Heldenmut.

- Duszą?

- Nie. Ciałem.

- Ciałem nie sprostasz. Nie sprostasz - rzekł tamten, ale Heldenmut stapał już po kamiennych stopniach w górę.

Na placu przed kościołem zebrał się tłum, ściągnięty sensacyjną pogłoską. Wzniesione do nieba głowy wypatrywały na czubku wieży postaci, gotującej się do lotu. Heldenmut, balansując wśród pozłacanych aniołków i chimer, zdjął paltó, poprawił szalik i zaczepiwszy drugie śniadanie o guzik marynarki, rozpostarł ramiona.

Tłum znieruchomiał. Postać skoczyła, oderwała się od wieży i nagle tysiącom par zdumionych oczu ukazał się Heldenmut, szybujący nad wielkim placem w powietrzu. Z początku okrążył kilka razy gmach kościoła, potem przemknął koło stada gołębi, zatoczył jeszcze jedno koło, drugie, trzecie. Był taki moment, że przerażeni widzowie wydali okrzyk grozy: „Wpadł w korkociąg i spada!” Ale nie! Heldenmut pikował tylko wykonując skomplikowane salta, po czym jednym ruchem skrzydeł wyskoczył do góry, zwiększył szybkość i pomknął w przestworza.

Miasto szalało. Z domów, biur, urzędów, fabryk i instytucji wylegli wszyscy zapełniając ulice, skwery i place. Zadarte głowy spoglądały w niebo z ciekawością i podziwem. Tylko złodzieje kieszonkowi nie patrzyli do góry, lecz ocierając pot z czoła, pracowali ciężko, nauczeni pilności w twardej szkole życia.

W Ministerstwie Wojny nad ekranem stacji radarowej siedział sam marszałek, obserwując spod gęstych brwi ruchy Heldenmuta. Elektronowy mózg dokonywał samoczynnie pomiarów i przekazywał dane do Biura Studiów Badawczych sztabu generalnego. Prefektura policji otrzymała tajny rozkaz ostrego pogotowia. W ścisłych gronach sztabowców trwały poufne narady.

Tymczasem Heldenmut fruwał jeszcze w powietrzu może godzinę, może dwie, aż zmęczony, wylądował gdzieś w lasu pod miastem. Mimo strzykania w kościach, jakie odczuwał wskutek gwałtownych przeciągów panujących w górze, zadowolony z siebie podniósł kołnierz marynarki i poszedł piechotą do domu. Z radości zapomniał nawet o palcie, zostawionym na szczycie kościelnej wieży.

W mieszkaniu oczekiwało go dwóch panów w nieprzemakalnych płaszczach.

- Pan Karol Heldenmut? - spytał jeden z nich.

- Tak - odrzekł Heldenmut.

Pierwszy pan oglądał z uwagą półbuciki drugiego, drugi zaś nie odrywał wzroku od półbucików

pierwszego.

- Czy posiada pan zezwolenie na prowadzenie statków powietrznych? - zadali pytanie jednocześnie.

- Nie posiadam żadnego zezwolenia i statkami nie kierowałem. Chciałem pofruwać sobie tylko trochę, pościgać się z jaskółkami, szybować jak dumny orzeł. Wybaczcie mi tę niewinną tęsknotę zasiedziałego przy biurku kontysty! Zrozumcie mnie i oceńcie rzecz właściwie! - powiedział Heldenmut.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby rozumieć - rzekł człowiek w nieprzemakalnym płaszczu - lecz po to, aby sprawdzić zezwolenie, odnotować jego numer i datę wydania. Kierowanie statkiem bez zezwolenia oznacza przestępstwo z paragrafu 7 B aneksu karnego konwencji powietrznej z roku 1927 zawartej w Sao Paulo. Oto pozew do Trybunału Międzynarodowego w Hadze.

Położyli papier na stole i odeszli bez pożegnania. Heldenmut nie zdążył jeszcze przerazić się w pełni pozvem, kiedy do mieszkania wkroczyło dwóch ludzi w mundurach policji.

- Panowie - zaczął sam Heldenmut - nie mam zezwolenia, bo nie jestem statkiem. Chciałem sobie jedynie pofruwać, uganiając się za...

- Nie o to nam chodzi - oświadczyli policjanci. - Jesteśmy z Kompanii Ruchu Powietrznego. Latał pan bez przepisowych świateł, nie wysuwając strzałek na skrętach.

- Nie mam strzałek - tłumaczył Heldenmut.

- To jeszcze gorzej. Pojazd nie przystosowany do ruchu. Kto posługuje się takim pojazdem, musi liczyć się z wypadkami i śmiercią innych osób. Będzie pan odpowiadał za usiłowanie morderstwa. Proszę podpisać zeznanie.

Latający człowiek podpisał i poczuł się załamany. Dwóch innych panów w mundurach Korpusu Granicznego oskarżyło go o nielegalne przekroczenie granicy dźwięku.

- Człowiek nie może latać bezkarnie, Sabino - powiedział Heldenmut do żony.

Zniechęcony, zwinął skrzydła i poszedł do knajpki „Pod Starym Orłem”, aby tam, przy małym piwku, rozważyć, skąd weźmie pieniądze na adwokatów.

W traktierni nie zaznał samotności. Przysiadł się do niego mały człowieczek o bystrych oczach i dużych uszach.

- Kłopoty panie Heldenmut? - zagadnął z zawodową wprawą konfidencjonalnie.

- Pan mnie zna? - zdziwił się Heldenmut.

- Znać ludzi, to nasz zawód - wyznał człowieczek. - Pana czeka mnóstwo przykrych spraw. Kilkaset lat więzienia nie mija jak z bicza trzasnął...

- Kim pan jest? - spytał latający człowiek.

Malutki odwinął kłapę marynarki.

- Tajna policja. Napije się pan piwka?

Przynieśli piwko. Agent nachylił się nad stołem i szeptał:

- Porozmawiajmy jak dorośli ludzie, panie Heldenmut. Więzienie to nie pensjonat. Zapewne się pan tego domyśla, a ja na to mogę nawet dać panu słowo honoru. Jednak nie ma sytuacji bez wyjścia, kiedy ma się ludzi życzliwych. Chcemy panu pomóc. Wszystkie pana przestępstwa pójdą w niepamięć, do więzienia pana nie zamkną, sprawę zatuszujemy. Pan odwdzięczy się nam drobiazgiem: będzie pan podfruwiał do okien pewnych ludzi, patrzył, co robią i słuchał, o czym mówią...

- Mam być donosicielem? - oburzył się Heldenmut. - Nie!

- Niech pan się dobrze zastanowi, panie Heldenmut - szepnął mały człowieczek. - Tam nie znajdzie pan miejsca na fruwanie...

Uśmiechnął się i odszedł.

Mężczyzna w ciemnych okularach, który czekał na Heldenmuta przed „Starym Orłem”, mówił:

- Drugi oddział sztabu może pana wyciągnąć z biedy, o ile okaże pan wdzięczność. Pańskie skrzydła, wykorzystane właściwie, staną się dla pana początkiem kariery, bogactwem...

W domu czekało pismo z wojskową pieczęcią. Wezwanie na ćwiczenia dla zapasowych rezerwistów.

Za stołem dla komisji zgromadziło się wielu oficerów, cywilów i lekarzy w białych kitlach. Heldenmuta badano, mierzono, prześwietlano, macano mu skrzydła.

Rozmowy prowadzone były półgłosem, ale mimo to Heldenmut zdołał posłyszeć zdanie jakiegoś dostojnika w generalskim mundurze:

- Gdyby mu tak przyprawić atomową głowicę...

Drżąc ze zdenerwowania opuścił Heldenmut gmach komisji poborowej. Był blady, słaby i nie chciał już fruwać.

Z rozpaczą w duszy przestąpił próg zakładu fryzjerskiego.

- Ostrzyc? - spytał fryzjer.

- Nie. Zgolić - rzekł Heldenmut.

- Brodę?

- Nie. Skrzydła.

Fryzjer namydlił i zaczął ostrzyć brzytwę.

# Jeremi Przybora

## UPIORNY SYLWESTER

Na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej otrzymaliśmy z przyjacielem zaproszenie od hrabiego Ć. na przyjęcie sylwestrowe w jego dobrach Ż. Zaproszenie to, trzeba podkreślić, powitaliśmy niechętnie, ponieważ już wtedy poglądy nasze były postępowe, miejscami wręcz radykalne. Perspektywa spędzenia Sylwestra i kilku dni Nowego Roku w twierdzy feudalizmu, jaką były dobra Ż., nie nęciła nas zbyt. Jeżeli więc nie odrzuciliśmy zaproszenia, to tylko po to, by przy bazancie z różną czy kieliszku Xeresu nie szczędzić hrabiemu i jego zacofanemu, arystokratycznemu otoczeniu dowcipnych i zjadliwych, chociaż siłą rzeczy nie pozbawionych taktu, aluzji pod adresem ginącej kasty, jaką reprezentowali. Dlaczegoż bowiem mieliśmy się pozbawić okazji do podgryzania korzeni feudalizmu, nawet jeżeli miałyby one mieć smak bażanta?

Na stację N. przybyliśmy, mimo wyczerpującej podróży koleją, w doskonałych humorach, zaprawionych taką dozą sarkazmu, że pobyt nasz w dobrach Ż. upamiętniłby się na długo we wspomnieniach hrabiego C, gdyby okoliczności naszego spotkania z tym arystokratą nie przebiegły w sposób tak zdumiewający, jak to się okaże wkrótce z naszego opowiadania.

Przed stacją N. czekały na nas sanie, zaprzężone w dwa gniade folbluty. Bogato przez naturę wyposażone ogiery zdawały się być dwoma pegazami, schwytanymi w zdobne janczarami siatki przez poetę kozła i bicza, wiernego stangreta Nikodema. Oczywiście wiernego hrabiemu, nie nam. Ale czymże był zaprzęg i woźnica wobec zakutanej w dachy, szuby i lisiury pięknej hrabianki Fryderyki, która puszczała oto lekkie obłoczki pary z tylnego siedzenia sań, witając nas swym urzekającym uśmiechem. Miał ją hrabia z żony Włoszki, podobnie jak większość swych dzieci - z prawego łoża, co przypisywano głównie temu, że był mańkutom.

Po krótkich powitaniach ruszyliśmy w drogę bezkresną, śnieżną równiną tamtejszych połaci. A były to czasy kiedy zadymki grasowały bezkarnie po kraju, ponieważ meteorologia ówczesna nie stała jeszcze tak wysoko jak dzisiejsza. Toteż kiedy nagle twarz pięknej hrabianki zaczęła nam znikać z oczu w białym obłoku śniegu, zawołaliśmy z przyjacielem:

- Oho, zamieć! Dopieroż zbłądzimy!

Kiedy zamieć ustała, hrabianki Fryderyki nadal nie było widać, bo zapadł już zmrok sylwestrowy. Słyszeliśmy tylko, jak wierny Nikodem drapie się w głowę. Snadź nawet jego kocie oczy nie mogły rozeznąć się w obcej okolicy. Zacząłem sprawdzać po omacku, czy smukła arystokratka znajduje się nadal w saniach i odetchnąłem z ulgą, kiedy zostałem spoliczkowany. Była. Po chwili zresztą wykrzyknęła jakże naiwnie:

- O! Robaczki świętojańskie!

Ale to nie były robaczki. Z głębi otaczającego nas mroku świeciły oczy wilków. W tej samej chwili konie, rżąc chrapliwie, zerwały się do panicznego galopu, a my obaj rzuciliśmy się do broni, by prażyć z niej w krwawe płomyki wilczego głodu. Strzelaliśmy ogniem huraganowym. Odgłos naszych strzałów zwielokrotniała echem ściana pobliskiego lasu jakby kontrkanonadą. Światelka wilczych oczu gasły jedno po drugim, chociaż z całą otwartością stwierdzam, że nie strzelamy z przyjacielem celnie, czego przykrym dowodem okazał się w pewnej chwili brak stangreta Nikodema na kozle. Kiedy to stwierdziliśmy, przyjaciel w odruchu opiekuńczym objął natychmiast hrabiankę, która go też natychmiast spoliczkowała, a ja skoczyłem na kozła, by chwycić za lejce. Konie gnały jak oszalałe. Puściłem hrabiankę i strzelałem jakiś czas, aż do wyczerpania się amunicji. Kiedy to nastąpiło, pozostały jeszcze przy życiu dwa ogromne samce wilcze, które dognały nas i rzuciły się na cwałujące konie, pożerając je od zadów. W miarę jednak jak konie znikwały w paszczach wilków, wilki wprzęgły się w ich uprzęż. Już wkrótce mknęliśmy apokaliptycznym zaprzęgiem w dwa żarte, nażarte żertwą pożartych koni basiory.

Sytuacja była groźna i wymagała natychmiastowej decyzji. W rozpedzonych bestiach lada chwila mógł się zbudzić ponowny głód pod wpływem ruchu na świeżym powietrzu... A wtedy... Wyrzuciłem zemdloną od dawna hrabiankę z sań i sam wyskoczyłem, a przyjaciel poszedł w moje ślady. Niestety piękna Fryderyka zapodziała nam się w śniegu kopnym do tego stopnia, że nie sposób było nam ją odnaleźć. Próżno zanurzaliśmy dłonie w śnieżne zwały. Nikt nas nie policzkował. Smutni do ostateczności postanowiliśmy poniechać naszych bezowocnych wysiłków.

Kiedy rozejrzeliśmy się dokoła, spostrzegliśmy nagle w odległości około 100 metrów karczmę z oknami rozjarzonymi rześkim światłem. Kiedy wchodziliśmy na jej ganek, z wnętrza dobiegły nas ostatnie uderzenia zegara bijącego północ. Pchnęliśmy drzwi i znaleźliśmy się wśród bogatego tłumu sylwestrowego, wiwatującego na cześć Nowego Roku. Z tłumu wyłonił się hrabia C, z pucharem w dłoniach, a za nim hajduk z kielichami, przeznaczonymi dla nas. Hrabia powitał nas wprost wylewnie, ściskając nas i pojąc szampanem. Czuliśmy się skrępowani, bo w oczach stała nam żywo, martwa zapewne już, hrabianka Fryderyka. Ale kiedy Wkrótce i ją zobaczyliśmy wśród sylwestrowej cizby, opuściło nas skrępowanie. Rzuciliśmy się w wir cudownej zabawy, którą hrabia C, z tak wielkopańską fantazją zorganizował w starej, opuszczonej karczmie.

Zabawa trwała do świtu. Kiedy jednak zapały pierwsze kury, nagle znaleźliśmy się z przyjacielem sami w pustej, walącej się gospodzie. Wokół nie było żywego ducha. Ani hrabiego C. ani hrabianki, ani ich świty i gości...

Już następne dni przyniosły rozwiązanie tej zdumiewającej zagadki. Otóż zadymka sprawiła, że śpieszący nam na spotkanie kulig z hrabią C. na czele znalazł się za stadem goniących nas wilków. Kiedy zorientowali się w sytuacji, jednocześnie z nami zaczęli strzelać do drapieżników. To ich strzały braliśmy za echo naszych. Strzelali celnie i kładli wilki pokotem. My braliśmy nieco za wysoko. Strzały nasze przenosiły nad wilkami i... Jak już wspomnieliśmy, nie strzelamy z przyjacielem zbyt precyzyjnie, chociaż tym razem były to strzały niestety celne...

A jednak, kiedy nieświadomi niczego, bawiliśmy w karczmie na uroczysku z duchami hrabiego i jego świty, najmniejszą aluzją nie dali nam oni do zrozumienia, że to myśmy ich... jakby to powiedzieć... z broni palnej... Tak wychowani to byli ludzie!

Tym lepiej stało się, że i myśmy się powstrzymali od planowanych docinków pod adresem hrabiego C. Wobec ducha nie byłoby to w porządku, a już wobec ducha człowieka przez nas samych... „uduchowionego” - byłoby to zachowaniem się niżej wszelkiej krytyki.

# Bruno Schulz

## EMERYT

Jestem emerytem w dosłownym i całkowitym znaczeniu tego wyrazu, bardzo daleko posuniętym w tej własności, poważnie zaawansowanym, emerytem wysokiej próby.

Być może, że przekroczyłem nawet pod tym względem pewne ostateczne i dopuszczalne granice. Nie chcę tego zatajać, cóż w tym tak nadzwyczajnego? Po co robić zaraz wielkie oczy i patrzeć z tym obłudnym szacunkiem, z tą uroczystą powagą, w której tyle jest tajonej radości ze szkoły bliźniego? Jak mało ludzie mają w gruncie rzeczy najprymitywniejszego taktu! Takie fakty należy przyjmować z najzwyczajniejszą miną, z pewnym roztargnieniem i z błahością inherentną tym sprawom. Należy przechodzić nad tym lekko do porządku dziennego, nucąc sobie niejako coś pod nosem, tak jak ja nad tym lekko i beztrąsko przechodzę. Może dlatego jestem trochę niepewny w nogach i muszę stawiać powoli i ostrożnie stopy, stopa przed stopą, i bardzo uważać na kierunek. Tak łatwo jest zboczyć przy tym stanie rzeczy. Czytelnik zrozumie, że nie mogę być zbyt wyraźnym. Moja forma egzystencji zdana jest w wysokim stopniu na domyślność, wymaga pod tym względem wiele dobrej woli. Będę niejednokrotnie do niej apelował, do bardzo subtelnych jej odcieni, o które można się upomnieć jedynie pewnym dyskretnym mruganiem, utrudnionym dla mnie specjalnie z powodu sztywności maski odzwyczajonej od ruchów mimicznych. Zresztą nie narzucam się nikomu, daleki jestem od tego, żeby się rozplýwać z wdzięczności za azylum udzielone mi łaskawie w czyjejs domyślności. Kwituję z tej koncesji bez wzruszenia, chłodno i z zupełną obojętnością. Nie lubię, gdy mi ktoś wraz z dobrodziejstwem zrozumienia prezentuje rachunek wdzięczności. Najlepiej, gdy się mnie traktuje z pewną lekkością, z pewną zdrową bezwzględnością, żartobliwie i po koleżeńsku. Pod tym względem moi poczciwi, prości duchem koledzy z biura, młodszy koledzy z urzędu, utrafiliby ton właściwy.

Zachodzę tam czasami z przyzwyczajenia, około pierwszego każdego miesiąca, i staję cicho przy balustradzie czekając, aż mnie zauważą. Rozgrywa się wtedy następująca scena. W pewnej chwili naczelnik urzędu, pan Kawałkiewicz, odkłada pióro, daje oczyma znak urzędnikom i mówi nagle, patrząc mimo mnie w próżnię powietrza, z ręką przy uchu: - Jeśli mnie słuch nie myli, to to pan, panie radco, gdzie tu jest między nami w pokoju! - Jego oczy, utkwione wysoko nade mną w próżni, wchodzą w zez, gdy to mówi, twarz uśmiechnięta jest figlarnie. - Usłyszałem głos jakiś w przestworzach i zaraz pomyślałem sobie, że to musi być nasz kochany pan radca! - woła on głośno, z natężeniem, jakby do kogoś bardzo odległego. - Niechże pan zrobi jakiś znak, niech pan zmaci choć powietrze w tym miejscu, gdzie pan się unosi. - Wolne żarty, panie Kawałkiewicz - mówię mu cicho, prosto w twarz - przyszedłem po moją pensję. - Po pensję? - krzyczy Kawałkiewicz patrząc zezowato w powietrze - pan powiedział: po pensję? Pan żartuje, kochany panie radco. Pan już dawno skreślony jest z listy emerytalnej. Jak długo pan chce pobierać jeszcze pensję, łaskawy panie?

W ten sposób żartują sobie ze mnie w sposób ciepły, ożywczy i ludzki. Ta szorstka rubaszność, ten bezceremonialny chwyt za ramię sprawia mi dziwną ulgę. Wychodzę stamtąd pokrzepiony i rańniejszy i śpieszę prędko do domu, żeby zanieść do mieszkania trochę tego miłego wewnętrznego ciepła, które się już ulatnia.

Ale natomiast inni ludzie... Natrętne, nigdy nie wypowiedziane pytanie, które czytam ciągle w ich oczach. Niepodobna się od niego opędzić. Przypuśćmy, że tak jest - dlaczego zaraz te wydłużone miny, te uroczyste twarze, to cofające się niejako z szacunku milczenie, ta przestraszona oględność? Ażeby tylko ani słówkiem nie potrącić, przemilczeć delikatnie mój stan... Jakże przenikam tę grę! Nie jest to nic innego ze strony ludzi, jak forma sybaryckiego smakowania w sobie, delektowania się swoją na szczęście innością, maskowane hipokryzją gwałtowne odżegnywanie się od mojego stanu. Wymieniają wymowne spojrzenia i milczą, i pozwalają tej rzeczy w milczeniu się rozstać. Mój stan! Być może, że nie jest on

całkiem poprawny. Może jest w nim pewien nieznacznym mankament zasadniczej natury! Mój Boże! Cóż z tego? Nie jest to jeszcze powód do tej prędkiej i przerażonej ustępliwości. Nieraz zbiera mnie pusty śmiech, gdy widzę to nagle poważniejące zrozumienie, to skwapliwe uznanie, z jakim robią niejako miejsce memu stanowi. Jak gdyby to był argument zgoła nieodparty, ostateczny, bezapelacyjny. Dlaczego nalegają tak bardzo na ten punkt, dlaczego jest to dla nich ponad wszystko ważne i dlaczego daje im stwierdzenie tego tę głęboką satysfakcję, którą kryją za maską spłoszonej dewocji?

Przypuśćmy, że jestem, żeby tak rzec, pasażerem lekkiej wagi, w istocie ponad miarę lekkiej wagi, przypuśćmy, że wprawiają mnie w kłopot pewne pytania np.: jak stary jestem, kiedy obchodzę imieniny itp. - czy to jest powód, żeby nieustannie krążyć dookoła tych pytań, jak gdyby w tym tkwiło sedno rzeczy? Nie żebym się wstydził mego stanu. Bynajmniej. Ale nie mogę znieść przesady, z jaką wyogromniają znaczenie pewnego faktu, pewnego rozróżnienia, w istocie jak włos cienkiego. Śmieszy mnie ta cała fałszywa teatralność, ten uroczysty patos, jaki spiętrzone nad tą sprawą, to drapowanie momentu w kostium tragiczny, pełen ponurej pompy. Tymczasem w rzeczywistości? Nic bardziej pozbawionego patosu, nic bardziej naturalnego, nic banalniejszego na świecie. Lekkość, niezależność, nieodpowiedzialność... I muzykalność, nadzwyczajna muzykalność członków, żeby tak się wyrazić. Nie można przejść obok żadnej katarynki, żeby nie tańczyć. Nie z wesołości, ale ponieważ jest nam wszystko jedno, a melodia ma swoją wolę, swój uparty rytm. Więc ustępuje się. „Małgorzatko, skarbie mojej duszy...” Jest się za lekkim, zbyt nieodpornym, żeby się sprzeciwić, a zresztą w imię czego sprzeciwić się tak nieobowiązująco zachęcającej, tak bezpretensjonalnej propozycji? Więc tańczę, a raczej drepnę w takt melodii drobnym truchcikiem emerytów, podskakując od czasu do czasu. Mało kto to zauważa, zajęty sobą w bieganinie dnia powszedniego. Jednemu chciałbym zapobiec, by czytelnik nie robił sobie wygórowanych wyobrażeń o mojej kondycji. Przestrzegam wyraźnie przed przecenianiem jej i to zarówno in plus, jak też in minus. Tylko żadnej romantyki. Jest to kondycja jak każda inna, jak każda inna nosząca w sobie znamię najnaturalniejszej zrozumiałości i zwyczajności. Wszelka paradoksalność znika, gdy się raz jest po tej stronie sprawy. Wielkie otrzeźwienie - tak mógłbym nazwać mój stan, wyzbycie się wszystkich ciężarów, taneczna lekkość, pustka, nieodpowiedzialność, zniwelowanie różnic, rozluźnienie wszelkich więzów, rozprzęgnięcie się granic. Nic mnie nie trzyma i nic nie więzi, brak oporu, bezgraniczna swoboda. Dziwny indyferentyzm, z jakim przesuвам się lekko wskroś wszystkich dymensji bytu - powinno to być właściwie przyjemne - czy ja wiem? Ta bezdenność, ta wszędobylskość, niby to beztroska, obojętna i lekka - nie chcę się skarżyć. Jest taki zwrot: nie zagrzewać nigdzie miejsca. Oto jest właśnie - dawno przestałem już zagrzewać miejsce pod sobą.

Gdy z okna mego pokoju, wysoko położonego, patrzę na miasto, na dachy, ściany ogniowe i kominy w burym świetle jesienno-świtowego, na cały ten gęsto zabudowany krajobraz z ptasiej perspektywy, ledwo rozpowity z nocy, dzieńjący blade ku żółtym horyzontom, pokrajany na jasne strzępy przez czarne falujące nożyce krakania wroniego - czuję: oto jest życie. Każdy z nich tkwi w sobie, w jakimś dniu, do którego się budzi, w jakiejś godzinie, która do niego należy, w jakiejś chwili. Gdzieś tam w półciemnej kuchni gotuje się kawa, kucharka odeszła, brudny odblask płomienia tańczy na podłodze. Czas zmyłony ciszą odpływa na chwilę wstecz, poza siebie, i przez te nieliczone chwile rośnie z powrotem noc na falującym futerku kota. Zosia z pierwszego piętra ziewa długo i pręży się przeciągle, zanim otworzy okno do sprzątania, naspane obficie, nachrapane powietrze nocy leniwie wędruje do okna, przekracza je, wstępując powoli w burą i dymną szarość dnia. Dziewczyna zanurza ręce osiagliwie w ciasto pościeli, ciepłe jeszcze, nakisłe od snu. Wreszcie z dreszczem wewnętrznym, z oczyma pełnymi nocy wytrząsa przez okno wielką, obfitą pierzynę i lecą na miasto puszki pierza, gwiazdki puchu, leniwy wysiew rojeń nocnych.

Wtedy marzę o tym, żeby zostać roznosicielem pieczywa, monterem sieci elektrycznej albo inkasentem kasy chorych. Albo choćby kominiarzem. Rano, skoro świt, wchodzi się w jakąś bramę, lekko uchyloną, przy świetle latarki dozorczy, przykładając niedbale dwa palce do daszka, z żartem na ustach, i wkracza w



ten labirynt, ażeby gdzieś późnym wieczorem, na drugim końcu miasta go opuścić. Przez dzień cały przeprować się z mieszkania do mieszkania, prowadzić jedną niedokończoną, zawiłą rozmowę, od końca do końca miasta, rozdzieloną na partie między lokatorów, zapytać o coś w jednym mieszkaniu i otrzymać odpowiedź w następnym, rzucić w jednym miejscu żart i długo w dalszych zbierać owoce śmiechu. Wśród trzaskania drzwiami przeprować się przez ciasne korytarze, przez zastawione meblami sypialnie, przewracać nocniki, potrącać skrzypiące wózki, w których płaczą dzieci, schylać się po opuszczone grzechotki niemowląt. Ponad potrzebę długo zatrzymywać się w kuchniach i przedpokojach, gdzie sprzątają służące. Dziewczęta, uwijając się, prężą młode nogi, napinają wypukłe podbicia, grają, połyskują tanim obuwiem, stukocą luźnymi pantofelkami...

Takie są moje marzenia w nieodpowiedzialnych, zamarginesowych godzinach. Nie wypieram się ich, choć widzę ich bezsens. Każdy powinien znać granice swej kondycji i wiedzieć co mu przystoi.

Dla nas, emerytów, jest jesień na ogół niebezpieczną porą. Kto wie, z jakim trudem dochodzi się w naszym stanie do jakiej takiej stabilizacji, jak trudno właśnie nam, emerytom, uniknąć rozprószenia, zgubienia się z rąk własnych, ten zrozumie, że jesień, jej wichury, wzburzenia i konfuzje atmosferyczne nie sprzyjają naszej i tak zagrożonej egzystencji.

Są jednak w jesieni dni inne, pełne spokoju i zadumy, które są dla nas łaskawe. Zdarzają się niekiedy dni takie bez słońca, ciepłe, zamglone i bursztynowe na dalekich krawędziach. W przerwie między domami otwiera się nagle widok w głąb, na połąć nieba schodzącego nisko, coraz niżej, aż do ostatecznej rozwianej żółtości najdalszych horyzontów. W takich perspektywach otwierających się w głąb dnia wędruje wzrok jakby w archiwa kalendarza, jak w przekroju dostrzega nawarstwienia dni, nieskończone registry czasu, uchodzące szpalerami w żółtą i jasną wieczność. To wszystko spiętrza się i szereguje w płowych i zatraconych formacjach nieba, podczas gdy na pierwszym planie jest dzień obecny i chwila i rzadko kto podnosi wzrok ku dalekim regałom tego złudnego kalendarza. Pochyleni ku ziemi wszyscy dążą dokądś, wymijają się niecierpliwie i ulica porysowana jest całą liniami tych dążeń, spotkań i wymijań. Ale w tej luce domów, skąd wzrok ulatuje na cały dół miasta, na całą tę panoramę architektoniczną, przejaśnioną od tyłu smugą jasności, zanikającą ku mdłym horyzontom, jest przerwa i pauza w tym zgiełku. Tam na rozszerzonym i jasnym placyku rzną drzewo dla szkoły miejskiej. Stoją tam w czworokątach i kubach sagi zdrowego, jędrnego drzewa, topniejącego powoli, polano za polanem, pod piłkami i siekierami rębaczy. Ach, drewno, zaufana, pocziwa, pełnowartościowa materia rzeczywistości, na wskroś jasna i rzetelna, ucieleśnienie uczciwości i prozy życia. Jakkolwiek głęboko szukałbyś w najgłębszym jej rdzeniu - nie znajdziesz nic, czego by już na powierzchni nie wyjawiała po prostu i bez zastrzeżeń, zawsze równomiernie uśmiechnięta i jasna tą ciepłą i pewną jasnością swego włóknistego miąższu utkanego na podobieństwo ciała ludzkiego. W każdym świeżym przełomie rozłupanego polana ukazuje się twarz nowa, a wciąż ta sama, uśmiechnięta i złota. O, przedziwna karnacja drzewa, ciepła bez egzaltacji, na wskroś zdrowa, wonna i miła.

Prawdziwie sakramentalna czynność pełna powagi i symbolu. Rąbanie drzewa! Mógłbym godzinami stać tak w tej jasnej luce otwartej w głąb późnego popołudnia i patrzeć na te melodyjnie grające piły, na równomierną pracę siekier. Tu jest tradycja tak stara jak ród ludzki. W tej jasnej szczybie dnia, w tej luce czasu otwartej na żółtą i zwiędłą wieczność rzną się sagi bukowe drzewa od czasów Noego. Te same ruchy patriarchalne i odwieczne, te same zamachy i pochylenia. Stoją po pachy w tej złotej cieszności i wrzynają się powoli w kubiki i sagi drzewa, obsypani trociną, z maleńką iskierką refleksu w oczach, wrębiają się coraz głębiej w ciepły zdrowy miąższ, w litą masę, i mają za każdym łupnięciem złoty błysk w oczach, jak gdyby szukali czegoś w sednie drzewa, jak gdyby chcieli się dorębać złotej salamandry, piskliwego żyjątko ognistego, wciąż uciekającego w głąb rdzenia. Nie, oni po prostu dzielą czas na drobne polana, gospodarują czasem, zapełniają piwnice dobrą i równomiernie porzniętą przeszłością na zimowe miesiące.

Byłe przetrwać ten czas krytyczny, tych parę tygodni, wnet zaczną się już poranne przymrozki i zimna.

Jakże lubię ten wstęp do zimy, jeszcze bez śniegu, ale z zapachem mrozu i dymu w powietrzu. Pamiętam takie popołudnia niedzielne późną jesienią. Przypuśćmy, że cały tydzień przedtem padały deszcze, długa szaruga jesienna, aż wreszcie ziemia nasyciła się wodą i teraz zaczyna schnąć i matowieć na wierzchu, wydzielając krzepki, zdrowy chłód. Całotygodniowe niebo z powłoką chmur w łachmanach zgrabiono, jak błoto, na jedną stronę nieboskłonu, gdzie ciemniej stosami, fałdziste i pomięte, a od zachodu zaczynają przenikać powoli zdrowe, czerstwe kolory jesiennego wieczoru i zabarwiają chmurny krajobraz. I podczas gdy niebo przeczyszcza się powoli od zachodu, wydzielając przeźroczystą klarowność, idą służące odświętnie ubrane, idą trójkami, czwórkami, trzymając się za ręce, pustą, niedzielnie czystą i wysychającą ulicą pomiędzy domkami przedmieścia, kolorowymi w tej cierpkiej barwności powietrza, które kraśniej przed zmierzchem, idą smagłe i zaokrąglone na twarzy od zdrowego zimna i stawiają elastycznie nogi w nowym przyciasnym obuwiu. Miłe, wzruszające wspomnienie wydobyte z zakamarka pamięci!

Ostatnio chodziłem prawie codziennie do urzędu. Zdarza się czasem, że ktoś zachoruje i pozwalają mi na jego miejsce pracować. Czasem ktoś po prostu ma jakąś pilną sprawę na mieście i daje się zastąpić w pracy biurowej. Niestety, regularna praca to nie jest. Przyjemnie jest mieć, choć na parę godzin, swoje krzesło ze skórzaną poduszką, swoje lineały, ołówki i pióra. Przyjemnie jest być potrąconym albo i ofukniętym po koleżeńsku przez współpracujących. Ktoś zwraca się do człowieka, ktoś powie jakieś słowo, zakpi, zażartuje - i odkwita się na chwilę. Zahacza się człowiek o kogoś, zaczepia swą bezdomność i nicość o coś żywego i ciepłego. Ten drugi odchodzi i nie czuje mego ciężaru, nie zauważa, że mnie niesie na sobie, że pasożytuje przez chwilę na jego życiu..

Ale odkąd przyszedł nowy naczelnik biura i to się skończyło.

Siadam teraz często, jeżeli jest pogoda, na ławce, na małym skwerze, naprzeciw szkoły miejskiej. Z ulicy obok dochodzi stuk siekier rąbiących drzewo. Dziewczeta i młode kobiety wracają z targu. Niektóre mają poważne i regularnie zarysowane brwi i idą patrząc spod nich groźnie, smukłe i chmurne - anielice z koszykami pełnymi jarzyn i mięsa. Czasem przystają przed sklepami i przyglądają się sobie w szybie wystawowej. Potem odchodzą, rzuciwszy z góry dumny i musztrujący wzrok za siebie, na koniec własnego bucika. O dziesiątej godzinie wychodzi stróż na próg szkoły i krzykliwy dzwonek jego napełnia swym zgiełkiem ulicę. Wtedy wewnątrz szkoły zdaje się nagle wzburzać gwałtownym tumultem, o mało co nie rozsadzającym budynku. Jak gdyby zbiegowie, z tej powszechnej zamieszki wylatują jak z procy małe obdartusy z bramy, zlatują z wrzaskiem z kamiennych schodków, ażeby znalazłszy się na wolności przedsięwziąć jakieś niepoczytalne skoki, rzucać się w szalone imprezy zaimprovizowane na oślep, między dwoma łypnięciami oczu. Czasem zapędzają się w tych nieprzytomnych gonitwach aż do mojej ławki, rzucają w przelocie w moją stronę niezrozumiałe wyzwiska. Ich twarze zdają się wychodzić z zawiasów przy gwałtownych grymasach, które do mnie stroją. Jak stado zaaferowanych małą komentujących parodystycznie swe błazeńskie wyczyny - przelatuje ta gromada mimo, gestykulując z piekielnym wrzaskiem. Widzę wtedy ich zadarte i ledwo zaznaczone noski, nie mogące wstrzymać wycieku, ich usta rozdarte krzykiem i pokryte krostami, ich małe zaciśnięte pięści. Zdarza się, że zatrzymują się czasem przy mnie. Rzecz dziwna, biorą mnie za rówieśnika. Mój wzrost znajduje się od dawna w zaniku. Twarz moja, rozluźniona i zwiotczała, przybrała pozór dziecinnej. Jestem nieco zakłopotany, gdy tykają mnie bezceremonialnie. Kiedy mnie po raz pierwszy jeden z nich uderzył zniecka w pierś, potoczyłem się pod ławkę. Ale nie obraziłem się. Wyciągnęli mnie stamtąd błogo zmieszanego i zachwyconego tak świeżym i ożywczym postępowaniem. Ta zaleta, iż nie obrażam się za żadną gwałtowność ich impertycznego *savoir-vivre*'u zjednuje mi stopniowo mir i popularność. Łatwo się domyślić, że zaopatruję odtąd pilnie me kieszenie w odpowiednią kolekcję guzików, kamyków, szpulek od nici, kawałków gumy. Ułatwia to niezmiernie wymianę myśli i stanowi pomost naturalny w nawiązywaniu przyjaźni. Przy tym, pochłonięci rzeczowymi zainteresowaniami, mniej zwracają uwagę na mnie samego. Pod osłoną arsenału wydobytego z kieszeni nie potrzebuję się obawiać, by ich ciekawość i

wścibstwo stało się wobec mnie natarczywe.

W końcu postanowiłem wprowadzić w czyn pewną myśl, która mnie od pewnego czasu coraz uporczywiej nurtuje.

Był dzień bezwietrzny, łagodny i zamyślony, jeden z tych dni późnej jesieni, w których rok, wyczerpawszy wszystkie kolory i odcienie tej pory, zdaje się powracać do wiosennych rejestrów kalendarza. Niebo bez słońca ułożyło się w kolorowe smugi, łagodne warstwy kobaltu, grynszpanu i seledynu, zamknięte na samej krawędzi smugą czystej jak woda białości - kolor kwietnia, niewymowny i dawno zapomniany. Wdziałem najlepsze ubranie i wyszedłem na miasto nie bez pewnej tremy. Szedłem prędko, bez przeszkód, w zacisznej aurze tego dnia, nie zboczywszy ani razu z prostej linii. Bez tchu wbiegłem na kamienne schodki. Alea iacta est - powiedziałem do siebie, zapukawszy do drzwi kancelarii. Stałem w skromnej postawie przed biurkiem pana dyrektora, jak przystało w nowej mej roli. Byłem nieco zmieszany.

Pan dyrektor wyjął z oszklonego pudełka chrabąszcza na szpilce i zbliżył go ukośnie do oka, patrząc nań pod światło. Palce miał zawalane atramentem, paznokcie krótkie i płasko obcięte. Spojrzał na mnie zza okularów.

- Pan radca chciałby zapisać się do pierwszej klasy? - rzekł. - Bardzo chwalebne i godne uznania. Rozumiem, radca chcesz od podstaw, od fundamentów swą edukację odbudować. Zawsze powtarzam: gramatyka i tabliczka mnożenia oto są podstawy wykształcenia. Naturalnie nie możemy radcy traktować jako ucznia podlegającego przymusowi szkolnemu. Raczej jako hospitantą, jako weterana abecadła, żeby się tak wyrazić, który po długiej tułaczce zawiął niejako powtórnie do ławy szkolnej. Skierował swą skołataną nawę do tego portu, że się tak wyrażę. Tak, tak, panie radco, niewielu okazuje nam tę wdzięczność, to uznanie dla naszych zasług, by po wieku pracy, po wieku trudów powrócić do nas i osiąść już tu na stałe jako dobrowolny, dożywotni repetent. Pan radca będzie na wyjątkowych u nas prawach. Zawsze mówiłem..

- Przepraszam, - przerwałem mu - ale chciałbym nadmienić, że co do wyjątkowych praw, to zrzekam się całkowicie... Nie życzę sobie uprzywilejowania. Wprost przeciwnie... Nie chciałbym w niczym wyróżniać się, owszem, zależy mi na tym, żeby jak najbardziej zlać się, zaniknąć w szarej masie klasy. Cały mój zamysł chybiłby celu, gdybym w czymkolwiek był uprzywilejowany w porównaniu z innymi. Nawet jeżeli chodzi o karę cielesną - tu podniosłem palec - uznaję w zupełności zbawienny i umoralniający jej wpływ - zastrzegam się wyraźnie, by nie czyniono co do mnie pod tym względem żadnych wyjątków.

- Bardzo chwalebne, bardzo pedagogiczne - rzekł pan dyrektor z uznaniem. - Poza tym sądzę - dodał - że pańskie wykształcenie okazuje skutek długiego nieużywania w istocie już pewne luki. Oddajemy się pod tym względem zazwyczaj optymistycznym złudzeniom, które łatwo jest rozwiązać. Czy pan jeszcze pamięta na przykład, ile jest pięć razy siedem?

- Pięć razy siedem - powtórzyłem zmieszany, czując, jak pomieszanie, napływające ciepłą i błogą falą do serca, przesłania mgłą jasność mych myśli. Olśniony jak objawieniem własną ignorancją, zacząłem na wpół z zachwytem, że wracam rzeczywiście do dziecinnej nieświadomości, jąkać się i powtarzać: pięć razy siedem, pięć razy siedem..

- No widzi pan - rzekł dyrektor - najwyższy czas, żeby się pan zapisał do szkoły. - Potem, wzięwszy mnie za rękę, zaprowadził do klasy, w której odbywała się nauka.

Znowu jak przed pół wiekiem znalazłem się w tym zgiełku, w tej sali rojnej i ciemnej od mrowia ruchliwych głów. Stałem maleńki na środku, trzymając się poły pana dyrektora, podczas gdy pięćdziesiąt par młodych oczu przypatrywało mi się z obojętnością, okrutną rzeczowością zwierzątek, które widzą osobnika tej samej rasy. Z wielu stron wykrzywiano do mnie twarze, robiono miny w prędkiej zdawkowej wrogości, wystawiano języki. Nie reagowałem na te zaczepki, pomny na dobre wychowanie, które niegdyś odebrałem. Rozglądając się w tych ruchliwych twarzach, pełnych niedołączonych grymasów,

przypomniałem sobie tę samą sytuację sprzed pięćdziesięciu lat. Wtenczas stałem tak obok matki, podczas gdy ona załatwiała mą sprawę z nauczycielką. Obecnie zamiast matki pan dyrektor szeptał coś do ucha pana profesora, który kiwał głową i przypatrywał mi się z powagą.

- To jest sierota - rzekł wreszcie do klasy - nie ma ani ojca, ani matki - nie dokuczajcie mu zbyt.

Łzy zakręciły mi się w oczach przy tym przemówieniu, prawdziwe łzy rozczulenia, a pan dyrektor wsunął mnie, sam wzruszony, do pierwszej ławki.

Odtąd zaczęło się dla mnie nowe życie. Szkoła pochłonięła mnie od razu w zupełności. Nigdy za czasów mego dawnego życia nie bywałem tak zaabsorbowany tysiącem spraw, intryg i interesów. Żyłem w jednym wielkim zaaferowaniu. Nad moją głową krzyżowało się tysiące naj różnorodniej szych interesów. Przesyłano mi sygnały, telegramy, dawano znaki porozumiewawcze, psykano, mrugano i na wszystkie sposoby przypominano mi na migi tysiące zobowiązań, które zaciągnąłem. Ledwo mogłem doczekać się końca lekcji, podczas której z wrodzonej przyzwoitości wytrzymywałem ze stoicyzmem wszystkie ataki, ażeby ani słowa nie uronić z nauk pana profesora. Zaledwie rozległ się głos dzwonka, zwałała się na mnie ta rozwrzeszczana zgraja, opadała mnie z żywiołowym impetem, roznosząc mnie prawie na sztuki. Nadbiegali z tyłu poprzez ławki, dudniąc nogami na pulpitych, przesekaliwali mi nad głową, koziołkowali przeze mnie. Każdy wrzeszczał mi do ucha swoje pretensje. Stałem się centrem wszystkich interesów, najpoważniejsze transakcje, najzawilsze i naj drażliwsze afery nie mogły obejść się bez mego udziału. Chodziłem po ulicy otoczony zawsze hałaśliwą hałastrą gestykulującą gwałtownie. Psy wymijały nas z daleka z podwiniętymi ogonami, koty wskakiwały na dachy za naszym zbliżaniem się, a samotni malcy, napotkani po drodze, chowali z biernym fatalizmem głowę między ramiona, przygotowani na najgorsze.

Nauka szkolna nie straciła dla mnie nic na uroku nowości. Na przykład sztuka sylabizowania. Profesor apelował po prostu do naszej niewiedzy, umiał ją wydobywać z wielką zręcznością i sprytem, docierał w nas wreszcie do owej tabula rasa, która jest podłożem wszelkiego nauczania. Wypleniwszy w nas w ten sposób wszystkie przesady i nawyki, rozpoczął od podstaw naukę. Z trudem i natężeniem dukaliśmy melodyjnie dźwięczne sylaby, pociągając w pauzach nosem i wyciskając na książce palcem literę po literze. Mój elementarz nosił takie same ślady palca wskazującego, zagęszczone przy trudniejszych literach - co elementarze moich kolegów.

Pewnego razu, nie pamiętam już, o co poszło, wszedł pan dyrektor do klasy i wśród ciszy, jaka nagle zaległa, wskazał palcem na trzech spomiędzy nas, między nimi i na mnie. Musieliśmy natychmiast udać się z nim, do kancelarii. Wiedzieliśmy, czym to pachnie, i dwaj moi współwinowajcy zaczęli już z góry beczeć. Patrzyłem obojętnie na ich niewczesną skruchę, na zdeformowane nagłym płaczem twarze, jak gdyby z pierwszymi łzami zesza z nich maska ludzka i obnażyła bezkształtną miazgę płaczącego mięsa. Co do mnie - byłem spokojny, z determinacją natur moralnych i sprawiedliwych poddawałem się biegowi rzeczy, gotów ze stoicyzmem znieść konsekwencje mych czynów. Ta siła charakteru, wyglądająca na zatwardziałość, nie podobała się panu dyrektorowi, gdyśmy wszyscy trzej winowajcy stanęli przed nim w kancelarii - pan profesor asystował tej scenie z trzcina w ręku. Z obojętnością rozpiąłem pasek, ale pan dyrektor, spojrzawszy, zawołał: - Wstyd, czy to możliwe? W tym wieku? - i popatrzył zgorszony na pana profesora. - Dziwny wybryk natury - dodał z grymasem wstrętu. Potem, odprawiwszy malców, miał do mnie długie i poważne kazanie, pełne żalu i dezaprobaty. Ale nie rozumiałem go. Gryząc bezmyślnie paznokcie, patrzyłem tępo przed siebie i potem powiedziałem: - Plosę pana profesora, to Wacek pluł na bułkę pana pofesora. - Byłem już naprawdę dzieckiem.

Na gimnastykę i rysunki szliśmy do innej szkoły, gdzie były specjalne urządzenia i sale dla tych przedmiotów. Maszerowaliśmy parami, gadając zajadle, wnosząc na każdą ulicę, na którą skręcaliśmy, nagły zgiełk naszych zmieszanych sopranów.

Szkołą tą był wielki drewniany budynek przerobiony z sali teatralnej, stary i pełen przybudówek. Wnętrze sali rysunkowej podobne było do ogromnej łaźni, sufit podparty drewnianymi słupami, pod

sufitem biegła dookoła drewniana galeria, na którą wbiegliśmy od razu, szturmując schody, dudniące jak burza pod naszymi nogami. Liczne boczne ubikacje nadawały się doskonale do zabawy w chowanek. Profesor rysunków nie przychodził nigdy, dokazywaliśmy co niemiara. Od czasu do czasu wpadał dyrektor tej szkoły do sali, stawiał kilku najhałaśliwszych do kąta, nakręcał uszu paru najdzikszym, ale zaledwie odwracał się ku drzwiom. Już za jego plecami rósł na nowo tumult.

Nie słyszeliśmy dzwonka oznajmającego koniec nauki. Robiło się popołudnie jesienne, krótkie i kolorowe. Po niektórych chłopców przychodziły matki i uprowadzały opornych, łajac i bijąc. Ale dla innych i pozbawionych tak troskliwej opieki domowej dopiero wtedy zaczynała się właściwa zabawa. Dopiero późnym zmierzchem stary stróż, zamykając szkołę, przepędzał nas do domu.

Rano panowała jeszcze o tej porze gęsta ciemność, gdy wychodziliśmy do szkoły, miasto leżało jeszcze w głuchym śnie. Posuwaliśmy się omackiem z wyciągniętymi rękami, szeleszcząc nogami w suchych liściach, które zalegały stosami ulice. Idąc trzymaliśmy się ściany domów, ażeby nie zabłądzić. Niespodzianie w jakiejś framudze zmacywaliśmy ręką twarz kolegi idącego z przeciwnej strony. Ileż stąd było śmiechu, zgadywań i niespodzianek. Niektórzy mieli świeczki łojowe, zapalali je i miasto zasiane było wędrownkami tych ogarków, posuwających się nisko przy ziemi drżącym zygzakiem, spotykających się i przystających, ażeby oświecić jakieś drzewo, krąg ziemi, kupę zwiędłych liści, wśród których maleństwa szukają za kasztanami. Już też w niektórych domach zapalają się na piętrze pierwsze lampy, mętne światło wypada wyogromnione przez kwadraty szyb w noc miejską i kładzie się wielkimi figurami na płac przed domem, na ratusz, na ślepe fasady domów. A gdy ktoś, wzięwszy lampę do ręki, idzie z pokoju do pokoju - obracają się na dworze te ogromne prostokąty światła, jak karty kolosalnej księgi, i plac zdaje się wędrować kamienicami i przestawiać cienie i domy, jakby układał pasjansa z wielkiej talii kart.

Wreszcie dochodziliśmy do szkoły. Ogarki gasły, ogarniała nas ciemność, w której domacywaliśmy się naszych siedzeń w ławkach. Potem wchodził nauczyciel, zatykał świeczkę łojową do butelki i zaczynało się nudne odpytywanie słówek i deklinacji. W braku światła nauka pozostawała pamięciowa i werbalna. Podczas gdy ktoś recytował monotonie, patrzyliśmy mrużąc oczy, jak ze świecy wystrzelają złote strzały, pogmatwane zygzaki i płaczą się, szeleszcząc jak słoma, w zmrużonych rzęsach. Pan profesor rozlewał atrament do kałamarzy, ziewał, wyglądał w noc czarną przez niskie okno. Pod ławkami panował głęboki cień. Nurkowaliśmy tam, chichocząc, wędrowali na czworakach, obwąchując się jak zwierzęta, dokonywaliśmy po ciemku i szeptem zwykłych transakcji. Nigdy nie zapomnę tych błogich godzin przedrannych w szkole, podczas gdy za szybami robił się powoli świt.

Nastała wreszcie pora wichrów jesiennych. Owego dnia już rano niebo stało się żółte i późne, modelowane na tym tle w mętnoszare linie imaginacyjnych krajobrazów, wielkich i mglistych pustkowi, odchodzących perspektywicznie malejącymi kulisami wzgórz i fałdów, zgęszczających się i drobniejących aż daleko na wschód, gdzie urywało się nagle jak falisty brzeg ulatującej kurtyny i ukazywało dalszy plan, głębsze niebo, lukę przestraszonej bladeści, blade i przerażone światło najdalszej dali - bezbarwne, wodnistojasne, którym jak ostatecznym osłupieniem kończył się i zamykał ten horyzont. Jak na sztychach Rembrandta widać było za dni tych pod tą smugą jasności dalekie, mikroskopijne wyraźne krainy, które - zresztą nigdy nie widziane - podniosły się teraz zza horyzontu pod tą jasną szczeliną nieba, zalane jaskrawo-bladym i panicznym światłem, jak wynurzone z innej epoki i innego czasu, jak ukazany tęskniącym ludom tylko na chwilę kraj obiecany.

W tym miniaturowym i jasnym krajobrazie widać było z dziwną ostrością, jak wijącym się falistorem posuwał się tam ledwo dostrzegalny w tej dali pociąg kolei żelaznej, puszący się srebrnobiałą smuzką dymu, i rozplýwał się w jasnej nicości.

Ale potem zerwał się wiatr. Wypadł jak gdyby z tej jasnej luki nieba, zakołował i rozbiegł się po mieście. Był cały zrobiony z miękkości i łagodności, ale w dziwnej megalomanii udawał brutala i gwałtownika. Miesił, przewracał i męczył powietrze, że umierało z błogości. Nagle usztywniał się w

przestworzu i stawał dęba, rozpościerał się jak płótno żaglowe, ogromne, napięte, klaskające jak z bata prześcieradła, zadzierzgał się w twarde węzły, drżące od napięć, ze srogą miną, jakby chciał przytroczyć całe powietrze do próżni, ale potem wyciągał zdradliwy koniec i rozpuszczał tę fałszywą pętlicę i już o milę dalej wyrzucał ze świstem swe łąso, swój pętający arkan, który niczego nie chwycił.

A czego nie wyrabiał z dymem kominów! Biedny dym już sam nie wiedział, jak uniknąć jego łajna, jak uchylić głowę, na prawo czy na lewo, od jego ciosów. Tak panoszył się po mieście, jak gdyby raz na zawsze statuować chciał tego dnia pamiętny przykład bezgranicznej swej samowoli.

Od rana miałem przecucie nieszczęścia. Z trudem przeprowiałem się przez wichurę. Na rogach ulic, na skrzyżowaniu się przeciągów trzymali mnie koledzy za poły. Tak przeprowiałem się przez miasto i wszystko szło dobrze. Potem poszliśmy na gimnastykę do drugiej szkoły. Po drodze kupiliśmy sobie obwarzanki. Długi wąż par wkraczał, gęsto padając, przez bramę do wnętrza. Jeszcze moment, a byłbym ocalony, w pewnym miejscu, bezpieczny aż do wieczora. W konieczności mogłem nawet nocować w sali gimnastycznej. Wierni koledzy byliby mi towarzyszyli przez noc. Nieszczęście chciało, że Wicek dostał tego dnia nowego baka i puścił go z rozmachem przed progiem szkoły. Bak huczał, zrobił się zator koło wejścia, wypchnięto mnie poza obręb bramy i w tej chwili porwało mnie. - Drodzy koledzy, ratujcie! - zawołałem, już wisząc w powietrzu. Jeszcze ujrzałem wyciągnięte ich ręce i krzyżące, rozwarte ich usta, w następnej chwili machnąłem koziołką i wionąłem wspaniałą wstępującą linią. Już leciałem wysoko nad dachami. Lecąc tak bez tchu, widziałem oczyma wyobraźni, jak koledzy moi w klasie wyciągają ręce, strzygąc gwałtownie palcami, i wołają do nauczyciela: - Proszę pana profesora, Szymcia porwało! - Pan profesor spojrział przez okulary. Spokojnie podszedł do okna i osłaniając ręką oczy, wypatrywał uważnie horyzont. Ale mnie już nie mógł zobaczyć. Jego twarz w mdłym odbłasku płowego nieba zrobiła się całkiem pergaminowa. - Trzeba go skreślić z katalogu - rzekł z gorzką miną i poszedł do stołu. A mnie niosło wyżej i wyżej w żółte, niezbadane, jesienne przestworza.

# Anatol Stern

## WYWIAD

Wychodziłem właśnie z domu i bardzo się spieszyłem, gdy zbliżył się do mnie jakiś mężczyzna w średnim wieku, w okularach, z mocno wypchaną teką pod pachą.

- Mam przyjemność z panem...? (wymienił moje nazwisko). Pragnę panu zakomunikować, że Najwyższy zamierza udzielić panu wywiadu. No tak, Wszechmocny. Przed chwilą zapadła decyzja w tej sprawie.

Było to może trochę dziwne, ale wiadomość ta bynajmniej nie wydała mi się nieprawdopodobna. Raczej pochlebiła mi. Równocześnie jednak odczułem coś w rodzaju zażenowania: dlaczego właściwie ja, skoro mamy tylu znakomitych publicystów, tylu ludzi na wybitnych stanowiskach, zasługujących na to, aby...

Jak gdyby czytając w moich myślach, człowiek w okularach rzekł z pewnym zniecierpliwieniem:

- Chyba pan uświadomił sobie, że każdy z miliarda ludzi, do którego zwróciłbym się w tej sprawie, zadałby sobie to samo pytanie?... A co do stanowiska - przyzna pan, że wszystkie są tak nieskończenie małe wobec stanowiska, jakie zajmuje mój Pan... Zresztą, nie moją rzeczą jest wchodzić w szczegóły, ani badać, czemu wybór padł właśnie na pana. Powtarzam, taka zapadła decyzja. To chyba wystarczy.

Wyraz twarzy człowieka z teką był równie lodowaty, jak powietrze wczesnego ranka, którym oddychaliśmy; głos jego przypominał jedną z metod tybetańskiej medycyny: kłuł jak szpileczki. Wobec tego przeprowadziłem wywiad.

Nie mam prawa powtórzyć wszystkiego, co mi zakomunikowano, a szczególnie takich spraw, jak losy tej i innych części świata, ludzkości itd. Szereg innych rzeczy jednak, i to dość niepowszednich - owszem, te pozwolono mi ujawnić. A więc to np. że ów Czynniki Najwyższy nie jest zwolennikiem filozofii materialistycznej, co nie oznacza jednak bynajmniej, aby był entuzjastą filozofii idealistycznej - po prostu dlatego, że obie mieszczą się poza Jego koncepcją rzeczywistości. Jeśli chodzi o sprawy ludzkie, to stara się nie ingerować w nie, wychodząc z założenia, że byłoby to ograniczeniem wolnej woli człowieka.

Bardzo zmieszany, wybąkałem coś na temat trudności, jakie ma ludzkość w swej walce o sprawiedliwość, o szczęście. Wspomniałem nawet o miłości bliźniego, podziwiając w duchu swą własną przebiegłość. W odpowiedzi usłyszałem:

- Nie bądź maksymalistą, mój synu. Lojalność, lojalność - to najzupełniej wystarczy, aby być zbawionym. Nie żądam rzeczy niemożliwych, mój synu.

Były to ostatnie słowa wywiadu.

Racja, omal bym nie zapomniał. Pozwoliłem sobie zwrócić uwagę (tam, na górze) na niezwykłość całej tej sprawy. Trochę zacinając się, dałem do zrozumienia, że wywiad mój może być potraktowany jako zwykła mistyfikacja. Uwaga moja wywołała życzliwy uśmiech Stwórcy. - To słuszne, mój synu - rzekł. - Niechże pan przekaże kilku osobom wiadomość (tu wymieniono nazwiska, przy czym niektóre wywołały me zdumienie), że dziś właśnie urodziło się dziecko płci męskiej, które dokładnie za trzydzieści sześć lat, w roku dwutysięcznym, zostanie Przewodniczącym zjednoczonych państw globu ziemskiego.

Podano mi nazwisko rodziców i dokładny adres. Ukończywszy wywiad, nie zwlekając wysłałem pod wskazanym adresem ozdobną depezę gratulacyjną. Kto wie, z czasem może się to przydać.

# Artur Marya Swinarski

## STRACHY NA STRYCHU

Spośród przyjaciół mego dzieciństwa najmilej wspominam jednego, któremu na imię Duduś.

Dudusia chowano sposobem wypróbowanym i praktycznym. Gdy nie chciał jeść zupy cebulowej, której nie lubił, wówczas mama uciekała się do szantażów.

- Jeżeli nie zjesz zupki, to mamusia zachoruje i tatuś zachoruje, i babcia po mieczu, i dziadzius po kądzieli, i ciocia Maria Terenia, i kucharcia... Więc łyżeczkę za zdrowie mamusi. Nie płacz. Łyżeczkę za zdrowie tatusia...

Wprawdzie przy toaście na cześć cioci Marii Tereni Duduś regularnie wymiotował i chorował potem przez trzy dni, ale cel został osiągnięty: bo i mamusia, i tatuś, i babcia po mieczu, i dziadzius po kądzieli, a także ciocia Maria Terenia cieszyli się doskonałym zdrowiem.

To był sposób mamy Dudusia. Natomiast tata Dudusia miał fantazję.

- Jeżeli nie zjesz zupy, to przyjdzie po ciebie taki pan, co ma tylko jedno oko na czole, ale za to po sześć palców u każdej ręki i u każdej nogi. Nazywa się Babok. Bierze niegrzeczne dzieci i przemienia je w koty. Ma u siebie już pięć tysięcy dwieście siedemnaście kotów i karmi je li tylko samą zupą cebulową.

Tak przemawiał tata, gdy na obiad była zupa cebulowa.

A wieczorem przemawiał w ten sposób nad łożeczką Dudusia:

- Jeżeli natychmiast nie zaśniesz, to ta wypchana sowa, co stoi na szafie, sfrunie z szafy - o, widzisz? Już mrugnęła lewym okiem... i porwie cię z łożeczka, i wyleci z tobą przez okno, i zanieś cię... Spisz? Nie jeszcze? Czemu płaczesz? Płacz, to może prędzej zaśniesz... Tak, i poniesie cię sowa na komin fabryki drożdży, i tam będziesz siedział do końca życia...

A podczas przechadzki tata mawiał do Dudusia w ten sposób:

- Jeżeli się będziesz rozglądał po krajobrazie, czyli pejzażu, to ci się główka wykręci do tyłu i już tak zostanie.

Nawet gdy Duduś zachowywał się nienagannie, tatę ponosiła czasem fantazja.

- Bądź zawsze grzeczny i posłuszny jak teraz, bo jeżeli nie będziesz grzeczny, to zamknę cię wieczorem na strychu. A tam straszy. Wiesz, jak wygląda taki strach? Nie wiesz? To czemu płaczesz? Otóż strachy bywają rozmaite. Małe strachy i duże strachy. Najpierw przychodzą małe strachy na gęsich nóżkach; zamiast włosów mają na głowie płomyki i palą niegrzeczne dzieci. To boli, ale nie zabija. Potem przychodzą duże strachy. Mają długie cętkowane ogony i tymi ogonami biją niegrzeczne dzieci, a na koniec robią im w głowie taką maleńką dziurkę i wypijają mózdzek...

W ten sposób chowany, wyrósł Duduś na układnego, zamkniętego w sobie i kochającego samotność dwunastolatka. Pewnego dnia zrobiwszy rewizję swego dotychczasowego życia, doszedł do przekonania, że odziedziczył po ojcu fantazję. Postanowił ją wypróbować. Wpadł do pokoju taty i zapytał:

- Tatusiu, czy ciocia Maria Terenia rzeczywiście przed rokiem umarła?

- Pogódź się z tym, moje dziecko, ale umarła. Przecież byłeś na jej pogrzebie.

- Hm...

- A dlaczego pytasz?

- Bo ciocia Maria Terenia wcale nie umarła. Siedzi na strychu i robi na drutach.

- Co ty pleciesz, Dudusiu?

- Siedzi na strychu. Właśnie stamtąd wracam, bo mi uciekł gołabek. Ciocia Maria Terenia siedzi na belce pod samym dachem, w tej lila sukni, cośmy ją w niej pochowali, i robi na drutach stryczek z zielonej włóczki.

- Ależ Dudusiu, cóż to za żarty?



- Jeżeli tatuś nie wierzy, to możemy pójść razem na strych i pokażę tatusiowi ciocię Marię Terenię. Ładnie wygląda, tylko źle pachnie, i takie małe żabki wyskakują jej z ust. Powiedziała: „Chyba się powieszę na tym stryczku z zielonej włośzki. Bo tak bardzo chciałam mieć nagrobek z różowego granitu, twój tata mi go obiecał, ale nagrobka jak nie ma, tak nie ma...”

Tata spojrział mętnym wzrokiem na Dudusia, zarumienił się i westchnął. Od tej godziny zapanował lęk w rodzinie Dudusia. Wszyscy prócz Dudusia rozmawiali po cichu. Nikt prócz Dudusia nie miał apetytu. A ciocia Maria Terenia miała za dwa tygodnie nagrobek z różowego granitu.

Duduś udzielił rodzicom trzydniowego wypoczynku. Po czym zapytał przy obiedzie, który się zaczął od zupy cebulowej:

- Tatusiu, czy koty mogą przemawiać ludzkim głosem?
- Tylko w bajkach.
- A na strychu nie?
- Nie stawiaj głupich pytań.
- To dlaczego w takim razie Mruczek dzisiaj przemówił do mnie ludzkim głosem?
- Ależ Dudusiu, przyśniło ci się.
- Tak. Widocznie mi się przyśniło. A powiedz mi, tatusiu, kto to jest Stefcia Malinowska?
- Co ci do tego?
- Bo mi się też przyśniła. Na strychu. Właściwie to nie ona. Tylko ten kot, co mi się przyśnił, przemówił ludzkim głosem: „Biada temu domowi, biada! Stefcia Malinowska sprowadzi nieszczęście na twoją rodzinę, Dudusiu. Obym się nie był nigdy narodził w tym domu i na tym strychu. Oby mnie były psy rozszarpały na pierwszej mojej przechadzce. Dlaczego muszę dożyć tej godziny, w której Stefcia Malinowska wygasi płomień waszego ogniska domowego?”

Mama zerwała się z krzesła:

- Dudusiu, idź pobawić się z kolegami. Mam tacie coś do powiedzenia.

Duduś wyszedł. Stefcia Malinowska wyleciała z kancelarii taty.

Po miesięcznej przerwie powiedział Duduś pewnego razu:

- Mamusiu, dlaczego dziaduś po kądzieli teraz tak często wchodzi na strych?
- Co mówisz, na strych?
- Tak. Chodzi po strychu i udaje, że mnie nie widzi. Ja mówię: „Dziadusiu po kądzieli, co tu robisz?” A on nic, tylko swoje: „Pająki, do mnie! Ja wasz król i pan. Musicie mi utkać złotą sieć, bo chcę w nią chwycić muchę Amarylis...” Potem wyjął zapałki i zaczął opalać pajęczynę.

- Straszne! Może powstać pożar. A dziaduś przecież taki rozsądny...
- I jaki dobry, mamusiu. Za każdym razem, gdy mnie posyła po zapałki albo po benzynę, daje mi dwa złote na cukierki, bylebym tylko nic o tym nie mówił mamusi ani tatusiowi.

Wieczorem, gdy dziaduś po kądzieli mocno zasnął po sporej dawce bromu, zaaplikowanej mu w grzanym piwie przez tatę i mamę, zrobiono rewizję w pokoju dziadka po kądzieli. Sześć paczek zapałek i cztery butelki benzyny stały tam, gdzie je schował Duduś. Za tydzień dziaduś po kądzieli zamieszkał w Powiatowym Szpitalu dla Umysłowo Chorych.

A za trzy miesiące były imieniny mamy Dudusia i zaproszono dwanaście osób na obiad. Duduś musiał jeść w kuchni. Ale gdy towarzystwo było już przy deserze, Duduś nagle wszedł do jadalni i położył na stole dobrze zakonserwowany szkielet dziecięcej rączki.

- Tatusiu, może byśmy to pochowali w święconej ziemi?
- Faj! Obrzydliwość! Gdzie to znalazłeś, Dudusiu?
- Na strychu. Wystawała z tej dużej skrzyni z pościelą. Chciałem podnieść wieko, by ją wsunąć z powrotem, ale za ciężkie i rączka została mi w ręce.

W jadalni zapanowała cisza i tortu nie tknięto. Cztery panie i jeden pan wyszli natychmiast. Jedna panna zemdląła. A reszta towarzystwa po krótkiej naradzie postanowiła udać się na strych. W skrzyni z

pościelą znalazł istotnie szkielecik dziecięcy.

Gdy goście w milczeniu rozeszli się, Duduś zaproponował:

- Tatusiu, jeżeli mi kupisz rower, to pochowam szkielecik w święconej ziemi.

Duduś owinał szkielet papierem i odniósł go z powrotem do gabinetu przyrodniczego w naszym gimnazjum.

Dom rodziców Dudusia opustoszał od tego dnia, goście obchodzili go z daleka. Ale Duduś kochał samotność i wycieczki na rowerze.

Został samotny do dziś. Nie ożenił się. Od czasu do czasu spotykamy się na naszych starokawalerskich przechadzkach. Raz go nawet odwiedziłem. A było to tak.

W dzień wigilijny rano Duduś zadzwonił:

- Mam do ciebie drobną prośbę. Jesteś literatem, więc się na tych sprawach znasz. Chcę rodzicom kupić jakiś drobiazg na Gwiazdkę. Najchętniej książkę. Może „Dziada i babę” Kraszewskiego, w ozdobnym wydaniu, z obrazkami. To byłoby bardzo stosowne. Sam nie mam czasu za tym latać. Proszę cię, załatw mi to.

Obiecałem. Szukałem. Kupiłem „Dziada i babę”, z drzeworytami Bartłomiejczyka, i przed wieczorem poszedłem do Dudusia.

Na kanapie siedzieli rodzice bladzi i wystraszeni. Duduś układał na talerzyku małe żabki z marcepanu.

- To dla naszych bocianów - objaśniał - niech i one wiedzą, że dzisiaj Gwiazdka.

- Dudusiu! W grudniu bociany?

- Widzisz, bo to nie są zwyczajne bociany. To, że się tak wyrażę, bociany-upiory. Na dachu mieliśmy bocianie gniazdo.

Podczas operacji wojennych odłamek bomby zniszczył gniazdo i zabił całą rodzinę: starych i trzy młode bocianięta. Ale że były do nas przywiązane, więc po śmierci zamieszkały na strychu w charakterze duchów. Widuję je czasem. Są zupełnie jak żywe, tylko całkiem białe. I tak dziwnie kłękają. O! właśnie zaczynają znów. Słyszysz?

- Nie. Słyszę natomiast, że ktoś dzwoni.

- Ach, to tylko tatuś i mamusia dzwonią zębami.

Dodał szeptem.

- Są jeszcze w dobrej formie. Zaraz zobaczysz.

I chyłkiem za plecami rodziców otworzył spore pudełko, z którego wyskoczył tuzin białych myszy. Zaczęły biegać po pokoju, po choince i po rodzicach Dudusia.

Mama ożywiła się.

- Myszy... myszy...

- Co mamusia mówi? Myszy? A może białe?

- Białe - szepnęła mama.

- Białe - szepnął tatuś.

- Widzicie białe myszy? Ciekawe... Tak, tak - to tak zwana halucynacja. To się zdarza u ludzi nadużywających alkoholu. Ale takie objawy towarzyszą także daleko posuniętemu uwiądowi starczemu.

A gdy zauważył, że mysz wśliznęła się tatusiowi do rękawa, dodał:

- Halucynacje wzrokowe to jeszcze pół biedy. Gorzej, gdy się zdarzają halucynacje dotykowe. O, wtedy to już amen...

Tata i mama zaczęli podrygiwać na kanapie.

- Tylko proszę, mamusiu, grzecznie. Tatusiu, siedź spokojnie. Widzicie, że mamy miłego gościa. Opíše was w gazetach. A jeżeli nie będziecie grzeczni, zamknę was na strychu. Tam straszy. Wiecie, jak wyglądają strachy? Nie wiecie? To czemu płaczecie? Otóż strachy bywają rozmaite. Są małe strachy i duże strachy. Wpierw przychodzą te małe...

Wyszedłem, by się nie spóźnić na wigilię.



# Jerzy Szaniawski

## LUNAPARK

Młode towarzystwo wracało samochodem do miasta: dorastający chłopiec, niewiele starsza odeń siostra i jej koleżanka. Szofer poznał w idącym naprzeciw automobilu - „maszynę, która pobiła rekord czasu” i poinformował młodych sportsmenów o tej marce. Szofer nie wiedział, że jadący z nim syn właściciela limuzyny pobija w tej chwili również „rekord czasu”. Bo oto chłopiec zwierza się towarzyszkom, iż jazda samochodem już go trochę nuży... Samochodem jeździ robotnik w Ameryce... Należałoby wrócić do spacerów pojazdem zaprzężonym w konie... Tu należy zaznaczyć, że ojciec wykwintnego młodzieńca należał do ludzi tzw. prostych, którzy się „dorobili”. A więc syn stał się w bardzo krótkim czasie arystokratą.

Również do kaprysów arystokratycznych należało żądanie chłopca, aby szofer zatrzymał samochód przed bramą parkanu zamiejskiego ogródka, gdzie wielkie litery objaśniały - „Lunapark”. Znaczyło to, że młodzież chce na chwilę zabawy ludowej, prymitywnej. Szofer nie rozumiał tu finezji: spojrzawszy pytająco, zdziwiony. Panienki przyjęły projekt pójścia do lunaparku ze zbyt głośnym, jak się zdawało chłopcu, entuzjazmem. Entuzjazmować się nie ma powodu... Chłopiec był trochę zdetonowany zdziwieniem szofera. Objaśniać tego człowieka, że jest się zmęczonym nadmiarem kultury, to jakoś trudno tak w kilku słowach... A z drugiej strony bał się, żeby szofer nie pomyślał o jakimś szydle wychodzącym z worka, czy podobnie trywialnym przysłowiu. Ten strach przed opinią szofera rzucał pewien cień na bezpośredniość gestów arystokratycznych.

Weszli za bramę. Drzewka, stoliki, piwo, menażeria. Muzyka, śmiechy, karuzela. Panoptikum i labirynty lustrzane.

Nie opodal wejścia stała „wróżka-automat”. Za nikłową monetę wyrzucała kartkę z wydrukowaną przyszłością. Gdy młode towarzystwo zbliżało się do automatu, z porad sztucznej wróżki korzystała blada, chorowita dziewczyna. Odczytywała uważnie wyrzuconą kartkę; wierzyła w napisane. Będzie się trzymała ściśle rad z tej kartki: oczekuje dziewczynę szczęśliwa przyszłość przy boku szlachetnego i bogatego mężczyzny; nie należy tylko wierzyć szatynce, która się mianuje jej przyjaciółką, a jest fałszywa. Dziewczyna zapomina o doktorze z Kasy Chorych, co każe jej dużo przebywać na słońcu i przychodzić do poradni przeciwgruźliczej, gdzie dają tran i mleko. W tej chwili myśli o szlachetnym i bogatym mężczyźnie, z którym będzie szczęśliwa „przy jego boku”. Stosunek młodzieży z samochodu do sztucznej wróżki jest zupełnie inny. Przede wszystkim wybitnie ironiczny. Rzucono monetę dla fraszki, dla igraszki. Siostra młodzieńca, odczytawszy kartkę, powiedziała: „to jednak ciekawe... każe strzec się podróży wodą... a miałam przecież wypadek, że wypadłam z łódki... dobrze, że było płytko...” Drugą kartkę zaczęła czytać koleżanka. Znalazła również dla siebie coś ciekawego: cyfrą fatalną jest dla niej osiemnastka. Tak mówi kartka... I rzeczywiście tak jest: wymieniła trzy osiemnastki w różnych miesiącach, które jej nie przyniosły szczęścia. Odczytywał teraz na głos swoją kartkę chłopiec. Kartka mówiła o miłości ku dziewczynie, co ma jasne włosy i niebieskie oczy; z jej strony jest żywe, choć ukryte, wzajemne uczucie. Zostało to przyjęte śmiechem trojga młodych. Śmiechem głośnym, maskującym zawstydzenie. Bo koleżanka siostry właśnie tak wyglądała, a chłopiec się w niej kochał. Niejasne jeszcze uczucie, tajemnice, rzeczy niedopowiedziane, zostały wyrażone po raz pierwszy wyraźniej, głośniejszym. Po tym śmiechu ogarnął ich troje jakby zabobonny strach, że automat odgaduje różne sprawy ich życia. Przez chwilę byli jak ta mizerna dziewczyna, która w „to” wierzy. Zapomnieli, iż należy mieć uśmiech ironiczny. Ocknęli się, poszli dalej. Właścicielka strzelnicy zaprasza: „Kto trafi pięć razy - za szósty nie płaci!”. Zachęczone tym dziewczęta zaczęły strzelać. Celowały z flowerów do malowanego koguta - trafiały w boczną ścianę. Nie opodal strzelnicy stała szopka drewniana z napisem „Teatr”. Przed teatrem wyczekiwał gości człowiek z upudrowaną twarzą w kostiumie pajaca. Człowiek ten był pewno

dyrektorem teatru, aktorem, kasjerem, a zarazem żywą reklamą. Przez uchyloną zasłonę widziało się salkę pogrążoną w mroku i staroświeckie kinkiety, rzucające światło na kurtynę. Na kurtynie pięknie wymalowano rozchyłoną kotarę, co odsłaniała zielony widoczek, a widoczek zdobiło coś greckiego. Stała tam budka suflera w kształcie wielkiej muszli.

Panny ogarnięte jakimś sadyzmem próbowały uśmiercić koguta - towarzysz ich zapatrzył się w głąb teatrzyku. Ta głąb rzucała czar, ciągnęła ku sobie. Może dlatego, że ojciec młodzieńca bywał niegdyś w takim teatrze, bił mocno brawo, śmiał się do rozpuku, lub płakał jak bóbr; widział tam radości i smutki karykatur jaskrawo ubranych, ale były to naprawdę radości i smutki jego. I w synu, na chwilę, odezwała się zdolność chwycenia czarów tego teatru; na chwilę - bo zaraz stosunek jego się zmienił: stosunek ten był teraz chłodny, choć życzliwy; protekcyjny i pobłażliwy. Chłopiec już wiedział, że tam na scenie będą rzeczy naiwne. Już widział sztywne kukiełki, a nie - dusze ludzi.

I była chwila, gdy dyrektor teatru pod pierwszym spojrzeniem chłopca znalazł się jak w jasnym kręgu światła, odmłodniał, wypiękniał, ale gdy spojrzano nań „życzliwie”, przygasnął, postarzał, zmałał.

Chłopiec zaproponował paniom, aby poszły z nim do tego teatru. Ale dziewczęta, ujrawszy karuzelę, powiedziały, że teraz chcą się przejechać. Chciały wrażeń silniejszych, zabawy weselszej, chciały tego, co jest w strofie - „Jeśli jechać to już sanna...”

Na drewnianych konikach siedziało dużo amazonek i kawalerów. „Okropna hołota” - pomyślał chłopiec, ale zaraz myśl swoją nastawił na nutę - „jeśli tańczyć to do rana!” Towarzystwo trojga młodych wynalazło jeszcze trzy koniki i dosiadło je ze śmiechem. Był to znów ten śmiech dla widzów, śmiech wyższości, w którym krył się strach, aby to bractwo z karuzeli nie myślało, że się istotnie dobrze bawią.

W środku karuzeli stał człowiek, który manipulował coś przy motorze. Karuzela ruszyła, jeden z jeźdźców, człowiek w tym towarzystwie najstarszy i widocznie trochę pijany, zawołał do mechanika:

- Panie elektrotechnik! Czy za pogrzebem jedziemy?!

Towarzystwo zrozumiało, na czym polega dowcip: to znaczy, że jadą zbyt wolno. Towarzystwo głośno się śmiało. Ale mechanik umiał się odciąć:

- Nie za pogrzebem, ale i nie do ognia.

Nie podobała się ta odpowiedź najstarszemu jeźdźcowi. Czuł się w opinii towarzystwa - pokonany. Nie dał jednak za wygraną: rzucił banknot mechanikowi i krzyknął:

- Jedź pan na osiemnastkę!

Prawdopodobnie amator szybkiej jazdy znał pewne tajemnice mechanizmu: widocznie były tam „numery”, według których regulowało się szybkość.

Jechali na osiemnastkę. Jeżeli przedtem można było nazwać jazdę - truchcikiem, to teraz nagle przeszli w galop. Podobało się: bractwo zawyło z zachwytu. Podniecony jakby owacją dla siebie fundator rzucił znów monetę mechanikowi, krzyżąc:

- Dwadzieścia jeden!

Prawdopodobnie był to najwyższy numer - jakieś „sto kilometrów na godzinę”. Mechanik nastawił na „dwadzieścia jeden”, ale coś się widocznie w tych numerach popsuło, bo zaczęli kołować, jakby na czterdziesty pierwszy, a może i na setny pierwszy.

Była to już jazda szalona. Wiatr świszczął koło uszu, bił w oczy, rozszerzał piersi - kołowali coraz szybciej i szybciej. Zniknęły typy, zniknęły kolory, zniknął konik-człowiek, tylko szare wielkie koło krążyło pod daszkiem karuzeli. Obłąkany niemal z przerażenia mechanik nie mógł zahamować maszyny. Zaczęli się zbiegać widzowie, zebrał się tłum. Cichły muzyki z różnych bud, tylko mechaniczny instrument, uzależniony od tempa jazdy karuzeli, huczał i dzwonił, zwabiając pozostałych ludzi z kątów lunaparku.

W tłumie widzów były i dziewczyny jaskrawo ubrane i biały pajac-dyrektor, ale jakby zszarżeli wszyscy, jeden drugiego nie widział - wpatrzni w szaloną, śmiertelną jazdę, oczekujący na straszną chwilę.

Mechaniczny instrument w karuzeli zaczął grać jakby wolniej i ciszej. W pędzącym szarym kole widziało się coś jak kolory, kształty - potem można było już odróżnić - co człowiek, co konik, co mężczyzna, co kobieta. Jakby prąd ulgi wionął łagodnie na zmęczony tłum. Zrozumiano, że karuzela zwalnia. Tłum zaszemrał, a potem wydał okrzyk radosny. Muzyka umilkła - koniki stanęły. Jeźdźcy nie ruszali się ze swych miejsc. Przyrosli do koni, drewniani, zda się, jak one - patrzyli przed siebie rozszerzonymi oczyma. Jakby widzieli coś, co jest daleko...

Pajac-dyrektor teatru odezwał się pierwszy: „Byli już na tamtym brzegu”... Tłum widzów zrozumiał, że - mówiąc prościej - jeźdźcy widzieli śmierć. I jeszcze są wpatrzeni w jej obraz.

Czy wszyscy widzieli „na tamtym brzegu” rzeczy jednakowe? Mówią, że to zależy od człowieka, co „tam” dojrzeć można. Ale być może, że wszyscy zobaczyli - jedno. Jeżeli tak - to wykwintna młodzież uczestniczyła w zabawie naprawdę demokratycznej.

# Julian Tuwim

## CUD Z KOMORNIKIEM

Upał był piekielny. Ze spopielającego nieba waliło, jak z piekarni, suchym, złowrogim żarem, niby natchnionym gniewem ognia przeciw rodzajowi ludzkiemu. Oazą w całym mieszkaniu był kąpiel, w którym stały dwa chłodne fotele skórzane tzw. klubzesle, niski stolik, na nim woda z lodem i cytrynowym sokiem. Bezwładnie, niemal nirwanicznie drzemałem, pogrążony w marzeniu o burzy i deszczu, o nawałnicy i potopie. I oto rozwścieczone z żaru niebo zaczęło się chmurzyć, sinieć, liliowieć, coś zaczęło pomrukiwać i odgrażać się pod zziąjanym stropem i zawiąło pierwszą od tygodni zapowiedzią burzy. Odetchnąłem. W tej samej chwili zadzwonił ktoś. Wstałem z fotela, szczęśliwy, lżejszy, pełen radosnego oczekiwania na bliską ulewę. Otworzyłem drzwi. Wszedł jakiś starszy jegomość - czerwony, spocony, zdyszany, z teczki pod pachą i papierkiem w ręku. Wszedł i powiedział:

- Z urzędu skarbowego.

Huknął grom i grube krople powoli, jeszcze bez przekonania, bębnić zaczęły w szybę. Co za szczęście! Deszcz!

- Bardzo szanownego pana proszę! Niech pan pozwoli! Ale żar, co? Pan ledwo dyszy. No, ale dzięki Bogu, mamy deszcz. Proszę tutaj, na prawo.

Płonący, ciężko dyszący, ociekający potem komornik rozejrzał się po pokoju. Następnie powiedział:

- Mam tutaj tytuł wykonawczy... Pan nie zapłacił jeszcze podatku docho...

Przerwałem mu najuprzejmiej.

- Przede wszystkim niech pan będzie łaskaw się napić i odpocząć. Niech się pan napije wody z lodem i cytryną. To bardzo orzeźwia.

Spojrzał na mnie nieufnie i skończył rozpoczęte zdanie.

- ... dochodowego za rok 1933.

Po niebie skakały pioruny, jak młode konie po łące. Deszcz padał strumieniami i od otwartego okna ciągnęło nieopisaną świeżością i chłodem. Boże, jaki ja byłem szczęśliwy!

Niech pan siądzie. A napój świetny, prawda? Mój przyjaciel Kazio dolewa jeszcze czerwonego wina. Wtedy, mówię panu, nektar! Szkoda, że nie mam w domu wina. Ale jest arak. Świetnie!

Skoczyłem do kredensu, wyjąłem butelkę i dolałem do lodowatej wody trochę aromatycznego araku.

- Teraz niech pan spróbuje!

Komornik wypił, podziękował, ale widziałem, że mu się to wszystko nie podoba.

- Tu jest tak: 620 złotych plus 10 procent dodatku nadzwyczajnego, plus...

Deszcze pluskał, aż serce rosło!

- Nie ma pan pojęcia - powiedziałem - do jakiego stopnia ubóstwiałem deszcz. Zazdroszczę Noemu potopu! Niech pan pomyśli, panie egzekutorze: czterdzieści dni ulewy! Skwar, przyznam się panu, działa na mnie rozklejająco. Gubię się w gorącu. Za to deszcz, te srebrne strugi z nieba budzą we mnie jakąś rzeźkość, młodzieńczość, radość i po prostu entuzjazm! Czy da pan wiarę, że w zeszłym roku...

Komornik popatrzył spode łba, chrząknął, przerywając moje radosne wywody i rzekł:

- Plus suma kar za zwłokę do dnia 10 lipca br. Razem...

- Tak jest - wtrąciłem szybko. - Otóż w zeszłym roku w ciągu jednego deszczowego tygodnia napisałem blisko dwadzieścia utworów lirycznych, przez całą zaś resztę upalnego lata - dwa czy trzy. Nie wiem, czy pan czytał te wiersze? „Woda z nieba” - taki jest tytuł tomu. Zarzucają mi wpływ Paula Valéry. Śmieszne! A propos: co pan sądzi o tym poecie?

I nalałem mu drugą szklankę zimnej wody z aromatycznym arakiem. Komornik znowu chrząknął i wycedził:

- To, proszę pana, nic do sprawy nie ma. I w ogóle muszę panu powiedzieć, że zachowanie pańskie

jest raczej niestosowne. Jakieś żarciki, uprzejmości... To mi wygląda na kpiny.

Zrobiłem wielkie oczy i rzekłem:

- Ależ, panie egzekutorze! Dlaczego kpiny? Dlaczego żarciki? Jestem po prostu w świetnym nastroju, a będąc w ogóle człowiekiem uprzejmym, prowadzę z panem miłą rozmowę i na tym koniec. Dlaczego żarciki?

- Dlatego, że pan mnie chce zagadać. Ale my się na tym znamy, panie.

Niebo szalało. Wszystkie prysznice, natryski, fontanny, krany, sikawki i inne wodotryski przeniosły się na niebiosa i tryskały taką rześką obfitością, że ulicami płynęły wzburzone rzeki. Szalałem ze szczęścia.

- I dlatego - ciągnął komornik - wypraszam sobie wszelkie „Wody z nieba” i Walerego, a zawiadamiam pana, że należy się razem złotych 776 i groszy 48.

Zacząłem szybko liczyć:

- Siedem i siedem czternaście - i sześć - dwadzieścia - i cztery - dwadzieścia cztery - i osiem - trzydzieści dwa. Świetnie! Szczęśliwa liczba. Czy pan wierzy w mistykę liczb? Ja specjalnie lubię czwórkę i wszelkie wielokrotne od niej, dlatego liczba 32 jest mi specjalnie bliska. Uczony niemiecki Bischoff w dziele „Die Magie der Zahlen” powiada, że...

Czerwony do niedawna komornik zzieleniał i trzasnął ręką w stół:

- Powiedziałem już panu, żeby mi głowy nie zawracać! Tutaj żadnej magii, panie, nie ma. Należy się 776 złotych i 48 groszy. Płaci pan?

Zamilkłem. Przez kilka chwil hipnotycznie wpatrywałem się w oczy komornika, wreszcie cicho i dobitnie szepnąłem:

- Płacę.

Komornik widocznie nie dosłyszał, bo powiedział:

- Pytam się wyraźnie, po polsku, czy pan płaci?

- A ja odpowiadam wyraźnie, po polsku: Tak!

- Jak to?

- No zwyczajnie. Należy się 776 złotych i 48 groszy, pan przyszedł po tę sumę, a ja panu ją wypłacam.

Lipy, czeremchy, akacje, jaśminy, bzy, maciejka, lewkonia, róże - wszystko najwonnejsze zespoliło się w jeden słodki, świeży aromat i pełną, upojną falą biło z otwartego okna. Zieleń lśniła, cała w klejnotach deszczowych kropel. O, jakże mi było dobrze!

Komornik skręcał się na fotelu.

- Panie Szumski - krzyknął - jeżeli pan w tej chwili nie przestanie żartować, będzie pan odpowiadał za obrazę urzędnika! Pytam się po raz ostatni: płaci pan?

Spokojnie, z niewysłowionym uśmiechem, wyjąłem z szuflady 776 złotych i 48 groszy, położyłem na stole i rzekłem:

- Płacę. Oto są pieniądze.

Olbrzymi łuk tęczy spiał zenit nieba z centrum ziemi (sic!).

Komornik wciągnął głowę między ramiona i przez zaciśnięte zęby syczał:

- Dossyć! Dossyć!

Przyznam się, że mrowie strachu przebiegło mi po plecach na ten widok.

- Co się stało? - wybełkotałem. - Dlaczego pan się tak trzęsie, panie egzekutorze?

Za oknem, było już cicho i pogodnie, świeżo i przewiewnie. Ale za to w pokoju wybuchła burza.

- Dlaczego?! - ryczał komornik - dlaczego?! Bo jak pan śmie? Kto pana upoważnił? Pan myśli, panie Szumski, że panu tak bezkarnie wolno drwić z biednego, steranego ciężką pracą komornika?

- Kto drwi, najmilszy? Skąd takie posądzenie?

- Jak to? - wył - jak to? Przychodzę - wita mnie pan wesoło, z uśmiechem, z szatańską uprzejmością! Prosi pan, żebym usiadł! Częstuje mnie pan orzeźwiającym napojem, którego tak bardzo byłem spragniony, mówi pan ze mną o jakichś wierszach - dobrze, wszystko zniosłem, bo myślałem, że mnie pan



chce zagadać. Ale po tym wszystkim - pan płaci! Pan doprawdy płaci! Żywą gotówką! Bez prośb o rozłożenie na raty, o przesunięcie terminu, o zwłokę choćby dwutygodniową! Płaci, bezczelny! Płaci, zbrodniarz! Na stół kładzie pieniądze! Dwadzieścia trzy lata jestem komornikiem i nikt mnie jeszcze tak okrutnie nie potraktował! Szumski jesteś? Bydlę jesteś! Na kolana! Błagaj, proś, tarzaj się! W tej chwili zaproponuj że wpłacisz dziś sto złotych, a resztę w ratach miesięcznych.

Klęcząc, krzychałem:

- Nie. Zapłacę dziś wszystko co do grosza! Może pan pozwoli cygarko, panie egzekutorze!

Wtedy - czy z apokaliptycznego sufitu strzelił straszliwy grom? Nie! To był krzyk komornika, który padł, rażony Piorunem Dziwu.

I w tej samej chwili wytrysnęły mu z ramion białe, anielskie skrzydła, wyfrunął przez okno, i wzniósł się, biedny i umęczony, na wysokości Twoje, o Wiekuisty!

Daj mu miejsce po prawicy tronu swojego.

Ja zaś, śledząc lot jego w lazury, piję arak, już bez wody, i pełną pierśią chłonę ozon z odrodzonego po burzy świata.

# Zbigniew Uniłowski

## BURLESKA

Milong otworzył szafę, aby wyjąć z niej getry: wewnątrz stały zwłoki jego ulubionej ciotki - Morfyny. Zadziwiony Milong wyjął getry nie ruszając nieboszczki - zamknął drzwi szafy, nucąc i - przyozdobiwszy lakierki bielą getrów pikowych, - wyszedł z pokoju.

„Uśmiech Krytyka” - kawiarnia poetycka oddalona była o jedną „pieśń Don Kichota” Elzenberga od domu Milonga. Zmówiwszy ją, stanął Milong przy wejściu do kawiarni i obejrzał się smutno poza siebie: był lipiec; różnokolorowe tramwaje i automobile sprawiały wrażenie leniwych żuków i rześkich mrówek, łączących między olbrzymimi źdźbłami trawy - drapaczami chmur. Obok Milonga przechodził właśnie tłusty, zielony kot, wlokąc za skrzydło wystraszonego gila; Milong przeprosił kota, odebrał mu gila i puścił w powietrze, po czym wszedł do wnętrza „Uśmiechu Krytyka”.

Przy stolikach siedzieli senni poeci, obmawiając swoich przyjaciół; otulały ich gorące spojrzenia kolorowych, gadatliwych papug - Żydówek. Milong uściśnął czyjąś chłodną - bardzo chłodną rękę, minął grupę malarzy śpiewających lubieżne piosenki i podszedł do stolika, gdzie siedziała para kochanków: poza miłością zajmowali się pożyczaniem pieniędzy i nieoddawaniem ich; byli różowi i piękni - ocieniała ich wielka popielata palma.

- Tssi, Milong! - wykrzyknął kochanek - co widzę - zmieniłeś guziki u marynarki: ech, ty - elegancie niepoprawny. Wspaniale wyglądasz.

- Pan ma oczy, ach, co za oczy - jakie feralne ma pan oczy - pan musiał być kiedyś niezwykle fotogeniczny, panie Milong. - To powiedziała kochanka.

- No, głupstwo - doprawdy - odparł Milong, patrząc z dumą na swe guziki - cóż to oczy - pozwólcie mi usiąść i odetchnąć nieco - oh joj; męczą mnie ptaki i drzewa też, w ogóle - wiecie - natura.

Siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie przyjaźnie, po chwili Milong powiedział, patrząc tajemniczo na kochanków:

- Zdaje mi się, że mam jakieś zmartwienie. W pewnej chwili podszedł do nich właściciel chłodnych rąk (nie dobre ręce), przywitał się z kochankami i zapytał, czy nie widzieli Hirza. - Nie, nie widzieli. - Więc chłodnoręki odchodzi.

- Dobra to rzecz, takie ręce na upał - zauważyła kochanka.

Kochanek zwrócił się gwałtownie do Milonga:

- Co to, co to - gniewasz się z Pytardem? - boście się nie witali.

- Ależ nie, skądże - witaliśmy się w przejściu - gdzież tam gniewamy się - wprost przeciwnie; bardzo go lubię i szanuję.

- Lubisz go, co ty pleciesz? - No, to pożycz mi - dla niego - piątkę.

Milong wyjął zniechęconym ruchem monetę i podał ją kochankowi. Zapytał:

- Czy dawno nie było deszczu?

- Oj, dawno - odparła żywo kochanka - dawno nie było i nie wiadomo kiedy będzie, żyjemy w takich dziwnych czasach. - Ale pan, panie Milong, wydaje mi się jakiś senny - ach! - ale, w sprawie snu. Pan lubi sny? Jakie ja miałam sny, no niech pan tylko posłucha, wczoraj był taki. Funia nie było na noc w domu i sama sobie tak śniłam - no, niech pan posłucha.

- Słucham, tiak, no?

-. Idę zieloną łąką po tłustej i wysokiej trawie; w pewnym miejscu rośnie wielkie drzewo - nie pamiętam jakie, ale mniejsza z tym. - Otóż położyłam się w cieniu tego drzewa i zasypiam - a potem budzę się: uważa pan, śni mi się przebudzenie, hę. - Koło mnie leży jakiś wojskowy. - Funiek, nie krzyw się tak, nie do twarzy ci z tą zazdrością - otóż leży ten wojskowy; twarzy jego nie widzę, bo jest odwrócony; ma on piękne, falujące blond włosy - Funiek! rękaw od mundura ma podciągnięty wraz z

koszulą tak, że ręka jego jest goła aż po łokieć - otóż z przegubu dłoni wyrastają mu porzeczki i ja je jem, lecz na miejsce zjedzonych wyrastają nowe i tak długo się nimi objadam, aż mnie zaczyna brzuch boleć. A potem wojskowy odwraca się w moją stronę i okazuje się, że to mój mąż. Pamiętasz go, Funiek? Zaczyna mnie bić - Funiek, nie denerwuj się, to tylko sen! - uważa pan, nawet we śnie mnie bije - i nie jest to wcale wojskowy - zwyczajny jego mundur kolejarski; no, niech pan powie sam, czy ja nie jestem nieszczęśliwa... - I kochanka zaczyna płakać.

Milong robi minę, jakby wachał powietrze, uspakaja ją, a ona mówi dalej przez łyzy: - Widzi pan... naprzeciwko kanapy... na której zwykle... po południu leżę trochę, wisi portret ojca mojego męża, był to... bardzo mądry człowiek i ja... stawiam mu różne pytania, na które... on kiwa głową... tak albo nie... kiedyś gdy go zapytałam... czy jestem głupia... kiwnął głową, że tak... ojoj... nhuuu... no niech pan powie, czy ja nie jestem nieszczęśliwa? huuuuu...

Kochanek pocałował ją głaskać po głowie i mówił: - No, no, nie płacz, Piziu, bo ludzie pomyślą, że to z powodu stanu materialnego, no przestań. Widzisz, kochany Milong, co to z tymi kobietami? - straszne.

- Proszę nie płakać, pani Piziu - niech pani przyjdzie kiedy do mnie, to panią zahipnotyzuję od płaczu.

Ale Pizia dalej płakała i rozweselony Milong patrzył na jej łyzy z czułością. Raptem jednak twarz jego spochmurniała, zerwał się z krzesła i powiedział: - Ach, racja! - żegnam was - muszę wyświetlić sprawę śmierci mojej ciotki - przyjdź pani, to panią zahipnotyzuję - po czym szybko wybiegł, zostawiając za sobą zapach kopru.

W domu Milong zdjął spodnie, umył ręce, następnie otworzył drzwi szafy. Nikogo tam nie było. Milong wrzasnął tak, jak gdyby był kotem i jak gdyby mu kto na ogon nastąpił, po czym wskoczył pod łóżko w poszukiwaniu ciała nieboszczki. Ani śladu. Ponieważ poza szafą i łóżkiem nie było miejsca, gdzieby się zwłoki schować mogły, więc zrezygnowany Milong usiadł na łóżku i zaczął wspominać ciotkę: - Pocziwa niewiasta, miała felery - to prawda, ale przecież kobieta. - Kto mnie teraz, u pioruna, będzie masował? - Pech. - Ale mawiała, miała przecucie: jak ja kiedyś umrę, to zobaczysz, Milażek. No, i miała rację - umarła, a ja już cierpię. Gdzież ona poszła do diabła? - Co za niespokojny trup.

Milong położył się na łóżku i zaczął płakać - już miał zasnąć, gdy raptem w drzwiach stanęła - no, kto stanął? - Morfina.

- Co to! - ciocia istnieje?!

- Aha.

- Jak to, aha - przecież martwe ciało cioci znalazłem dwie godziny temu w tej oto szafie.

- Złotko, ono nie było martwe - ja zasnęłam. - Tak, zasnęłam - szafa to jedyne miejsce, gdzie nie ma much.

- Mój Boże, i po co ja płakałem - już się oswoiłem ze śmiercią cioci - a tu masz - taki zawód. Proszę o nierobienie mi na przyszłość takich kawałów.

# Andrzej Warchał

## WODA

- Przekłete lodowce - powiedział płynący crawllem. - Nie miały kiedy stopnieć. I to wszystkie na raz.
- Nie narzekaj - odezwał się płynący obok. - Zawsze lubiłeś podróżować.
- Ale nie w taką pogodę. Od kilku dni już leje. Cały jestem przemoczony.
- Dla mnie to bez znaczenia - powiedział płynący na boku. - Zawsze lubiłem deszczową wiosnę.
- Po czym poznajesz, że mamy teraz wiosnę?
- Jak to? Nie widzisz? Glony się zazieleniły. Właśnie jesteśmy nad Ameryką.
- A to skąd znowu wiesz?
- Woda tu inna.
- Można by przesłać pozdrowienia.
- Jak nie przesyłaliśmy będąc nad Azją, to lepiej teraz też nie przesyłajmy.

Przez jakiś czas płynęli szybciej, ale w końcu zwolnili.

- Zjadłbym coś - odezwał się po chwili pierwszy. - Pora na śniadanie.
- Czy ja ci bronię? Nie widziałeś jak wieloryby to robią?
- Dobrze ci mówić. Masz głębie dwa razy większą i zawsze ci więcej wpłynie.
- To sobie ją natnij i schowaj ten widelec, bo ci go wyrzucę.
- Kiedy u nas wszyscy jedli widelcem. To rodzinne.
- W takim razie i tak ci jednego brakuje. Zamknij się wreszcie, bo mi plankton sprzed nosa płoszysz.
- Tak się zastanawiam - powiedział jeszcze płynący crawllem. - Zostało nas dwóch. Jak my się będziemy rozmnażać?

- Co ci też przyszło do głowy?
- Kiedyś w końcu trzeba zacząć o tym mówić.
- No, może przez pączkowanie. Albo ja wiem... przez podział.
- To znaczy, kto ma się podzielić?
- Dziel się! - powiedział płynący na boku. - Ja płynę.

Przez chwilę zbierali myśli.

- Słuchaj - powiedział płynący na boku. - Trzeba tu zacząć gruntować. Pod nami winny być Kordyliery.

Podniósł rękę do góry i znikł pod powierzchnią wody. Nie było go dłuższą chwilę, aż wreszcie, krztusząc się, wypłynął.

- Nic z tego - powiedział zdyszany. - Gruntu tu nie ma.
- Może akurat trafiłeś na dolinę? - zauważył płynący crawllem.
- Kiedy macałem wokół nogami i nic. Widocznie te góry są za niskie. Płyniemy nad Himalaje.

# Maciej Zembaty

## LADY MACZEK

Nie mam telewizora i dlatego na telewizję chodzę zwykle do sąsiadów. Do niedawna interesujące mnie audycje oglądałem u mieszkających na tym samym pięttrze państwa Maczek, młodego, sympatycznego bezdzietnego małżeństwa. Pan domu pracował jako referent w pewnej Poważnej Instytucji, jego żona zajmowała się gospodarstwem domowym. Oboje lubili moje wizyty, a ja również przychodziłem do nich z prawdziwą przyjemnością. Niestety, w zeszłym miesiącu państwo Maczek przeprowadzili się do innej dzielnicy, do lepszego, większego mieszkania, w związku z nagłym awansem referenta Mączka na stanowisko dyrektora Poważnej Instytucji. Przyznam się, że kiedy dowiedziałem się o tym, byłem zaskoczony i dosyć długo nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób do tego wszystkiego doszło.

Ponieważ państwo Maczek wyprowadzili się, musiałem poszukać sobie innego telewizora i wkrótce znalazłem go u sąsiada z trzeciego piętra, pana Bańko. Pan Bańko już za pierwszym razem przyjął mnie gościnnie. Przy okazji porozmawialiśmy sobie troszeczkę i dowiedziałem się, że mój gospodarz jest również referentem w pewnej Poważnej Instytucji i obecnie stał się podwładnym dyrektora Mączka, choć jeszcze niedawno był jego kolegą. Poprosiłem więc pana Bańko, żeby opowiedział mi, w jaki sposób skromny referent został dyrektorem. Oto, co usłyszałem:

- Kiedyś, po zebraniu, postanowiliśmy razem z Maczkiem, tak dla hecy, pójść do Cyganki. Właściwie to nigdy w żadne wróżby nie wierzyliśmy, ale coś nas podkusiło. Ledwo weszliśmy, a Cyganka już od progu mówi:

- Witaj, naczelniku Maczku!

On na to, że jest tylko referentem.

- Byłeś referentem - powiada Cyganka. - Jesteś naczelnikiem, będziesz dyrektorem!

Maczek wyjął pięćdziesiąt złotych, bo mu w końcu dobrze powróżyła, wtedy Cyganka podeszła do mnie i mówi:

- Ty, Bańko, dyrektorem nigdy nie będziesz, ale twoje dzieci będą dyrektorami.

Chociaż gorzej mi powróżyła, też jej dałem pięćdziesiąt i wyszliśmy. A następnego dnia, zaraz rano, dyrektor Felisiak wezwał Mączka do siebie i zakomunikował mu o awansie na naczelnika wydziału. Maczek nawet się specjalnie nie ucieszył, tylko zaraz za telefon i do żony zadzwonił, żeby jej o tym powiedzieć. Potem zaprosił mnie, Felisiaka i jeszcze parę osób do siebie, na obławanie awansu.

Wieczorem zebraliśmy się wszyscy u Maczków. Przyjęcie, jak przyjęcie, ale wódki było dosyć dużo, po pół litra na głowę, a kobiety mniej piły. Dyrektor Felisiak urznął się najbardziej. Cały czas obejmował tylko tego Mączka za szyję, całował go i nazywał najlepszym z najlepszych. Maczek siedział zaszepiony i tylko czasem na żonę patrzył ponuro. Przyjęcie się skończyło, ale Felisiak powiedział, że nigdzie nie pójdzie; w tej sytuacji Maczek rozłożył polowe łóżko w przedpokoju. Dyrektor się w końcu położył, a my poszliśmy do domu. Nad ranem zbudził mnie telefon od Mączka.

- Bańko, nieszczęście. Dyrektor wykorkował!

Pojechałem tam zaraz, na miejscu była już milicja i Pogotowie. Okazało się, zawał. A po tygodniu przysłała nominacja i Maczek dyrektorem został.

To wszystko, czego się dowiedziałem od referenta Bańko, który zresztą po tygodniu zaginął w tajemniczych okolicznościach. Jego syn zaraz potem wyjechał do Krakowa, do rodziny, tak, że znowu nie mam gdzie chodzić na telewizję. O dyrektorze Maczku nic nowego nie słyszałem, podobno znowu był u Cyganki, ale to chyba plotka. Spotkałem natomiast na ulicy panią Maczek. Źle wygląda, schudła i bez przerwy dziwnie porusza rękami, jakby myła je ciągle, a umyć nie mogła.

# Stanisław Zieliński

## LUIZJANA

Nie, to jeszcze nie starość, to tylko znużenie - powiedziałem zabierając się do jajek na miękko. Znużenie wywołane nadmiarem wrażeń, widoków i obserwacji. Po siedemnastej podróży czułem się fatalnie. Przenoszenie się z miejsca na miejsce, prócz zmęczenia, przyniosło jedyną korzyść. Upewniłem się, że ziemia jest okrągła. Ileż razy, wyruszywszy na wschód i jadąc cały czas przed siebie, wracałem do domu z zachodu. Brzmi to jak kiepski dowcip. Czy za taką cenę warto uganiać się za wrażeniami?

Dla uniknięcia pokusy, żeby mnie diabli nie pognali w podróż osiemnastą, postanowiłem spędzić przedpołudnie w domu na lekturze starych dzienników i czasopism. Nazbierało się tego sporo, zrezygnowałem więc z czytania, brałem gazetę po gazecie i potrzymawszy chwilę na kolanie, rzucałem w drugi kąt pokoju. W ten prosty sposób uporałem się z zaległościami. Nagle wpadła mi w oko drobna notatka na ostatniej stronie, wciśnięta między ogłoszenia i obwiedziona ramką jak nekrolog: „Donoszą z Rio Bamba...” Donoszą, donoszą, ciągle coś donoszą, ale co mogą donosić z Bamba? Donoszą, że „pęknięcie na dnie oceanu rozszerza się, pogłębia i wydłuża...” Dalej następował opis prac podjętych przez liczne ekipy ratownicze. Informator z Rio wyróżniał zespół dowodzony przez komandora Tużoboka. Komandor oświadczył dziennikarzom: „Przywiozłem ręcznie kute kłamry. Moi chłopcy udadzą się na dno oceanu bez skafandrów i innych kosztownych urządzeń. Szybko i tanio zrobimy porządek. Niebezpieczna szczelina, spięta naszymi kłamrami, ani piśnie”. A oto dalszy ciąg korespondencji: „Świeciło piękne słońce, kiedy pracownicy komandora, oburącz trzymając kłamry, dawali nurka w głębinę. Odezwały się wtedy syreny wszystkich statków, a turyści przybyli motorowcem z Rio Bamba wylegli na pokład i zgotowali śmiałym ratownikom długotrwałą owację.”

Przestałem ziewać. Senność znikła.

- Rio Bamba... - powtarzałem nakładając spodnie. - Zachęcająca nazwa, że mi też wcześniej nie wpadła do głowy!...

Ubierałem się z coraz większym pośpiechem.

- Trzeba tam jechać, i to zaraz!

W kwadrans później wszedłem do biura podróży. Szef agencji, mój dobry znajomy, z uznaniem kiwnął głową.

- Rio Bamba? Oczywiście, nic lepszego nie można wymyślić. Zamówię miejsce w samolocie. Poleci pan przed wieczorem.

Spacerowałem czekając na wynik rozmowy telefonicznej.

- Nad górami śnieżne burze, wiatry i okropne mgły. Samolot prawdopodobnie nie poleci. Musi pan jechać do Rio pociągiem - powiedział szef odkładając słuchawkę.

- Bilety, panie, bilety!...

Niecierpliwy okrzyk wypadł mało grzecznie. Kierownik agencji nabzdyczył się i sprawę biletów powierzył brzydkiej urzędniczce. Zrobiło mi się żal starego. Na wzajemnych przeprosinach minął następny kwadrans. Potem w taksówkę, do domu po rzeczy i pędem na dworzec. Gnało mnie coś do Rio, pędziło. Sam nie wiedziałem, co tak ciągnie i gna. Przed żadną podróżą nie odczuwałem podobnych emocji.

Z pociągu na pociąg, przesiadek coś trzy. Noc była już pełna, gdy się dowlokłem do właściwej linii. Kurier nadszedł rozkładowo. Zająłem miejsce w bezpośrednim wagonie i ułożyłem się do snu. Spałem źle. Przez parę godzin przewracałem się z boku na bok i z boku na wznak. Wstałem więc wcześniej. Dopiero szarzało. Żółte smugi mknęły wraz z pociągiem. Szlak wił się, kręcił wśród pagórków. Niebo zaczynało jaśnieć.

- Wzniesienia maleją, jesteśmy już blisko... - mruknąłem nabijając fajkę.

- Sądzi pan, że dojeżdżamy? - rozległ się szept tuż za mną.

Odwrociłem się momentalnie, bo to był szept o sile armatniego strzału. Są wielkie armaty strzelające cicho.

- Pani do Rio?

- I pan też do Bamba?

Na korytarzu ani żywej duszy. Pęd pociągu - wjechaliśmy właśnie na wiraż - ułatwił zbliżenie.

- To śmieszne, nie znamy się przecież!...

- Bez znaczenia... - mruzczałem. - My się już kochamy.

Gadałem jak brzuchomówca. Puszyste włosy łaskotały w nos. Bałem się, że kichnę. A ona, cudowne zjawisko, brała za dobrą monetę burczenie i postękiwanie.

- Jesteś niecierpliwy. Na imię mi Luizjana.

Wpadłem w zachwyt.

- Ach, tak jak ten stan w Ameryce?

- Zgadłeś. Czy byłeś nad Zatoką Meksykańską?

- Zawsze mi tam serce waliło jak dzwon. Nareszcie wiem dlaczego!

- Teraz też pika bardzo głośno.

- Luiz j ano!...

Diabli nadali słońce. Wschodziło z pośpiechem. Głośniki cichą muzyką budziły podróżnych. W przedziałach zaczął się ruch. Pociąg rwał przez równinę. Minuty dzieliły nas od Rio Bamba.

- I po cóż tak pędzi? Gotów wjechać w morze... - szepnęła Luizjana. - Czy lubisz morze? Więc nad morzem... Posłuchaj uważnie... Dziś wieczorem, kwadrans po dziesiątej, w Alei Palmowej, przy Złotej Fontannie. Czy będziesz pamiętał? Powtórz dla pewności.

Jednym tchem wymieniłem miejsce i czas spotkania.

- Luizjano... - prosiłem nie tracąc nadziei.

Stanowczo pokręciła głową.

- Wsiądziemy osobno. Musisz zrozumieć, czekają mnie obowiązki. Nie zgrzytaj zębami i nie klij pod nosem. Czyżbyś wieczorami nie był pewien siebie? Z takich nastrojów rodzą się kompleksy.

Pieszczotliwym ruchem poprawiła mi krawat.

- Takie krawaty lubię najbardziej - powiedziała, mocno zaciągając węzeł.

- Takie, to znaczy w paski?

- Mogą być w groszki, motylki lub w pieski. Byleby się świeciły i były mięsiste.

- Prosto z pociągu biegnę po krawaty w pieski!

- Po co? Ten mi wystarczy w zupełności.

Rio Bamba nadlatywała jak na skrzydłach. Zasyczały hamulce. Perony objęły wagon z obu stron. Czarna gęba tragarza zajrzała do okna.

- To nieznośne! - krzyknąłem. - Głupawy uśmiech i wielkie uczucia! Proszę natychmiast iść sobie gdzie indziej!

- Awantury na dworcu nie wybaczyłabym ci nigdy. Cierpliwości... - Luizjana uśmiechnęła się przepięknie, i wysiadła.

Tragarz niósł za nią walizki. Skinęła dłonią:

- W Alei Palmowej...

- Przy Złotej Fontannie... - odpowiedziałem jak echo.

Patrzyłem, póki nie znikła w tłumie opuszczającym dworzec. Stałbym dłużej, gdyby nie dwaj wyelegantowani chłopcy. Widząc, że łykam ślinę, nadbiegli zachwalając owoce, kanapki i napoje. Na odczepnego kupiłem banana i coś z ryb. A tymczasem na wielkiej tablicy jedno za drugim gasły zielone światełka i zapalały się lampki czerwone. Przyjechałem w pełni sezonu. Pokoje rozchwytywano w mgnieniu oka. Oto ostatnie zielone światełko, ostatni wolny pokój, w drugorzędnym hotelu, na wysokim

piętrze. Do licha, jak Luizjana znosi jazdę windą?

- Taksówka! - zawołałem.

Podaliśmy adres. Kazałem jechać bardzo prędko. Niestety, za późno. Wbiegłem do hotelu, gdy portier naciskał guzik zmieniając światło na tablicy. Brzuchaty typ z cygarem wyprzedził mnie o pół minuty. Portier rozłożył ręce.

- Wszystko zajęte - powiedział smutnie i kciukiem machnął nad powieką, jakby chciał strącić łzę.

- Co za pech, wybrałem się bez namiotu.

- Może zamieszka pan prywatnie? Mam parę adresów, zapytam telefonicznie.

- W pobliżu Alei Palmowej, to by mi odpowiadało... - wymownym tupnięciem zaakcentowałem słowa.

- Znajdzie się z pewnością, od tego tu jestem.

Portier jął kręcić numer za numerem. Szukał, pytał, wreszcie znalazł.

- Na parterze, z ogródkiem, południowa strona. Czy pan zechce pofatygować się osobiście? Doskonale. Właścicielka mieszkania przyjdzie za chwileczkę.

Nim wypaliłem fajkę, weszła siwa pani.

- Oto właśnie ten pan. Oto właśnie ta pani - powiedział portier dopełniając prezentacji podwójnym ukłonem.

W kilka minut później byliśmy na miejscu.

- Zostanę u pani. Podoba mi się pokój. Cieszy mnie ogródek i niekrępujące wejście.

Siwa pani podziękowała uśmiechem.

- W takim razie zadzwonię do hotelu. Halo, ten pan zostaje u mnie. Proszę przysłać rzeczy.

Rozpakowując walizki nuciłem pod nosem.

Dawno nie byłem w tak znakomitym nastroju. Słyszałem już szelest palm w Alei, szmer Fontanny i szum oceanu, wygładzającego srebrne piaski. Wbiłem sobie w głowę, że wszystko odbędzie się na plaży w dyskretnym księżycowym blasku. Rozluźniłem krawat i w ten sposób uspokoiłem trochę wyobraźnię. Potem otworzyłem okno i wyszedłem do łazienki. Wróciwszy stwierdziłem brak kosztownego i pamiątkowego zegarka.

- Złodzieje!...

Przez wzgląd na siwą panią opanowałem wściekłość i nie podniosłem alarmu. Pod oknem zauważyłem ślad, wyraźny odcisk dużej męskiej stopy. Ubrałem się błyskawicznie.

Siwa pani szeroko otworzyła oczy.

- Pan wychodzi? W południe?

- Tak. Umówiłem się dość niefortunnie.

- Panie, panie!... - Wybiegła za mną do ogródka. - A kapelusz? Pan jeszcze nie wie, co tu może słońce!

Podziękowałem nieskładnie i z pośpiechem. Siwa pani uśmiechnęła się leciutko.

- Jeżeli w grę wchodzi kobieta, radziłabym poczekać do zachodu słońca.

- W grę wchodzi mężczyzna, tęgi, prawdopodobnie wysoki. Czterdziesty dziewiąty numer butów.

- A, przepraszam. Na tym ja się nie znam. - Wykręciła się i odeszła trzęsąc głową.

Zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę.

- Do prezydium policji! - „Zegarka nie daruję”, obiecywałem sobie podczas jazdy.

Przed okazałym gmachem spacerował policjant w srebrnobiałym uniformie.

- Jestem przyjezdnym, przyjechałem rano, chciałbym zamienić kilka słów z kimś kompetentnym na temat złotego zegarka.

Policjant nie poznał się na sarkazmie.

- Trzecie piętro, siódmy wydział, strona prawa, drugie drzwi, winda nieczynna - meldował przykładając dłoń do daszka.

Na trzecim piętrze przyjęto mnie z wyszukaną grzecznością. Serdeczność szefa wydziału popsuła mi



szyki. Zastępca szefa dwoił się i troił. Zapomniałem języka w gębie.

- Może szklaneczkę soku? Może łyk „Prezydialnej Mieszanki”? Koniaczku z lodem? Lodów z kremem? Papierosika? Cygarko? Służę tytoniem do fajeczki.

Nie mogłem dojść do słowa. Bąknąłem o zegarku i umilkłem. Tytoń mieli świetny.

- Pan, zdaje się, pierwszy raz u nas? Właśnie, właśnie, bardzo miło. Proszę się wygodnie, zaraz poprawię oparcie. Pan prosto z pociągu, na pewno zmęczony... Ja, proszę pana, w najwygodniejszym nawet sleepingu nie mogę zmrużyć oka. Nie ma to jak własne, porządne łóżko!... Ładny stąd widok prawda? A teraz proszę spojrzeć w prawo. Jeszcze odrobinę. Jeszcze odrobinę, bo nie widzę uszka. O, tak, doskonale. Pstryk, pstryk, i po wszystkim. Dziękuję. Paluszki zdejmujemy ze szklanki, wystawimy dokumencik, wlepimy do niego fotografijkę, i znajomość zawarta. Ależ tak, pamiętamy o zegarku. Duży, złoty, pierwszorzędnej firmy, z literką „E” na werku. Nim minie kwadransik, zajmiemy się pańską sprawą. A teraz, żeby nie tracić czasu i żeby pana w tok naszej pracy wprowadzić, załatwimy starych klientów. Przekona się pan, że pracujemy sprawnie, solidnie, jak porządny bank.

Szef wrócił za biurko. Zastępca otworzył drzwi. W poczekalni siedziało parę osób.

- Kto z państwa pierwszy? A, Szczerbaty, prosimy.

Wszedł wysoki mężczyzna o szarej, pomarszczonej twarzy.

- Częsty gość, drugi raz, w tym sezonie... Fiu, fiu... Trzeba, Szczerbaty, żyć z kalendarzem w ręku.

- Choroba w domu... Wziąłem trochę mebli na spłaty-raty... Myślę budować się jednorodzinie, skromnie. Ogólnie, bardzo ciężkie warunki. Koniec z końcem ledwo wiązę. Szefuniu, wyjątkowo...

Szef spojrzał na zastępcę. Zastępca skinął głową, że się zgadza.

- Prowadzi się nienagannie, to fakt. - Zastępca pochylił się nad kartoteką. Przepisał adres i podał kartkę Szczerbatemu. - Masz i zmykaj!

- Szefuniu złoty!... - Szczerbaty złożył ręce jak do modlitwy.

- Ale pamiętaj!... - Szef podniósł głos i palec.

- Nikogo palcem nie tknę! Ostatnim razem złożyło się pechowo. To się, szefuniu, nie powtórzy!

Szczerbaty kłaniał się i dziękował aż do drzwi.

- Duża rodzina, bieda... - powiedział szef z westchnieniem. - Przepisy przepisami, człowiek człowiekiem. Kto tam następny? Proś, kochany.

- Krwawy Byk - szepnął zastępca.

- Co, ten bydlak? - Szef huknął pięścią w biurko. Nastrój się zmienił momentalnie - Wlazł!

Wszedł brzuchacz z cygarem. Śmierdziuch, który ubiegł mnie w hotelu.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. No i co z tego?

- Jak to: no co? - krzyknął Krwawy Byk. - Dawajcie robotę!

- A składki? - spytał szef podejrzenie słodkim głosem.

Byk długo szukał po kieszeniach. Znalazł wymiętoszoną kartę z wyblakłą fotografią. Zaklął i rzucił na biurko.

- Płacisz?

- Ile tam tego?

- Za cały rok.

- Złodziejstwo na każdym kroku... - Byk wyciągnął plik banknotów, odliczył i takim samym gestem cisnął na biurko, szefowi pod nos.

Szef zgarnął pieniądze do kasetki i zatrzasnął wieko.

- Reszty nie będzie? - wrzasnął Krwawy Byk.

- Nie będzie - powiedział szef i pstryknął palcami. - Nie będzie, bo się nie należy.

- Nie należy się?... powtórzył Byk. Zanosilo się na ordynarną sprzeczkę o niewielką sumkę.

- A karę kto zapłaci? Babcia? - Szef wstał. - Pamiętasz tę awanturkę na dworcu?

- Zapomniałem, że na dworcu nie wolno! - Byk roześmiał się bezczelnie. - Dawajcie adres. Nie mam czasu. Przyjechałem na kilka dni.

- Masz.

Byk spojrział na kartkę, poczerwieniał. Myślałem, że go szlag trafi.

- Co, ja, pracownik pierwszej kategorii, mam zarobkować na przedmieściu? Ech, wy urzędasy... - Byk zamierzył się na szefa.

- Pan Bóg dał ręce, żeby się nie kłócić. Kochany... - szef dał znak zastępcy.

Zastępca jednym zręcznym ruchem założył Bykowi kajdanki. Byk pienił się i sapał.

- Ja na przedmieściu!...

- Bierzesz adres?

- Nie! Wyjeżdżam! Ja sobie nie pozwolę! Ja was nauczę!... - Byk napinał mięśnie, ale kajdanki trzymały mocno.

- Tym lepiej. Kochany, odbierz mu koncesję i wyprowadź.

- Koncesję? A to z jakiej racji?!

- Bo takie przepisy.

- Szykany, nie przepisy... Zaraz, chwileczkę... - Byk dyszał ciężko. - Niech pan da ten adres.

Wyszedł klnąc ordynarnie. Zamiast pożegnać się jak człowiek, po chamsku trzasnął drzwiami. Szef uśmiechnął się pogardliwie.

- Pracownik pierwszej kategorii... A tfu! Czy pan uwierzy, że ten bałwan zadźgał nożem pięć osób dla kilku fałszywych kamieni? Cham i nieuk.

- Coś podobnego... - bąknąłem przez ściśnięte gardło.

Zastępca wyrzwał do poczekalni i cmoknął z wrażenia.

- Szefie, Piękna Dusicielka!

Szef przygładził włosy i zrobił porządek na biurku.

- Proś bez kolejki!

Urocza kobieta wsunęła się do gabinetu.

- Nie przeszkadzam?

- Pani?... Pani odwiedza nas z dokładnością zegarka. Szkoda, że tak rzadko. Czy nie wieje? Może przymknąć okno?

Chwyciłem gazetę i szybko zasłoniłem twarz. Piękna Dusicielka zerknęła w moją stronę. Szef skrzywił się pogardliwie.

- Nowy. Zupełne zero.

- Nasza kochana Dusia... - szepnął zastępca.

- Jesteśmy do usług. Czym możemy służyć? - Szef rozplątywał się w uśmiechach.

Zastępca wdzięczył się i kusił kartoteką.

- Adresik? Adresik dać? Mam parę interesujących, w pani guście...

- Doprawdy? Jaka szkoda, bo ja już sobie upatrzyłam coś. Coś bardzo przyjemnego.

- Pisz kartkę! Na dziś, kochana pani?

- Aha.

- A gdzie?

- W Alei Palmowej, przy Złotej Fontannie.

- Tam gdzie zawsze... - Szef chrząknął, podrapał się w głowę. Obudził się w nim służbista. zaproponował miękko: - Może by zmienić rejon? Robiono mi już wymówki.

- Tam jest tak ładnie... O, już? Dziękuję.

Obydwaj odprowadzili piękną Dusię, do drzwi. Wyciąłowawszy ręce, zaczęli namawiać szeptem.

- Jutro, jutro... Nie odmawiaj...

- Jak z nim, to i ze mną... Ostatecznie, cóż ci szkodzi?

Dusicielka wykręciła się nie obowiązującą obietnicą. Uśmiechnęła się z wdziękiem, i już jej nie było.

- Co za kobieta!

- Esencja kobiecości, szefie.

- W najlepszym gatunku.

Spoceni, rozgorączkowani, zupełnie zapomnieli o mnie. Zerwałem się z fotela.

- A, to pan... Okropnie pan błady. Źle pan znosi kobiety czy co?

Wyjaśniłem nieporozumienie. Opowiedziałem, co mnie sprowadziło do prezydium.

- Wszedł pan nie w te drzwi. To są trzecie drzwi - powiedział szef z ujmującą prostotą.

- Źle mnie poinformowano.

- Możliwe. Byłbym zobowiązany, gdyby to wszystko zostało między nami.

- Pewne wyjaśnienie byłoby wskazane - zauważył zastępca.

- Regulujemy sprawy, które gdzie indziej rozwijają się w sposób żywiołowy i przypadkowy.

Wydajemy koncesje, zbieramy składki, typujemy obiekty i rejony. Statystyka przemawia na naszą korzyść.

Oto wykresy. Niech pan zerknie na czerwone krzywe. Dawniej byle dziwka dusiła turystę, a dziś... - Szef westchnął i dokończył urzędowym tonem: - Dziś, proszę pana, jest zupełnie inaczej. No, kto tam czeka jeszcze?

Windą zjechałem na parter. Policjant sprowadził taksówkę.

- Na dworzec, jak najprędzej!

„Na dworcu nie wolno”, to zapamiętałem dobrze. Przez szofera wysłałem grzeczny list do gospodyni, prosząc o wydanie bagażu. Potem kupiłem bilet. Resztę czasu spędziłem na peronie. Chodziłem w kółko dookoła walizek to w lewo, to w prawo, na zmianę, żeby nie dostać kręcka. Wreszcie nadjechał pociąg. Z wagonu, który zatrzymał się na wprost mnie, wysiadł szpakowaty, marynarz ze złotymi galonami na rękawach. Dwaj tragarze wynieśli ogromny wieniec.

- Przyjeżdża co roku z wieńcem mniejszym lub większym. Różnie u niego z forszą - szepnął tragarz opiekujący się moim bagażem.

„Moim dzielnym chłopcom - komandor Tużobok” - przeczytałem na szerokiej szarfie. Domyśliłem się, że wiadomość, która skłoniła mnie do wyjazdu, nie była najświeższej daty. Spytałem tragarza:

- A jak z tym pęknięciem? Jakoby pękało coś u was?

- Tak, tak, coś w swoim czasie pękało. Pisali dość o tym.

Spodziewając się sutego napiwku, potakiwał chętnie. Szukając drobnych, znalazłem w tylnej kieszeni zegarek. Ucieszony odkryciem, bez złości rozstałem się z Rio Bamba.

O Luizjanie myślałem z satysfakcją: „Dobrze ci tak, dostałaś po nosie. Trafiła kosa na kamień”. Pociąg jechał coraz prędzej. Wagon kołysał się przyjemnie. Wróciłem do domu w doskonałym humorze.

Od tego czasu wiążąc krawat odczuwam niepokój. Sądzę, że to wkrótce minie. Zresztą, jest to niepokój graniczący z przyjemnością.